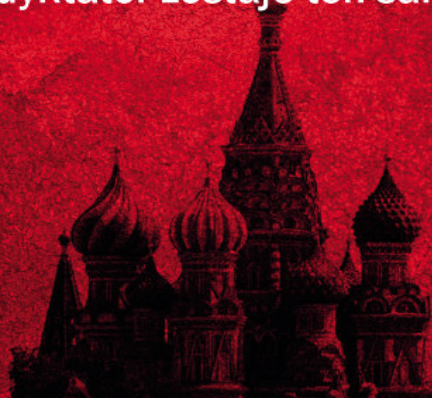


Twarze się zmieniają,
dyktator zostaje ten sam.



CZERWONY TERROR

MAX
CZORNYJ

„Prawda dzieje się na naszych oczach, nowy dyktator kroczy śladami
Lenina. Spoglądając w przeszłość możemy ujrzyć przyszłość”.

Wojciech Sroczyński, „Fakt”, „Forbes”

FILIA

MAX
CZORNYJ



**CZERWONY
TERROR**

FILIA

Copyright © by Max Czornyj, 2022
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Akuszewska
Korekta: Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-214-6

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl
tel:691962519

Seria: FILIA NA FAKTACH

*Coby wszystkie rosyjskie statki poszły na dno.
przykładem „Moskwy”.*

Twarze się zmieniają. Dyktator pozostaje ten sam.

Sąd nie powinien uchylać się od stosowania terroru; takie zapewnienie byłoby oszukiwaniem siebie lub innych – powinien natomiast uzasadnić i zalegalizować go pryncypialnie, jasno, bez fałszu i bez upiększania¹.

¹ Lenin do Dymitra Kurskiego, 7 maja 1922 r., W. Lenin, Dzieła wszystkie, t. 45, Książka i Wiedza, Warszawa 1989, s. 188.

1.

KREML, 1 LIPCA 1918 R.

Rada Obwodu Uralskiego nie wyraża zgody na wzięcie odpowiedzialności za transport obywatela Mikołaja Romanowa do Moskwy i podkreśla konieczność jego natychmiastowego stracenia. Obywatel Romanow nie może dostać się w ręce kontrrewolucjonistów. Nie mogą dostać się w nie również jego zwłoki. Naszym obowiązkiem wobec rewolucji jest zlikwidowanie jego oraz całej rodziny Romanowów. To nasza historyczna odpowiedzialność.

Jakow Swierdłow odchrząkuje i składa na pół kartkę z wiadomością od wojskowego komisarza Rady Uralskiej Filipa Gołoszczokina. Swierdłow to drobny, delikatny mężczyzna z bujnymi, kręconymi włosami oraz ciemnym zarostem. Nosi cwikiery w złotych oprawkach, które nadają mu wygląd przeciętnego urzędnika. Jednak jego twarz jest zawsze ponura, a w zamysłonym spojrzeniu kryje się jakieś irytujące niedopowiedzenie. Swierdłow zawsze starannie waży słowa i sprawia wrażenie, jakby większość myśli zachowywał jedynie dla siebie. To niebezpieczne. Zdecydowanie wolę ludzi otwartych i szczerych, którzy mówią wszystko, co pomyślą. Jedynym wyjątkiem jest Dzierżyński.

Splatam ręce na piersi i odchylam głowę. Powoli nabieram powietrza, starając się uporządkować fakty. Znajdujemy się w jednej z dobrze oświetlonych, przestronnych komnat zachodniego skrzydła Pałacu Senackiego na Kremlu. Ponoć Mikołaj II nigdy tu nie zachodził. W tym momencie ta myśl wydaje mi się wyjątkowo nieprzyjemna i pośpiesznie ją odganiam.

– Proces pokazowy byłby znacznie bardziej korzystny ze względu na sytuację międzynarodową – odzywam się na tyle cicho, by zebrani w pomieszczeniu mężczyźni musieli się przybliżyć. Poza Swierdłowem jest tu jego zastępca, Leonid Kazawkin, oraz delegat Rady Uralskiej, Wiktor Prowow. Ta dwójka jest jednak tylko nic nieznaczącymi płótkami. Klakierami przyklaskującymi każdej istotniejszej frazie. – Jednak to właśnie sytuacja międzynarodowa i bunt Korpusu Czechosłowackiego zmuszają nas do podjęcia stanowczych kroków.

– To nasz obowiązek.

Ganię Swierdłowa wzrokiem za banalny komentarz i ten przepraszająco unosi dłoń. Wbijają wzrok w ziemię.

– Jak daleko od Jekaterynburga znajduje się Biała Armia?

– Trzy dni temu było to około dwustu kilometrów.

– Ilu ludzi?

– Mniej niż dziesięć tysięcy. Siedem, może osiem.

– Naszych?

– Prawie dwanaście tysięcy.

– Więc?

Swierdłow zagryza usta i zerka na dwóch pozostałych mężczyzn. Ci milczą. Są całkowicie onieśmieleni potęgą Kremla, Moskwy, a pewnie również moją, choć od początku spotkania traktowałem ich spolegliwie.

– W ciągu kilku tygodni do carskich może dołączyć kolejne dziesięć lub piętnaście tysięcy. – Swierdłow wymownie potrząsa kartką. – Gołoszczokin wyraźnie informuje o ruchach wojsk i ich intensywnej koncentracji. Według posiadanych przez nas informacji odbicie obywatela Romanowa stanowi ich główny cel strategiczny.

Wolałbym klarownego procesu oraz dowodów oskarżenia rzuconych w obecności zagranicznych dziennikarzy. Jednak od dawna wiem, że konieczności należy stawiać ponad chęci i pragnienia.

– Mamy w historii przykłady tego, że zdecydowane środki przynoszą najlepsze efekty – stwierdzam, wstając z giętego, drewnianego fotela. Pochylam się i opieram pięściami o blat biurka. Spode łba spoglądam na delegację. – Po egzekucji Ludwika Burbona monarchiści francuscy stracili argumenty... Razem z jego głową do kosza spadły ich aspiracje oraz diabelskie nadzieje.

Wyprostowuję się i zakładam dłonie za plecy. Wiem, że Burbon miał przynajmniej pokazywać proces, ale przy współczesnej prasie pokazówka mogłaby być gorsza od stanowczych działań. Przecież liczy się tylko to, co zostanie ujawnione. Cała reszta to nicość.

– Wyrażam zgodę – rzucam cicho.

Usta Swierdłowa drgają, ale bardzo się stara powstrzymać uśmiech. Poprawia jedynie okulary, po czym wymienia porozumiewawcze spojrzenia z członkami delegacji.

– A rodzina Romanowów?

– Wyrażam zgodę – powtarzam jeszcze ciszej. – Choć o tym proszę natychmiast zapomnieć.

Podchodzę do okna, czym daję znać, że chcę zostać sam. Pochylam głowę i cicho wypuszczam powietrze. Od teraz nie ma odwrotu. Ani o krok.

2.

– Nawet chłopci? – Z niedowierzaniem kręcę głową. – Czy przedstawiciele rad nie mają już nic do powiedzenia? Najwidoczniej znajdują się w nich niewłaściwi ludzie, którzy nie potrafią wykrzesać dość energii, by działać. Nie dają przykładu, który jest niezbędny...

Zawieszam głos i upijam łyk wody. Meldunki o kolejnych wystąpieniach chłopskich wprawiają mnie w furję. Staram się tłumić gniew, lecz moje dłonie drżą. Nie chcę, by ktokolwiek to spostrzegł. Chowam je do kieszeni i przyśpieszam kroku.

Władimir Dmitrijewicz² bacznie mnie obserwuje. Przez cały czas jest gotów zapisywać, lecz nie potrafię znaleźć właściwych słów. Nie wiem, od czego zacząć. Zastanawiam się, jakie polecenia wydałem miejscowym władzom w ostatnim telegramie. Mam doskonałą pamięć, lecz natłok wiadomości coraz częściej burzy moje wspomnienia. Umysł, niczym fantastyczny konstrukt, składa się z milionów szuflad, których zawiasy blokują się w najmniej spodziewanych momentach. Władimir przeczesuje palcami zaczesywane do tyłu, lecz teraz niesfornie sterzące włosy. Ma dobroduszną twarz, ciemne oczy i nieco zbyt długą brodę. Jest w nim coś z poczciwego, wiejskiego popa. Brakuje tylko, by zaczął wygłaszać złowróżbne mądrości.

Nagle przystaję i przymykam oczy. Wiem, że w tym momencie nie może być żadnego pobłażania. Czeka nas zwycięstwo na wszystkich frontach lub całkowita, upokarzająca porażka. Nie ma innej drogi, nie ma możliwości zatrzymania się w trakcie marszu. Przystój oznacza dziś śmierć. Wszyscy stojący na naszym szlaku muszą zostać zniszczeni i starci w proch tak drobny, by nie zapisał się na żadnej z kart historii. To bardzo ważne.

– Notujcie – rzucam z wciąż przymkniętymi oczami.

Władimir Dmitrijewicz, szeleszcząc, przegląda dłońią kartkę.

– Jestem gotowy – oznajmia entuzjastycznie. – Tak?

Wiem, że w dłoni trzyma pióro, choć na jego biurku stoi również maszyna do pisania. Od pewnego czasu zabraniam z niej korzystać w moim towarzystwie, gdyż stukot miesza mi w głowie. Co innego skrzypiący, regularny ruch stalówki po papierze. Ale o czym to ja... Ach tak. Rolnicy. Żeby tylko byli to nasi poczciwi, pracownicy chłopi. Tymczasem gros z nich to krwio pijcy i kułacy, którzy mają więcej wspólnego z plugawą burżuazją niż z masami proletariatu.

– Nakazuje się powieszenie stu powszechnie znanych penzeńskich kułaków, kapitalistów i pijawek wysysających krew z robotniczego ludu miast i wsi – dyktuję bez zająknięcia, jakby treść całej wiadomości już od dawna tkwiła gdzieś w mojej podświadomości. – Egzekucja powinna zostać wykonana publicznie, po uprzednim zgromadzeniu jak największej liczby okolicznych mieszkańców. Stanowczość oraz bezwzględność kroków uzasadniona jest szerokim oddziaływaniem oraz ma na celu zapobiegnięcie dalszym wystąpieniom przeciw rewolucji. Dlatego po raz kolejny podkreśla się wagę obecności podczas egzekucji najmłodszego pokolenia jako kontynuatorów naszej idei³.

Milknę i powoli się wyprostowuję. Słyszę, jak Władimir Dmitrijewicz osusza atrament i ponownie chwyta pióro.

– To wszystko?

– Chwila.

Otwieram oczy i sprężystym krokiem przechadzam się w tę i we w tę. Zatrzymuję się, by spojrzeć na zachodzącą za horyzontem czerwoną kulę słońca. To dobry znak. Komunikaty powinny być jasne i klarowne. Członkowie rad nie są filozofami ani teoretykami. Przynajmniej nie powinni nimi być w momencie egzekwowania prawa.

– To wszystko – stwierdzam. – Możecie wysyłać.

– Podpisać? – dopytuje Władimir Dmitrijewicz.

– Nie. Będzie wiadomo, czyja to dyspozycja.

Daję ręką znać, by goniec odebrał list, ale gdy mężczyzna robi kilka kroków w stronę biurka, nagle ponownie zwracam się do sekretarza:

– Dajcie to do biura – nakazuję. – Depesza ma zostać zaszyfrowana i trafić bezpośrednio do przewodniczącego rady w Penzie. Żadnych osób postronnych, zrozumiano?

– Tak.

– Jeżeli wypłynie z niej choć jedno słowo, niezbędne będzie wyciągnięcie ostatecznych konsekwencji. – Zerkam na wysokiego, chudego gońca. – Wobec każdego podejrzanego.

Ostateczne konsekwencje – wszyscy wiedzą, co one oznaczają. Brzydzą się mówieniem o śmierci i egzekucjach. Mimo to rewolucja nie może obejść się bez ofiar. Zastanawiam się nad odpowiednim doborem słów, jakich powinienem użyć w trakcie nadchodzącego wystąpienia. Jutro będzie wielki dzień. Wyczuwam to podświadomie, choć nie wiem dlaczego, jednocześnie gnębi mnie niepokój.

– Obym nie miał wieszczego przeczcucia... – szepczę. – Oby nie...

– Słucham? – dopytuje Władimir Dmitrijewicz. Jest gotów zanotować każde moje słowo.

– Nie. Nic. Jesteście wolni, towarzyszu. Bądźcie gotowi na jutro.

3.

MOSKWA, 30 SIERPNI 1918 R.

Wiec w gmachu Giełdy Zbożowej na Chlebnym Targu zebrał nieco mniej ludzi, niż się spodziewałem. Copiątkowe wystąpienia miały odgrywać istotną rolę w stabilizowaniu klimatu politycznego Moskwy, lecz z pewnością potrzeba im nowej formy. Człowiek jest zwierzęciem zbyt łatwo przystosowującym się do otoczenia. Przystosowanie to niestety nie pozabawia go skłonności do kontestacji oraz buntu. Przystosowanie nie jest równe przyzwyczajeniu. To ważna myśl i staram się ją zapamiętać.

– Jesteśmy na miejscu. Już czas.

Słowa kierowcy wyrwywają mnie z zadumy. Ktoś otwiera drzwi mojego auta i do środka wpada podmuch ciepłego powietrza. Jesteśmy na miejscu, ale z pewnością nie na czas. Mamy prawie trzy godziny opóźnienia spowodowanego mnogością pytań na poprzednim wiecu. Mniej ludzi wcale nie oznacza krótszego spotkania. Wręcz przeciwnie, w wąskim gronie wszyscy stają się nagle bardziej poufali i ciekawi. Zwłaszcza jeśli chodzi o chleb, który coraz trudniej im dostać. Właściwie nie dziwi mnie to w najmniejszym stopniu, ale pragnąłbym dostrzec w moskiewskich robotnikach silniejszego ducha.

– Towarzyszu...

Stiepan Gil, mój szofer, staje przy drzwiach. Poły jego płaszcz się rozchylają i widzę skórzaną kaburę z niemieckim mauzerem. On jeden w moim otoczeniu ma prawo nosić broń. Przed miesiącem nakazałem, by ochrona trzymała się na uboczu lub wchodziła w tłum, lecz nigdy nie tworzyła szpaleru powitalnego w miejscach, do których przyjeżdżam. To stwarzało niepotrzebny dystans.

Energicznie wysiadam z auta i unoszę dłoń w geście powitania. Tłum zebrany na dziedzińcu Zakładów Michelsona reaguje nader entuzjastycznie. To co najmniej stu robotników, którzy momentalnie zaczynają skandować rewolucyjne hasła. Czy to szczerza radość? Czy naprawdę wierzą w rewolucję oraz sztandary naszego zwycięstwa?

Widzę spojrzeniem po zmęczonych, umorusanych twarzach. Widzę zapadnięte policzki, ponure oczy i pomarszczone czoła. Dostrzegam robocze ubrania z postrzępionymi mankietami, rozprutymi szwami i ponadrywanymi kołnierzami. Rewolucja rodzi się z cierpienia oraz bólu. Rewolucja rodzi się przez cierpienie i ból.

Powolnym krokiem wchodzę na salę, gdzie mam przemawiać. Ktoś kieruje mnie do niewielkiego podwyższenia przypominającego uniwersytecką katedrę. Mrugam, starając się przyzwyczaić oczy do półmroku. Okrzyki pozostają gdzieś za mną, wokół powoli zapada cisza, a ja czuję nieprzyjemny dreszcz na karku. Mam złe przecucie.

4.

– Burżuazyjna demokracja wiedzie kolejne społeczeństwa na skraj zagłady. Grabi je, nasycając brzuchy kapitalistów oraz wyzyskiwaczy. Robotnik i rolnik stają się jedynie niewolnikami, choć podkreśla się ich rzekomą wolność. Wolność? Chyba każdy z was, towarzysze, wie, na czym ta wolność polega. Dlatego należy odwrócić te zasady, musimy do cna wypełnić dawne burżuazyjne schematy i zakłamanie normy!

Wysłuchuję się w reakcję na swoje słowa. Oklaski oraz podekscytowany szmer dowodzą, że właściwie ująłem swoje myśli. Przecież jedynie opisuję rzeczywistość. Zerkam na przygotowane notatki, ale jak zwykle z nich nie korzystam.

– Stajemy przed koniecznością ostatecznej konfrontacji – podejmuję myśl. – Musimy stworzyć sieć obozów odosobnienia, w których zostaną umieszczeni wrogowie rewolucji

i klasy pracującej. Czasem trudno oddzielić ziarno od plew, ale będziemy pracować pilnie. Będziemy pracować starannie i bez wychnienia. Dlatego nasza uwaga skupi się na każdym podejrzanym⁴, tak by trafili tam, gdzie zasługują. Nie możemy mieć litości. Możemy mieć jedynie sumienia oraz niezachwianą wiarę w zwycięstwo!

Tym razem oklaski są jeszcze donioślejsze, a szmer głosów zostaje zastąpiony okrzykami. Skandowane hasła nie stanowią jedynie wyuczonych formułek. Ci ludzie naprawdę wierzą w nasze wspólne zwycięstwo.

Unoszę dłonie, dziękując im za tę reakcję. Uśmiecham się dumny nie tylko z siebie, ale przede wszystkim właśnie z nich. Takie chwile dają mi wiarę, że droga, którą przeszedłem, miała sens. Bez względu na poniesione koszty oraz wyzwania.

Jeszcze raz dziękuję towarzyszom za spotkanie i tak entuzjastyczne przyjęcie. Zgodnie z tym, co uzgodniliśmy, Stiepan sprowadza mnie z trybuny, zanim zostają zadane pytania. Nie chcę odpowiadać publicznie, aby nie przyćmić swojego przesłania. W pamięci ludzi zawsze najmocniej zostaje ostatnie słowo, więc lepiej niech nim nie będzie polemika. W tej fabryce spodziewaliśmy się pojedynczych kontestatorów naszej idei.

– Tędy. – Stiepan prowadzi mnie do wyjścia. – Chodźmy.

Drzwi się otwierają i ponownie owiewa mnie specyficzny zapach kurzu oraz ciepłego powietrza. Ktoś tuż za moimi plecami potyka się, a zebrani natychmiast starają się pomóc mu wstać. Wciąż pełen energii po przemówieniu, nie zatrzymuję się nawet na chwilę. W towarzystwie Gila oraz dwóch lub trzech osób kieruję się prosto do zaparkowanego na dziedzińcu samochodu.

– Towarzyszu komisarzu!

Moją uwagę zwraca niska staruszka z chustą na głowie. Ma zaskakująco ciemne, poważne oczy. Nasze spojrzenia się spotykają.

– Żołnierze konfiskują chleb na stacjach kolejowych – żali się, wspierając na drewnianej lasce. – Chleb, którego brakuje w piekarniach. Chleb, który odejmujemy sobie, żeby dać umierającym.

Zatrzymuję się przed autem i kiwam głową.

– Wiem o tym – stwierdzam szczerze. – Już nakazałem właściwym ludziom zająć się tym problemem. Rozwiążemy go tak szybko, jak to możliwe, macie moje słowo.

– Dziękuję... Dziękuję, towarzyszu komisarzu...

Wstrzymany przed chwilą w progę fabryki tłum ponownie nas otacza. Gil otwiera drzwi samochodu, lecz w tym swym momencie dostrzegam jakiś niezwykle ruch. Spośród muru obdartych robotników wynurza się zarys ciemnej, matowej stali. Spoglądam na wymierzoną prosto we mnie lufę browninga. Dobrze znam tę broń. Zaskoczony, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, wiodę wzrokiem ku twarzy około trzydziestoletniej kobiety o mętnych oczach.

Wtedy pada głuchy strzał. A potem drugi.

I trzeci.

Wraz z falą wilgotnego ciepła otula mnie cisza.

² Boncz-Brujewicz – osobisty sekretarz Lenina, brat Michaiła Boncz-Brujewicza, generała Armii Czerwonej.

³ Parafraza oryginalnej depechy.

⁴ Właśnie o podejrzanym, a nie o skazanych w kontekście zsyłek do obozów odosobnienia mówił Lenin!

5.

Krzyki. Pisk opon i znowu krzyki. A do tego przyjemne ciepło rozlewające się po klatce piersiowej oraz ramionach. Światło wdzierające się głęboko, bardzo głęboko, aż w mózg. Jakby ktoś wkładał mi przez nos metalową igłę, którą nakłuwa ciało gąbczaste.

– Towarzyszu Uljanow...

Dość. Rewolucja potrzebuje ofiar. Rewolucja potrzebuje symboli, a najlepsze symbole są martwe.

Ale ja chcę żyć.

Wieczorne, fioletowoczerwone niebo przesuwają się, jakby wieziono mnie na katafalku. Może tak właśnie wygląda śmierć?

Znów to kłujące, zbyt ostre światło, zza którego powoli wyłania się zarys twarzy. Kragłej, poważnej twarzy brodacza z grubymi okularami na mięsistym nosie.

– Dzięki Bogu.

Wzdrygam się na te słowa. A może wzdryga się jedynie mój mózg. Bóg. Dawno o nim nie myślałem jako o bycie, któremu można za cokolwiek dziękować. Po raz ostatni prosiłem go o ratunek dla mojego brata. Pamiętam tamten dzień jak dziś, jak godzinę temu... Wszelkie wspomnienia przewijają się teraz we mnie ze zdwojoną siłą, wyraźne tak, jakby los rzucał mnie po mojej przeszłości.

To rozliczenie? Nie. Na pewno nie. Tym bardziej że była jeszcze ucieczka przez pustkowiec Finlandii...

– Towarzyszu, czy czujecie ten ucisk?

Uśmiecham się kpiąco. Niby co miałbym czuć? Chcę unieść dłoń, ale jest całkowicie bezwładna. Zamiast niej mam wrażenie, jakby z mojego ciała wypływało ciepło.

– Szybko, szybciej! – Krzyk jest nieprzyjemny i szorstki. Do tego miesza się z odorem środków chemicznych oraz brzękiem metalu. – Tutaj.

– Rewolucja potrzebuje ofiar... – bełkoczę, choć nie wiem, czy ktokolwiek mnie słucha. – Rewolucja potrzebuje bohaterów...

Po raz kolejny nadchodzi cisza i mrok.

6.

– Towarzyszu...

Mrugam. Z chaosu powoli wyłania się jasna płaszczyzna, na której widzę zielonkawę wykwitły wilgoci. Sufit. Koncentruję wzrok i staram się obrócić. To bolesne, ale powoli zmieniam pozycję. Spoglądam na Boncz-Brujewicza. Mój sekretarz ma podkrążone oczy, szarą cerę i suche usta. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, pośpiesznie zakłada trzymane w dłoni okulary i zrywa się z krzesła.

– Obudził się! Towarzysz Lenin się obudził!

– Tss... – uciszam go.

Powoli zdaję sobie sprawę, co się wydarzyło i gdzie się znajduję. Jeszcze raz usiłuję zmienić pozycję, ale ból ramienia przenika głęboko, niemal do serca. Powstrzymuję

jęknięcie. Staram się ocenić swój stan na podstawie kondycji i zachowania mojego sekretarza. To jednak zbyt pocziwy i delikatny człowiek, aby mógł stanowić właściwy papierek lakmusowy. Na moim pogrzebie nie wyglądałby znacznie gorzej.

– Podciągnijcie mnie.

Zamiast tego Władimir Dmitrijewicz podsuwa mi pod usta szklankę wody. Drugą dłonią poprawia poduszki tak, bym miał wyżej głowę.

– Proszę... Trzeba się napić.

Chcę go zrugać, by nie mówił do mnie jak do dziecka, lecz posłusznie upijam łyk wody. Po chwili biorę kolejny i się zachłystuję. Szlag. Władimir Dmitrijewicz odstawia szklankę, a w tym samym momencie przy moim łóżku pojawia się lekarz. Skądś znam jego twarz. Widziałem go w ostatnich snach lub przebłyskach świadomości.

Wreszcie udaje mi się odkrztusić i nabrać powietrza. Zaciskam palce na kołdrze. Żyję i zdaje się, że mam wszystkie członki na miejscu.

– Ile?

Lekarz marszczy czoło i nachyla się, zbliżając ucho niemal do moich ust.

– Ile? – powtarzam znacznie głośniejsz.

– Ile czego towarzyszu?

– Jak długo...

– Szóstą dobę – odpowiada mój sekretarz. – Nazbierało się dokumentów...

Ruchem głowy wskazuje metalową szafkę stojącą tuż przy łóżku. Piętrzy się na niej stos teczek oraz kartek. Lekarz gniewnie macha ręką i zaczyna mnie systematycznie badać. Przykłada stetoskop do mojej piersi, a potem chwyta mnie pod ramiona i pionizuje. Pomaga mu w tym młoda, pulchna pielęgniarka, która nie potrafi ukryć, jak bardzo jest mnie ciekawa.

– Trzy strzały, dwa celne... Ramię oraz przestrzeń karkowo-szczękowa. Drugiej kuli nie byliśmy w stanie wyciągnąć, co może się przełożyć na dolegliwości. – Lekarz melduje, jakby składał raport frontowy. Odchrząkuje i zawiesza słuchawki na szyi. – W przyszłości operację będzie można powtórzyć, ale organizm musi nabrać sił. Chwilowo zdolności motoryczne...

Przestaję go słuchać. To wszystko nie ma teraz znaczenia. Sześć dób straconych na leżenie w łóżku może mieć dużo poważniejsze konsekwencje niż okresowe dolegliwości bólowe.

– Co to? – chrypię, z trudem unosząc dłoń. Wyprostowuję palec i zaskakuje mnie to, jak bardzo jest bładny i kościsty.

– To? – Sekretarz doskonale wie, o co mi chodzi. Chwyta leżącą na szafce teczkę w brunatnej, płóciennej oprawie i otwiera ją tak, bym mógł dostrzec zawartość. – Przedwczorajszy dekret Rady Komisarzy Ludowych RFSRR. Mārtiņš Lācis⁵ nazwał go „Manifestem Czerwonego Terroru”. Towarzysz zapewne chciałby poznać szczegóły? Rząd oczekuje na jego pilne zatwierdzenie.

7.

MOSKWA, 7 WRZEŚNIA 1918 R.

Podpieram się na łokciach i upijam kolejny łyk wody. Powoli nabieram sił, a świadomość miejsca oraz czasu staje się całkowicie normalna. Lekarz wreszcie wyraża zgodę na

pozostawienie nas samych. Gdy cicho zamyka drzwi, Władimir Dmitrijewicz siada przy moim łóżku i szeroko rozkłada teczkę. Po chwili zaczyna czytać.

– Wszyscy powszechnie znani prawicowi eserowcy muszą zostać bezzwłocznie aresztowani. Należy wziąć jak największą liczbę zakładników. Przy najmniejszej próbie oporu zaleca się natychmiastowe rozstrzelania... – Boncz-Brujewicz zawiesza głos, po czym zerka na mnie niepewnie.

Powoli trawię przeczytane zdania. A więc nie ma wątpliwości, że usiłował mnie zabić jakiś eserowiec. Zza mgły wynurza się twarz kobiety z mętnymi oczami, ale teraz to nieistotne.

– Referujcie – nakazuję oschle.

– Inicjatywą w tym kierunku powinny wykazać się lokalne komitety wykonawcze. Komendy policji zostają zobligowane do podjęcia wszelkich środków w celu wykrycia i aresztowania jakichkolwiek podejrzanych. Bezwarunkowo dokona się egzekucji wszystkich osób zaangażowanych w kontrrewolucję oraz członków Białej Gwardii.

– Wreszcie – szepczę.

– Dekret nadal pozostaje tajny i czeka na zatwierdzenie.

– Referujcie dalej... – naciskam.

Władimir Dmitrijewicz poprawia się na okrągłym stołku i obraca tak, by na dokument padało światło. Nawet najgrubsze okulary nie są w stanie naprawić słabego wzroku.

– Tyły naszych armii muszą wreszcie zostać całkowicie oczyszczone ze wszystkich białogwardzistów i wszelkich nikiemnych spiskowców przeciwko sile klasy robotniczej i najbiedniejszego chłopstwa. W stosowaniu masowego terroru nie może być najmniejszego wahania ani najmniejszego niezdecydowania! – Mój sekretarz przełyka ślinę i mierzwi palcami brodę. – Następnie zostało dokonane wyliczenie osób, które należy rozstrzelać już teraz.

– Jakie to osoby?

– Po pierwsze, wszyscy byli oficerowie wojskowi znajdujący się na specjalnej liście zatwierdzonej przez Czeka. Po drugie, wszyscy podejrzani funkcjonariusze wojska oraz policji. Po trzecie, wszyscy, którzy posiadają broń bez pozwolenia, jeśli nie ma okoliczności łagodzących. Może nią być na przykład członkostwo w Rewolucyjnej Partii Radzieckiej lub organizacji robotniczej. Po czwarte, osoby legitymujące się fałszywymi dokumentami, jeśli są podejrzane o działalność kontrrewolucyjną⁶...

„Wreszcie” – powtarzam w myślach. – „Dotychczas nie mogliśmy poważnie się na żaden z tych kroków, lecz sytuacja musiała zmienić się diametralnie. Nie ma rewolucji bez ofiar, a ja bez wątplenia byłem jedną z nich. Na szczęście przeżyłem złożenie na rewolucyjnym stosie bohaterów”.

– Podajcie mi pióro – nakazuję, usiłując się podnieść. – Zatwierdzam to z największą przyjemnością i z pełnym przekonaniem o słuszności tych słów.

8.

Wsparty o ramię Dzierżyńskiego, spaceruję po dziedzińcu Kremla. Jest przyjemny, jesienny dzień, promienie słońca padają ukośnie i odbijają się od okien, sprawiając wrażenie, jakby wokół nas unosiła się delikatna mgiełka. A może to refleksy wycieńczenia organizmu po niemal dwóch tygodniach spędzonych głównie w łóżku?

Nagle Dzierżyński się zatrzymuje i chwyta mnie mocniej pod łokieć. Czujnie rozglądam się wokół. Ten człowiek o twarzy lisa świdruje mnie spojrzeniem małych oczu. Jego usta rozchylają się w ledwie widocznym uśmiechu, co jest bardzo rzadkie dla jego fizjonomii. Tak rzadkie, że sprawia wręcz odrażające wrażenie. Cenię go, ale nie potrafię dopuścić go bliżej siebie. Dzisiejszy spacer utwierdza mnie w przekonaniu, że wolałbym wspierać się na ramieniu kogokolwiek innego.

Dzierżyński sięga do przewieszanej przez ramię teczki i wyciąga z niej jakieś dokumenty.

– Proszę. – Podaje mi je, ponownie śmiało patrząc mi prosto w oczy. – To z pewnością was zainteresuje, towarzyszu.

– Co to?

Waham się, ale wreszcie sięgam po kilka kartek oraz spiętych fotografii. Dwie z nich przedstawiają kobietę w pstrokatym płaszczu *en face* oraz z profilu. Jej ostre rysy twarzy oraz charakterystyczne oczy zwracają moją uwagę. Skądś je pamiętam.

– Czy... – zawieszam głos.

– To Feiga Chaimowna Rojtblat-Kaplan – wyjaśnia Dzierżyński. – Oddała do was trzy strzały i została ujęta niedługo później.

Mam kolejny przeblýsk.

– Ktoś mi o niej mówił, gdy dochodziłem do siebie – cedzę. – Kazałem, aby wtrącono ją do więzienia i pokazano, że bolszewicy potrafią godnie obchodzić się z wrogami.

– Przesłuchano ją. Kilkukrotnie.

Ton Dzierżyńskiego nie podoba mi się i jak zwykle irytuje mnie niedopowiedzenie. Ten człowiek zazwyczaj wypowiada się właśnie w ten sposób.

– Czy została skazana?

– Opierała się.

– Opierała? Czemu? Albo komu?

Zmęczony nabieram powietrza i zerkam na kolejne fotografie. Przedstawiają tę samą kobietę leżącą na bruku, z podkulonymi nogami oraz plamami krwi na piersi. Następne zdjęcie stanowi zbliżenie jej twarzy. Ma półprzymknięte oczy, w których widać jedynie białka. Lekko rozchylone wargi zastygły, jakby nie zdążyły wymówić ostatniego oskarżenia. W kąciку ust zebrała się drobna strużka krwi.

Jednocześnie czuję odrazę oraz satysfakcję. Staram się, aby żadna z tych emocji nie mogła zostać wyczytana z mojej miny. Wiem, że Dzierżyński, mimo że milczy, wciąż uważnie mi się przypatruje.

– Lepiej, aby o niej jak najszybciej zapomniano. – Zdecydowanie, lecz delikatnie odbiera ode mnie fotografie oraz dokumenty. Tym razem wiem, co ma na myśli. Po chwili dodaje: – Zostaliście, towarzyszu, bohaterem rewolucji.

Na jego twarzy nie ma już choćby cienia uśmiechu. Jest całkowicie poważny. Chowa dokumenty do teczki i podtrzymując mnie pod łokieć, rusza w stronę bocznej bramy.

– Dlaczego to zrobiła? – chrypię. – Powinniście się dowiedzieć chociaż tego. I tego, z kim współpracowała.

– Proszę sobie tym nie zaprzętać głowy, towarzyszu.

W tonie Dzierżyńskiego tkwi mimowolna szlachecka uprzejmość. Coś, z czym tak usilnie zawsze stara się walczyć.

– Musimy wyciąć w pień zdrajców.

Nie wiem, czy to on wypowiada te słowa, czy czyni to moje sumienie. Nim wchodzimy do bramy, czujnie rozglądam się wokół siebie. Nigdy wcześniej nie towarzyszył mi tak

namacalny strach.

9.

11 WRZEŚNIA 1918 R.

Spoglądam na sobór Wasyla Błogosławionego i po raz kolejny nachodzą mnie wątpliwości. Czy nie powinniśmy wymordować wszystkich duchownych? Czy w państwie socjalistycznym może istnieć religia? Tysiące ludzi przychodzą tu oddać cześć szalonemu mnichowi, który z własnej woli w największe mrozy chadzał półnago, nie dojadł i sypiał prosto na bruku. Może właśnie takie są natura i ideał prawdziwego rosyjskiego ducha? Samoudręczenie? Pokuta za nieokreślone grzechy?

Te kopuły sprawiają ohydne, nieproporcjonalne wrażenie. Cały Kreml wymaga przebudowy, ale na razie nie możemy sobie na to pozwolić. Ludzie są do niego zbyt przyzwyczajeni. Rewolucja nie powinna sięgać architektury w momencie, gdy brakuje żywności. Nie powinna, co nie znaczy, że nie może.

– Towarzyszu Siewierski – przywołuję jednego z członków gabinetu politycznego. To poczciwy starzec, który nigdy nie boi się powiedzieć, co myśli. Wiek pozwala mu czuć się bezkarnym. – Powiedźcie mi, czy nie należałoby rozebrać soboru?

– A po co, towarzyszu Leninie?

– Jako symbol ciemnoty, która odciąga człowieka od wysiłku społecznego udziału życia wiecznego...

Ktoś za naszymi plecami cicho się śmieje, lecz zapewne zganiony przez towarzyszy natychmiast milknie. Nie zamierzam się odwracać. Wokół jest kilkadziesiąt osób z mojej najbliższej świty, co jeszcze niedawno zawstydziłoby mnie. Kadr doskonały do uwiecznienia na jednym z tych monumentalnych obrazów, które przepełniają Kreml.

– To jest symbol. – Siewierski podnosi w górę chudą dłoń i coś wskazuje palcem. Po chwili zdają sobie sprawę, że ma na myśli krzyże zwieńczające kopuły. – Reszta to cegły okalające stęchłe powietrze.

– Myślicie, że wystarczyłoby je zdjąć?

– W moim wieku lepiej być ostrożnym z takimi sądami. Ale to najwygodniejsze rozwiązanie. I jeszcze te dzwony...

– Dzwony?

– Nigdy nie lubiłem ich bicia. Mają ponury ton przywodzący skojarzenie z setkami lat poddaństwa. Poza tym mają sporą wartość...

Uśmiecham się, a w końcu nie powstrzymuję głośnego śmiechu. Po chwili paraliżujący ból rozchodzi się od mojej szyi do ramienia. Krzywię się, odruchowo wstrzymując powietrze. W tej samej chwili kątem oka dostrzegam, że od strony Łobnojego Miasta szybkim krokiem zmierza ku nam Władimir Dmitrijewicz w kompanii jakiegoś elegancko ubranego towarzysza. Mężczyzna jest gładko ogolony, ma mocne, męskie rysy i nosi jasny płaszcz podbity futrem. Jak na tę pogodę powinno mu być za gorąco, lecz szybko się domyślam, że jest cudzoziemcem. Zatrzymuje się kilkanaście kroków ode mnie. Tymczasem mój sekretarz zbliża się i wykonuje niezdarne gesty, jakby chciał nas przedstawić sobie na tę niezbyt taktowną odległość.

– Towarzyszu – szepcze konspiracyjnie – to żurnalista z Berlina. Chciałby przeprowadzić z wami serię wywiadów, które zredaguje jako książkę i opublikuje na Zachodzie.

A więc o to chodzi. Uważnie spoglądam na nieznanego, lecz ten nie odwraca wzroku. Odwzajemnia moje zaintrygowane spojrzenie. Nagle wsuwa dłoń do kieszeni, a po plecach przebiega mi dreszcz. W tym momencie jeden z moich ochroniarzy unosi pistolet, lecz obcokrajowiec zachowuje spokój. Z niepewnym uśmiechem powoli wyjmuje niewielki notes oraz pióro. Z ulgą przestępuję z nogi na nogę.

– O czym chciałby rozmawiać? – pytam Władimira Dmitrijewicza.

Mój sekretarz ciężko wypuszcza powietrze.

– O was. Ponoć na Zachodzie coraz bardziej się wami interesują, towarzyszu.

– To ważniejsze od zwalania krzyży i demontowania dzwonów – rzuca Siewierski, który wciąż stoi tuż obok mnie. – Pozwala przedłużyć życie.

Wiem, że ma rację, a mimo to jeszcze raz ukradkiem zerkam na kopuły soboru. W żółtym popołudniowym słońcu migoczą rozmaitymi barwami. Tak, właśnie w tym tkwi rosyjska dusza.

– Jutro wyjeżdżam do posiadłości w Gorkach – oznajmiam, odchodząc. – Niech się tam stawi.

10.

GORKI, 13 WRZEŚNIA 1918 R.

Pałac w Gorkach ma w sobie przyjemną harmonię. Neoklasycystyczny styl, sześciokolumnowy portyk, zwarta, ale niemonumentalna bryła. Do tego całkowicie inne powietrze niż w Moskwie. Ożywcza świeżość, jaką pamiętam z kolejnych miejsc, w których tułałem się od dziecka. A nawet z Syberii. To ostatnie wspomnienie nie jest tak nieprzyjemne, jak wielu chciałoby utrzymywać. Jak chciałbym utrzymywać nawet ja sam.

– Z przyjemnością wysłucham tej historii od początku – odzywa się dziennikarz. Potrząsa trzymany w dłoni notatnikiem, między którego strony włożył pióro oraz ołówki. – Najpierw będę słuchał, potem notował. Wszystko pan zaakceptuje...

– Towarzyszu.

– Tak... towarzyszu.

Zatrzymuję się i ściągam połę płaszcza. Poza świeżym powietrzem w Gorkach panuje całkowicie inny klimat niż w Moskwie. Mimo że od Kremla dzieli nas ledwie kilkanaście kilometrów, jest tu chłodniej i bardziej wilgotno. A jednak przyjemnie. Wiodę wzrokiem po zielonej, równo przyciętej trawie, po żółciejących koronach drzew, wreszcie zatrzymuję spojrzenie na okrągłym gazonie. W mieście nie spostrzegłem, że tak szybko nadchodzi jesień. Faktem jest również, że przez ostatnie dwa tygodnie większość czasu spędziłem w zamkniętych pomieszczeniach.

Ukradkiem unoszę dłoń i dotykam zasłoniętej gazą rany. Gdzieś tam nadal tkwi kula. Lekarzom nie udało się jej wydobyć, a ponowna operacja na razie jest zbyt ryzykowna. Czy rzeczywiście boję się śmierci?

– O czym chcielibyście posłuchać? – zwracam się do dziennikarza. – Zdaje się, że wszystko, co miałem do powiedzenia, zawarłem w swoich pismach.

– Te pisma, za przeproszeniem, to tylko martwe zdania. Przede mną stoi żywy człowiek, który interesuje społeczeństwa Zachodu. Wiele się o was mówi, a jeszcze więcej dopowiada.

– Dopowiedzenia... – parskam. – Są gorsze od oszczerstw.

– Często tak.

Nasze spojrzenia się spotykają i jednocześnie się uśmiechamy. Ja nauczyłem się rozmawiać półsłówkami w konspiracji, natomiast dla niego to sposób zarobienia na chleb. Wszyscy dziennikarze tak robią.

– Jak długo zostanie pan w Rosji?

– Tak długo, ile będzie trzeba. – Żurnalista wzrusza ramionami. – Chciałbym opowiedzieć prawdę i mam nadzieję, że pozwolicie mi do niej dojść.

Prawda? Dla każdego jest inna. Pisało i mówiło o tym już zbyt wielu, aby się mylić. Jednak nie wyrażam tych skojarzeń na głos. Wiem, co mogłby pomyśleć ten młokos przeżarty zachodnią perspektywą postrzegania rzeczywistości.

– Kiedy miałbym zacząć?

– Choćby teraz.

Lubię ludzi pracy oraz konkretno. W tym mężczyźnie od razu dostrzegłem obie te cechy. Dobrze. Skoro to pozwoli nakreślić mój portret... Portret rewolucji – poprawiam się. Żurnalista szeroko się uśmiecha, co ma stanowić zachętę do opowieści.

– Urodziłem się w siedemdziesiątym roku w Symbirsku – zaczynam z pewnym zakłopotaniem. Rzadko kiedy o tym mówiłem. – To niewielkie miasto nad Wołgą, które w tamtym czasie wypełniali wojskowi, panoszący się wszędzie burżuje oraz pijani, zrezygnowani życiem chłopci. Kojarzycie tę mieszankę? Na Zachodzie nigdzie nie jest tak wyraźna ani tak zrozumiała. To typowo rosyjski wynalazek, szczególnie jeśli doda się do niej Czuwaszy oraz Tatarów. Nie notujecie?

Dziennikarz kręci głową. Jedynie przekłada notatnik z ręki do ręki, uważając, by nie wypadły z niego pióro i ołwki.

– Najpierw zapamiętuję. Zapisywać będę jedynie to, czego nie rozumiem.

– Dziwny system. Ale mniejsza. – Lekceważąco macham ręką. – Dajmy spokój mojemu dzieciństwu. To nie ma większego znaczenia, przynajmniej do pewnego dnia, kiedy wróciłem ze szkoły. Dnia, w którym Władimir Iljicz Uljanow zaczął się stawać Leninem.

⁵ Kierownik Wydziału do Walki z Kontrrewolucją Czeki przy Radzie Komisarzy Ludowych RFSRR, jeden z najbliższych współpracowników Feliksa Dzierżyńskiego.

⁶ Dekret został przytoczony niemal dosłownie. Sformułowano w nim również zasady przeprowadzania egzekucji oraz organizację obozów koncentracyjnych. Już kolejnego dnia na jego podstawie rozstrzelano kilkunastu carskich ministrów oraz przedstawicieli rządu. Masowe czystki miały miejsce niemal we wszystkich większych miastach. Czerwony terror w ciągu doby zebrał setki ofiar między innymi w Petersburgu, Kronsztadzie oraz Moskwie. Ich dokładna liczba nigdy nie została ustalona.

11.

SYMBIRSK, KWIECIEŃ 1887 R.

– Pójdiesz w ślady ojca?

Mój przyjaciel Nikołaj Suchow spogląda na mnie poważnie. Nie zdaje sobie sprawy, że wspomnienie ojca nadal wywołuje w moim sercu nieprzyjemne ukłucie. Nie potrafię się pogodzić z jego śmiercią. Zmarł zbyt młodo i zostawił wszystko na głowie mamy. Jako inspektor szkolny guberni sycbirskiej cieszył się ogólnym poważaniem, a naszą rodzinę traktowano z szacunkiem. Być może miałem czasem fory, ale nigdy nie okazywano tego wprost.

– Co masz na myśli? – pytam głupawo.

Wracamy ze szkoły, jest szary, wiosenny dzień, a od zachodu zbierają się ciężkie, deszczowe chmury. Przez ostatnie dni na przemian pada deszcz i świeci łagodne, wiosenne słońce.

– No, czy też zostaniesz inspektorem – dopytuje Suchow. Ma pyzată, zawsze spoconą twarz i tłuste włosy. – To chyba dobra robota.

– A bo ja wiem...

– No, Wołodia, ja widzę, że ty byś chciał.

– Odkąd ojciec nie żyje, nie wiem, czego bym chciał. Czasem mnie o to podpytywał, a teraz ani on nie pyta, ani ja sam o tym nie myślę. Koniec kropka.

Suchow nie ciągnie tematu. Chyba dostrzega, że wciąż jest dla mnie zbyt bolesny. Zresztą po co miałbym się zastanawiać nad tym, co będę robił za kilka lat? Teraz jesteśmy tutaj, czekają nas egzaminy, a potem wszystko potoczy się swoim biegiem. Mam dość pomysłów. I problemów.

Zbliżamy się do jednopiętrowego, pomalowanego na zielono domu z dwoma szeregami liczącymi po cztery okna⁷. Kolejne, znacznie mniejsze znajduje się nad drzwiami wejściowymi. W budynku mieszkają trzy rodziny, w tym moja. Na ławce siedzi stara pani Wasiljowykowa, obserwuje nas pustymi oczami i cicho mamrocze. Mamrocze od dnia, gdy dowiedziała się, że jej syn zginął na Krymie. To już ponad ćwierć wieku.

– Do jutra – rzuca Suchow.

Mieszka kilka domów dalej przy tej samej ulicy. Macham mu na pożegnanie i kłaniam się starej Wasiljowykowej. Oczywiście mój gest nie powoduje żadnej reakcji.

Wchodzę na ciemny pachnący stęchlizną korytarz. To zapach wszystkich domów, w których umarło kilka pokoleń. Nie wiem, dlaczego ta myśl przychodzi mi do głowy właśnie w tym momencie. Drewniana podłoga skrzypi pod stopami, a gdzieś z piętra dobiegają krzyki. Nie zwracam na nie uwagi.

Drzwi naszego mieszkania jak zawsze są uchylone. Zwyczajowo pukam, obtupię zakurzone buty i wchodzę do środka. To prosty dom z podpiętymi wysoko firanami w oknach, nakrytym obrusem stołem oraz drewnianymi giętymi krzesłami. Ściany pokrywają dość porządne tapety, które odziedziczyliśmy po poprzednich właścicielach. Jednym z głównych mebli jest spore, bogato rzeźbione lustro o pełnej wyprysków tafla.

Nagle zdają sobie sprawę, że krzyki, które słyszałem na korytarzu, dobiegały właśnie stąd. Z tego mieszkania. Teraz znów się rozlegają.

Natychmiast kieruję się w stronę sypialni matki i nie bacząc na przyjęte zwyczaje, otwieram szeroko drzwi. Moja młodsza siostra Maria siedzi na skraju wielkiego łóżka. Obok niej leży matka. Ma podkulone nogi, twarz schowaną w poduszce i dłonie zaciśnięte na pościeli.

– Co się stało? – Szybko podchodzę w ich stronę.

Maria nie odpowiada. Spogląda na mnie wzrokiem tak samo pustym jak wzrok Wasiljowykowej. Natomiast matka delikatnie się porusza, odchyła poduszkę i spogląda na mnie zaczerwienionymi oczami. Wiem, że stara się opanować emocje, ale nie jest w stanie. Spazmy płaczu wstrząsają jej ciałem. Mimo to zaciska usta i powoli się podnosi. Odruchowo przygląda szarą suknię.

– Twój brat Sasza... – Głos jej się łamie w pół zdania. – Został aresztowany.

Uginają się pode mną nogi, lecz udaje mi się nie upaść. Zaciskam palce na oparciu niskiego krzesła.

– Jak to? Za co?

– Oni... Oni mówią, że planował zamach bombowy na cara. Mój Boże... Co z nim będzie?

Matka ponownie wybucha płaczem, lecz w jej twarzy dostrzegam wyraz rodzącej się determinacji. Wie, że nie może pozwolić sobie na rozpacz. Tymczasem ja czuję rosnącą mi w gardle gulę.

12.

25 KWIEŃNIA 1887 R.

– Nikt nie odpowiedział na mój list. Nikt.

Matka zaciska usta i powstrzymuje się od płaczu. Wiem, że w ciągu ostatnich dni wysłała kilkadziesiąt próśb o pomoc. Do dawnych znajomych ojca, do prezesa sądu, do kilku ministrów, a nawet do samego cara.

– Skażą go na Sybir. – Matka mówi to bardziej do siebie niż do mnie. – Piętnaście, może dwadzieścia pięć lat. Kto się nad nim ulituje? Stamtąd niewielu wraca... A ci, co wracają...

– Coś wymyślimy. – To słabe pocieszenie, ale nie stać mnie na nic więcej. – Z pewnością w końcu ktoś nam pomoże.

– Niby kto?

– Nie wiem, ale przecież wszyscy cenią Saszę.

Zerkam na woźnego sądowego, który na końcu korytarza ćmi fajkę. Dym snuje się po pomieszczeniu, roznosząc zapach taniego, wilgotnego tytoniu. Stojący przed salą strażnik ze znużenia przestępuje z nogi na nogę. Gdzieś z głębi budynku dobiega czyjś krzyk, potem trzaskają drzwi i niesie się tupot ciężkich kroków. Wszystkie te dźwięki wzbudzają głęboki, odbierający dech niepokój.

– Może wyrok będzie niższy. Ostatnio często wymierzają Sybir ledwie na kilka lat, a potem i tak skracają karę.

– Nie dla zamachowców.

– Niedoszłych zamachowców, mammo...

Zamachowiec. To słowo brzmi jak wystrzał z rewolweru. Nie przypuszczałem, że mój opanowany, nader poważny brat mógł brać udział w jakimś szaleńczym spisku. Dlaczego?

Przeciw komu? Czy car stanowił uosobienie wroga jego ideałów, czy może chodziło o przypadkową ofiarę, aby zaznaczyć istnienie organizacji? Owszem, Sasza czytywał rozmaite książki zachodnich filozofów, często nawet poruszał temat ich poglądów, ale żadne z nas nie przypuszczało, że traktował je tak... Poważnie? Czy to w ogóle dobre słowo? Czy za coś traktowanego poważnie można być gotowym na wieloletnią zsyłkę? Nigdy nie uważałem, że poglądy polityczne mogą rywalizować o rząd dusz z religią. A przecież to właśnie spośród męczenników wybrano tych najprawdziwszych świętych.

Nie jesteśmy z Saszą zżyci tak, jak bywają niektórzy bracia. To nie kwestia wieku, dzielą nas zaledwie cztery lata, ale różnica sięga znacznie głębiej. Sasza ma w sobie bardzo wiele z ojca, a już samo to sprawiło, że dla matki jest ukochanym synem. Zawsze nim był. Zastanawiam się, czy w trakcie rozprawy sądowej, w której to ja byłbym oskarżonym, również tak bardzo by się martwiła? Denerwowałaby się, to pewne, ale czy byłaby bezgranicznie zrozpaczona? To próżne i puste myśli, które nie powinny się w ogóle pojawiać. Aby wyrzucić je z głowy, bacznie obserwuję strażnika. To młody mężczyzna, w doskonale dopasowanym mundurze, lecz nieco zbyt wielkiej czapie. Wygląda dostojnie, lecz jest w nim również coś śmiesznego. Jakby stanowił żalotne zobrazowanie tego, czym pogardza mój brat. Piękny mundur oraz za duża czapa...

Nagle otwierają się drzwi i staje w nich wysoki mężczyzna w garniturze. Ma niebieskie oczy, z którymi kontrastują ciemne, bujne wąsy wywiniete ku górze.

– Wyrok ogłoszono – szepcze, z ukosa spoglądając na moją matkę. – Wszyscy zostali uznani za winnych.

Po korytarzu niesie się szmer. Poza nami znajduje się na nim kilka innych rodzin, przyjaciół oraz znajomych oskarżonych. Zdaje się, że są również co najmniej dwaj dziennikarze, choć mogą być tylko szpiclami. Nawet woźny opuszcza fajkę i nachyla się, aby lepiej słyszeć.

„Dziesięć lat?” – pytam się w duchu. – „Dwadzieścia?”

Kolejne słowa eleganckiego mężczyzny sprawiają, że po korytarzu niesie się rozpaczliwy płacz.

13.

TWIERDZA PIETROPAWŁOWSKA, SANKT PETERSBURG, 30 KWIETNIA 1887 R.

– Błagam cara o łaskę! Zrób to dla mnie i dla swojego rodzeństwa.

Sasza nie patrzy ani na mnie, ani na matkę. Jego wzrok jest pusty i błędzi gdzieś po kamiennym suficie. Niewielkie pomieszczenie, w którym pozwolono nam się zobaczyć, przypomina bardziej piwnicę niż część gmachu państwowego.

Matka ma stężałą, opuchniętą twarz, podkrążone oczy i popękane naczynka na nosie. W ciągu ostatnich kilku dni postarzała się o wiele lat. Nawet porusza się inaczej niż dotąd. Włóczy nogami, pochyla kark i nerwowo zaciska dłonie. Po raz pierwszy do stroju wyjściowego nie założyła rękawiczek.

– Nie zrobię tego.

Te słowa Saszy wywołują spazm płaczu. Matka jest gotowa paść mu do kolan i błagać, by nakreślił kilka pokornych zdań. Wczoraj doszła nas wieść, że car jest gotów złagodzić wyrok, o ile skazańcy wykażą głęboką skruchę. Kilku z nich już to zrobiło, ale nie Sasza.

Patrzę na niego tak, by matka nie dostrzegła mojego spojrzenia. Nie potrafię ukryć podziwu oraz podszytej stężalym przerażeniem dumy. W końcu spoglądam na człowieka, który pragnie wziąć na siebie całą odpowiedzialność za organizację zamachu. Nikogo nie zdradził i niczego się nie wyparł. Nawet za cenę... Nie mogę się wciąż okłamywać i stawiać pauzy myślom.

Sasza został skazany na śmierć.

Nie na dziesięć lub dwadzieścia lat zsyłki na Sybir, ale na okrutną śmierć przez powieszenie na szafocie, którego elementy pewnie są już zwożone na miejsce kaźni. Na śmierć.

– Saszeńko... – Matka opanowuje łzy i wyciąga ku niemu ręce. Bezsilnie zaciska powykrzywiane artretyzmem palce. – Powiedz coś, Wołodia...

Nie potrafię wydusić ani słowa. Spuszczam wzrok i przełykam ślinę. W głowie mam pustkę. Zmuszam się, by jeszcze raz zerknąć na brata. Na jego łagodną, choć pełną zacięcia twarz, na zmierzwione włosy i wreszcie, w skrzące się oczy. Nasze spojrzenia się spotykają. Rozchylam usta, chcąc się odezwać, lecz Sasza mrugnięciem daje mi znać, żebym milczał. Nigdy nie miałem prawa mu się sprzeciwić, więc nie potrafię zrobić tego również teraz.

Matka dotyka jego zaróżowionego policzka. Szlocha i co rusz łamiącym się głosem powtarza jego imię.

– Nie mogę zdradzić przyjaciół. – Sasza odzywa się z dziwną, teatralną emfazą. Wiem, że teraz pozostało mu tylko to i tym bardziej go podziwiam. – Nie mogę zdradzić sam siebie.

Jego ostatnie wyznanie zostaje przerwane przez szczęk zasuw. W drzwiach, z ciężkim kluczem w rękę staje monstrialnie wielki strażnik o tłustej gębie zakapiora.

– Koniec widzenia – oznajmia tonem więziennego jedynowładcy.

Ja również wyciągam dłoń ku Saszy, lecz nie mam odwagi dotknąć jego twarzy. Chwytam go za ramię i delikatnie zaciskam palce. W tej chwili łączy nas więcej, niż łączyło przez całe życie.

14.

TWIERDZA SZLISSELBURG, 8 MAJA 1887 R.

Z Petersburga do Szlisselburga nad Ładogą można się dostać drewnianym promem, tratwą lub parowcem, który właściwie pełni rolę łodzi Charona. Kilkudziesięciokilometrowy odcinek Newy pokonuje się dość szybko, gdyż wody są zazwyczaj zupełnie spokojne. Czasem, w trakcie nawałnic, pojawia się cofka, wtedy zdarza się, że zaskoczeni marynarze oraz ich załogi toną lub rozbijają się o brzegi. Przynajmniej taką opowieścią uraczył mnie jeden z oficerów pokładowych, choć z trudem potrafiłem skupić się na jego słowach.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób matka zdobyła pozwolenie na towarzyszenie Saszy w ostatniej drodze. Szlisselburg jako twierdza i więzienie nie dopuszcza do siebie ludzi postronnych. Można tu żyć jako żołnierz lub umierać jako skazaniec. I właśnie w tej drugiej roli przed kilkoma dniami trafił tu mój brat.

Długie, grube mury na rogach stykają się z przysadzistymi wieżami. Wszędzie widać otwory strzelnicze, z których lyskają szkła lornetek oraz lunet. Ten widok wyłonił się nam z oparów porannej mgły.

– Czasem car każe ogłosić swoją łaskę tuż przed egzekucją – mówię. – To się zdarza.

Matka nic nie odpowiada. Od pewnego czasu w ogóle przede wszystkim milczy, a jej oczy nabrały mętnego wyrazu oczu ślepców. Może to i dobrze? Może najlepiej by było, gdyby teraz nie widziała tego, co rozciąga się pod nami? Wielkiego dziedzińca, na którym wznoszą się trzy złowieszcze szubienice.

Obok siebie stoi pierwsza trójka. Pachomij Andriejuszkin, drobny i roztrzęsiony, Wasilij Osipanow, wyprostowany i dumny, oraz Wasilij Gienierałow, który odmówił pocałowania krzyża. Teraz każdy z nich ma na głowie czarny kaptur, a wokół ich szyi biegną grube, konopne sznury.

Rozglądam się, licząc, że z którejs z bocznych bram wyjdzie strojny oficer, by obwieścić zamianę ich kar na zesłanie. Przez moment jestem wręcz przekonany, że tak musi się stać. Zamiast tego pada ostra, krótka komenda:

– Wykonać!

– Niech żyje Narodna Wolja!

Ten stłumiony przez kaptury okrzyk stanowi ostatni manifest trójki skazańców. Ułamek sekundy później ich ciała spazmatycznie drżą, a nogi przecinają powietrze. Pod stopami nie ma już jednak niczego, o co mogliby się zaprzeć. Powoli nastaje całkowita cisza. Cisza tak głęboka, że muszę zacisnąć oczy i spuścić głowę między ramiona. Matka stoi całkowicie nieruchomo i bez słowa. Już nie płacze.

– Zdjąć ich.

Wyraźnie słyszę stukot kroków po drewnianych stopniach, a potem głuchy łoskot odcinanych ciał. Nikt nie stara się ich delikatnie układać na ziemi. Wiem, że zostaną wywiezione na wozie ciągniętym przez muła.

– Następni.

Z ociąganiem podnoszę głowę i otwieram oczy. Piotr Szewyriow kroczy tuż przed Saszą. Na widok wyciągniętego przez popa krzyża gniewnie spluwa. Za to mój brat nabożnie całuje krucyfiks. Najwyraźniej jest pogodzony nie tylko ze śmiercią, ale również z Bogiem. To dobrze, to bardzo dobrze...

Kątem oka zerkam na matkę. Trzyma dłonie złożone jak do modlitwy i wygina palce. Nawet nie mruga. Z jej szeroko rozwartych oczu ciekną pojedyncze, wielkie łzy.

„Musi ich ułaskawić” – myślę. – „Musi”.

I wtedy znów słyszę krótką komendę „Wykonać”, po której z dwóch gardeł dobywa się okrzyk „Niech żyje Na...”. Tym razem ostatni manifest skazańców zostaje przerwany. Wieńczy go stukot otwieranej zapadni i trzask rozrywanych kręgosłupów. Potem ponownie słychać głęboką, przerażającą ciszę. Mam wrażenie, że ostatnie spojrzenie wybałuszonych oczu mój brat kieruje właśnie na mnie.

15.

Stoję na apelu, w szkolnym mundurku, wystrojony jak strażnik przed wejściem do sali sądowej i żołnierz nieopodal szafotu, na którym wiatr poruszał ciałem mojego brata. Przed oczami mam jego martwą twarz z lekko rozchylonymi sinymi ustami i krwawymi wybroczynami na języku. Oczy są zamknięte, prawdopodobnie kat docisnął powieki na życzenie matki lub popa, który w ten sposób wypełnił ostatnią posługę wobec zbląkanej duszy.

Od egzekucji minęło już kilka tygodni, lecz nadal nie potrafię sobie poradzić z natłokiem myśli. Rozmaite obrazy oraz skojarzenia nasuwają się przed snem i w samych

snach, po rozbudzeniu, a nawet w ciągu dnia. Tak jak teraz.

Sasza.

Staram się skupić na tym, gdzie jestem. Apel z okazji zakończenia roku szkolnego trwa w najlepsze, a dyrektor Fiodor Kiereński⁸ od prawie godziny nieustannie wygłasza podniosłe frazesy. Dwa, trzy miesiące temu słuchałbym go z naiwnym zainteresowaniem, lecz teraz nie rozumiem żadnego z tych słów. Peany na cześć ustroju oraz imperium mieszają się z gratulacjami dostąpienia zaszczytu znalezienia się w elitarnym kręgu absolwentów.

Sasza.

W tym świecie nikt nie ma prawa pamiętać o Narodnej Woli i ostatnich słowach mojego brata. Nawet jeśli prawdą jest, że kilka dni przed śmiercią zdecydował się wysłać do cara prośbę o ułaskawienie, wiem, że zrobił to tylko dla matki⁹. Był dumny. Czy ja potrafiłbym być równie dumny i konsekwentny? Chciałbym i wiem, że jego postawa dodadzą mi siły w chwilach słabości. Zawsze będę miał przed oczami jego twarz.

Sasza.

Nawet jeśli wszyscy zapomną o ostatnim memento, o dumie i niepokorności, żyje się dla ideałów. Być może do tego sprowadza się rewolucja. Jeden świadek wystarczy, by nieść jej ogień w świat i dzięki temu płomień nigdy nie gaśnie. Ja jestem tym świadkiem.

Sasza.

Egzekucje nie mają już dawnego splendoru ani nie przypominają zabaw dla ubogiej gawiedzi. Nie sprasza się na nie ludu, który mógłby zerwać ze skazańców szaty oraz precjoza. Ten prosty, biedny lud czuje bowiem, że wiesza się jego członków, obrońców i bohaterów. Właśnie dlatego szafoty rozstawia się na dziedzińcach twierdz oraz fortec, a nie na głównych placach miast. Zwłoki skazańców trafiają zazwyczaj do bezimiennych grobów. Do rodzin wysyła się jedynie listy z urzędowo skreśloną notatką o braku łaski. Władza podskórnie wyczuwa, na jakiej znajduje się pozycji, gdyż nikt nie pisze: „powieszono Aleksandra Uljanowa”, lecz komendant obwieszcza: „Jego Imperatorska Mość nie okazał łaski”. Czy w ten sposób komendant identyfikuje się ze skazanym i stawia w opozycji do cara? Czy zrzuca na niego część winy za to, co się stało, jakby wiedział, że Twierdza Pietropawłowska i Szlisselburg muszą kiedyś zamienić się w gruz niczym Bastylia?

– Władimir Iljicz Uljanow.

Dyrektor Kiereński szerokim, familiarnym gestem rozkłada ręce i zaprasza mnie do siebie. Z wysoko uniesionym podbródkiem powolnym krokiem ruszam w jego stronę.

– Otrzymujesz, chłopcze, złoty medal dla najlepszych uczniów – oznajmia, gdy moje kroki dudnią na drewnianym podeście, jak kroki kata na szafocie. – Świetnie rokujesz, lecz twoja przyszłość zależy od ciebie. Musisz podążyć właściwą drogą.

To oczywista aluzja. Kiereński pochyła się i spogląda mi prosto w oczy. Pociąga szerokim nosem, po czym przybiera swoją normalną, urzędową pozycję. Choć zawsze był mi przychylny, teraz czuję do niego dziwną niechęć. Do niego, a może również do mojego ojca. Za to, że umarł tak wcześnie.

Matka pękała z dumy. Gdy odjeżdżałem pociągiem do Kazania, stała na dworcu i w kłębach pary machała mi tak długo, aż wagon zniknął za ostatnimi budynkami stacji. Wtedy po raz pierwszy wybuchnąłem niekontrolowanym płaczem. Poczulem się, jakby świat nagle zawałił mi się na głowę i zmusił mnie do pełzania z twarzą wciśniętą w błoto. Upokorzony i samotny.

Studia prawnicze miały stanowić przepustkę do wygodnego życia, do świata obitych czerwonym aksamitem salonek, zamykanych łóż operowych oraz stanowisk przy carskim dworze. Oczywiście, droga do nich miała być kręta i pełna wybojów, wieść przez zatęchłe pokoiki sądowe oraz ciemne gabinety radców i ich sekretarzy. Nie wiedziałem, czy w ogóle chcę dojść do majającego niczym ułuda celu.

Łacinę znałem już całkiem dobrze ze szkoły, udzielałem nawet korepetycji, więc nie przejmowałem się egzaminem, który uchodził za najtrudniejszy. Miałem dość czasu, aby czytać znacznie więcej niż tylko opasłe podręczniki z ponadrywanymi okładkami. Przywiozłem ze sobą część książek z biblioteczki Saszy. Czułem, że za ich pośrednictwem będę mógł zagłębić się w świat mojego brata, w świat, do którego nie dopuścił nikogo ze swoich bliskich.

W listach nie wspominaliśmy o nim ani słowem. W domu jego temat pojawiał się półgębkiem, kończył wymianą ukradkowych spojrzeń oraz niezręczną ciszą. Nie wiedziałem nawet, czy matka jest z niego dumna, czy wręcz przeciwnie, czuje wściekłość, że stał się tym, kim się stał, i zginął w tak upokarzający sposób. Chciałem ją o to zapytać, lecz nie miałem odwagi. Zauważyłem jednak, że teraz to ja zostałem jej ukochanym dzieckiem. Przyjąłem to z pokorą i zawstydzeniem, bo wiem, że nie mogę zastąpić Saszy. Przede wszystkim nie chciałem go zastępować.

Wśród studentów jest wielu młodych mężczyzn, którzy nazbyt często wymieniają ukradkowe spojrzenia. Chodzą z czarnymi chustami w miejscu krawatów i fularów. Podpierają się na drewnianych laskach ze srebrnymi główkami, choć wcale nie kuleją. Wiem, że oni wiedzą. Nawet teraz czuję na sobie ich wzrok.

Grupa pięciu studentów z różnych lat stoi u szczytu szerokich, marmurowych schodów. Rozmawiają półszepem, choć korytarze uczelni wypełnia gwar. Ich ruchy są dyskretne i delikatne, jakby brzydzyli się jakimkolwiek marnotrawstwem energii. Jakby życie nie było godne nadmiernego entuzjazmu. Twarze niektórych z nich pokrywa meszek zarostu, inni noszą krótkie wąsy. Wszyscy są bardzo poważni i dostojni. Smutni. Wydaje mi się, że są smutni w ten sposób, w jaki bywają ludzie, którzy widzieli twarze swoich bliskich ściąganych z szubienicy. Jak ja.

Jeden z nich, wysoki blondyn o niezgrabnym chodzie, kieruje się w moją stronę. Uśmiecha się delikatnie, jakby była to pewna kłopotliwa formalność.

– Lazar Bogoraz – przedstawia się, wyciągając dłoń z sygnetem na palcu serdecznym.

– Władimir II...

– Wiem.

Kiwam z zainteresowaniem głową. Tymczasem on przyjacielsko obejmuje mnie ramieniem i poklepuje dłonią po barku.

– Chcemy odrodzić Narodną Wolę – szepcze mi do ucha. – Pragniemy zmienić ten cholerny świat... Jak twój brat.

Bogoraz daje mi znać, abym wraz z nim stanął na ławce ustawionej na korytarzu uniwersytetu. Wokół jest co najmniej kilkudziesięciu studentów oraz paru profesorów. Lazar unosi dłonie niczym wytrawny mówca, usiłujący zapanować nad tłumem. Rzeczywiście niemal natychmiast wrzawa cichnie i w naszą stronę zwracają się spojrzenia zebranych. Jestem pod wrażeniem. Jednocześnie sam czuję się zmieszany i stremowany. Strużka potu ścieka mi wzdłuż kręgosłupa.

– Stanowczo protestujemy przeciw ograniczaniu praw akademickich do tworzenia wolnych zrzeszeń oraz uczestniczenia w nich. – Bogoraz wyciąga z kieszeni pomiętą kartkę, zerka na nią, lecz zaraz ponownie ją chowa. – Niedopuszczalnym jest odbieranie wolności w murach, które do tej wolności są nawykłe. Już tysiąc lat temu studenci Bolonii oraz Padwy wzniesli bunt i dawali przykład całemu światu, że należy walczyć o swoje ideały.

Rozlegają się brawa oraz okrzyki. Bogoraz mówi coraz szybciej i coraz bardziej pompatycznym tonem. Jednak tym razem jego głos nie wzbija się ponad ogólną wrzawę. Tłum zaczyna się ruszać, falować jakby dopasowywał kształt do zmieniającego się pomieszczenia.

– Idą! Rządowi!

Coraz wyraźniej słyszę te okrzyki i zdaję sobie sprawę, że zebrani odwracają się w stronę klatki schodowej. Po chwili robi się tam istotne zamieszanie.

– Co jest? – Lazar marszczy czoło i ociera je chusteczką. – Czy...

Nie kończy. Część zebranych na korytarzu osób rzuca się do ucieczki w głąb budynku. Inni rozbiegają się po salach oraz aulach. W ciągu kilkudziesięciu sekund wokół nas zostaje co najwyżej dwadzieścia osób.

– Stać. Poddajcie się!

Korytarzem z pistoletem w dłoni dumnie maszeruje oficer porządkowy. Po jego bokach kroczy kilku żandarmów z karabinami, które mają zatknięte bagnety. Bogoraz zeskakuje z ławki i unosi dłonie. Momentalnie uchodzi z niego cały animusz.

– Nie jesteśmy uzbrojeni – oznajmia drżącym głosem. – To pokojowe spotkanie!

– Jakikolwiek organizacje są zabronione – odpowiada mu natychmiast jeden ze stojących przy kolumnie profesorów. Wcześniej go nawet nie widziałem. – Na wydziale prawa nie ma miejsca na bezprawie.

Co za sentencja. Sarkastycznie parskam i spoglądam prosto w oczy maszerującego ku mnie oficera. Mam nadzieję, że w moim spojrzeniu jest ta sama pewność siebie, jaka była od Saszy.

– Co teraz? – pytam hardo.

Niemal w tej samej chwili cios kolbą powala mnie na ziemię. Oto odpowiedź władzy na rzucone przeze mnie wyzwanie.

18. 1888 r.

Poza mną z uczelni relegowano jedynie trzech studentów, którzy ponad wszelką wątpliwość uczestniczyli w zawiązaniu komitetu protestacyjnego. Choć nie miałem z tym nic wspólnego, to wszyscy zainteresowani wiedzieli o Saszy. Jakby obawiali się, że jego duch może wstąpić w moje ciało. Jakby jego język mógł przemówić moimi

ustami, a moje dłonie mogły zmontować bombę, nad którą on pracował. Bardzo bym tego chciał, lecz to nie było możliwe.

Zostałem osadzony w Kukulskinie, po którym mogłem się swobodnie poruszać, ale nie miałem prawa opuszczania okolic miasteczka. To gorsze niż więzienie. Kolonia karna przypominająca o tym, że utraciło się pełnię wolności. Dająca namiastkę człowieczeństwa, a zarazem czyniąca z człowieka niewolnika.

Po wielokrotnych namowach matki zgodziłem się napisać do kilku ministrów prośby o zezwolenie na podjęcie studiów na zagranicznej uczelni¹⁰. Wmawiałem sobie, że mój opór jest tak samo szlachetny jak opór mojego brata, ale doskonale wiedziałem, że to tylko zabawa. Czym bowiem była możliwość studiowania w porównaniu z utratą życia? Wiedziałem jednak, że stać mnie na więcej. Przechodziłem swoją próbę, by móc wzbić się na kolejny poziom.

Na tym nędznym zesłaniu przeczytałem kilka pism oraz książek Nikołaja Czernyszewskiego, które ze strony na stronę wlewały we mnie nowego ducha. Zaczynałem rozumieć, co mógł czuć Sasza i dlaczego zamierzał cisnąć bombą w powóz cara. Byliśmy i jesteśmy niewolnikami. Chłoptwo oraz robotnicy są nimi od chwili zawiązania się ustroju, co przecież jest całkowicie sprzeczne z naturalną koncepcją ich ról społecznych.

Patrzyłem na okolicznych biedaków i uśmiechałem się, przywołując słowa Czernyszewskiego. „Im gorzej, tym lepiej”. Gniew tych mas narastał i czułem, że przyjdzie moment, gdy eksploduje jak wulkan, który rozsadza wewnętrzne ciśnienie. Ta energia i złość musiały znaleźć ujście. Lecz jeszcze nie teraz. Na razie musiałem zająć się samodoskonaleniem, by jak Rachmietow, bohater *Co robić?*, stać się lepszym człowiekiem.

Czytałem i pościłem, wybierałem się na piesze wędrówki, a także, przynajmniej, czekałem na list od któregoś z ministrów. Wiem, że matka udała się w mojej sprawie aż do Petersburga. Przyjaciele ojca wciąż mieli wpływy, choć osobiście nie chciałem w żadnym razie z nich korzystać. Wolność należy zdobywać siłą, nie układami. Myślę o tym, spoglądając na niewielką fotografię Czernyszewskiego wyciętą z jednej z książek. Już teraz wiem, że będę ją nosił przy sobie do końca życia. Niczym amulet.

– Dokąd mnie zaprowadzisz, Nikołaju Gawriłowiczu? – pytam szeptem. – Na szafot czy ku miejsu w historii?

19.

Ćwiczenia ducha należy uzupełniać doskonaleniem ciała. Niektórzy mogliby to uznać za zadrzęzanie się, lecz chodzi o dyscyplinę. Wielokilometrowe wędrówki oraz męczące ćwiczenia gimnastyczne hartują mocniej niż cokolwiek innego.

Moje nogi są zmęczone. Czuję ból w łydkach oraz na podbiciach opuchniętych stóp. Szybkim krokiem przeszedłem dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kilometrów. Bez postojów oraz zwalniania dla odpoczynku. Serce łomocze mi w piersi, a krew szumi w żyłach ze zdwojoną siłą. Mimo to jestem szczęśliwy. Tak szczęśliwy, jak tylko można być z powodu zesłania na odludzie, bez prawa powrotu do cywilizacji. A przecież tylko tam, w miastach i w robotniczych dzielnicach, można szukać iskry. Wiem jednak, że kiedyś ją znajdę i będę ją pielęgnował. Będę chuchał, by przemieniła się w płomień, który ogarnie kolejne ulice oraz kwartały.

Wierzchem dłoni ocieram pot z czoła i jeszcze bardziej przyśpieszam kroku. Moje myśli układają się w sposób, w jaki kształtował swoje zdania Czernyszewski. Nie wiem, dlaczego jego dzieła wrosły we mnie tak mocno, ale z dnia na dzień coraz lepiej rozumiem Saszę.

Sasza. Jego nabrzmiała, opuchnięta twarz.

Jego zwłoki zrzucone ze sznura jak worek zboża.

– List do pana, Włodzimierz Uljanowie.

Podnoszę wzrok i spoglądam na kudłatego Kałmuka, który szuka czegoś dłonią w skórzanej torbie. Siedzi na koniu w ten zawadiacki, wschodni sposób, jaki przodkowie przekazali mu we krwi. Ma zmierzwioną brodę oraz brudną czapkę ze skórzanym otokiem. Jako goniec przyjeżdża do Kukuszki co dwa, trzy tygodnie, roznosząc upragnioną przez wszystkich korespondencję. Nasze spojrzenia spotykają się tylko na moment. Jego oczy są lekko skośne, szeroko rozstawione i miotają dzikie spojrzenia. Oto okiełznany przez imperium potomek dzikich hord.

Biorę od niego kopertę i w podziękowaniu kiwam głową. Po kostki w błocie ruszam w stronę nędznej, wynajmowanej chaty. Kałmuk odjeżdża galopem, poganiając konia atawistycznymi okrzykami. To, co robi, jest bezsensowne, gdyż za kilkanaście sekund zatrzyma się przy kolejnej osobie, ale jego natura nie podlega sprowadzeniu do cywilizowanej kategorii sensowności. A może to my jesteśmy prymitywni ze swoją pruderyjną wstrzeźliwością?

Pięczęcie ministerstwa sprawiają, że zapominam o zmęczeniu. Wpadam do ciemnej izby i energicznie zrzucam poprzecieraną szubę. Rozdzieram kopertę, po czym wyciągam złożone na pół pismo opatrzone stemplami kancelarii.

Odpowiedź nadeszła nadzwyczaj szybko, lecz jest całkowicie wymowna. Czytam tylko kilka pierwszych słów, po czym rzucam list na podłogę.

„Kategorycznie zabrania się, by...”

Matka ma to, czego chciała. Czasem lepiej pozwolić, by czas po prostu płynął, a nie dać się wpleść w tryby maszyny. Tyle że gdy pakuje się do niej palce, maszyna może pokazać, do czego jest zdolna. Kiedy trzymamy się od niej z daleka, nie jest w stanie nas zranić.

– Szlag... – cedzę.

Robię kilka kroków po izbie, lecz wreszcie podnoszę list. Mimowolnie mrużąc oczy, czytam dalej.

„Zezwala się na powrót wyżej wskazanego do Kazania”. Te słowa analizuję kilkakrotnie, lecz nie dostrzegam żadnych nieścisłości. Po paru tygodniach zesłania mogę przeprowadzić się do miasta. Do matki oraz rodzeństwa. Czy to wyraz łaski, czy strachu? A może dowód podatności na przekupstwo.

20.

KAZAŃ, 1889 R.

– Znowu się z nimi włóczyłeś?

– Niby z kim?

– Już ja wiem z kim. Wyzwolenie Pracy? Co to w ogóle za nazwa organizacji? Czy ty wiesz, czego oni chcą, czy po prostu przystałeś do nich, żeby zrobić komuś na złość?!

– Niby komu?

– Sobie. Rozumiesz, że robisz na złość przede wszystkim samemu sobie?

Matka spogląda na mnie wyzywająco. W jej oczach skrzą się łzy. Moja siostra Maria siedzi potulnie w rogu pomieszczenia i przysłuchuje się kłótni. Nie mam odwagi podnieść głosu ani nawet zbyt mocno zaprotestować. Zresztą nie o odwagę chodzi. Wiem, że matka po prostu się martwi.

– Spotykasz się z nimi niemal codziennie. Po co?

Wzruszam ramionami. Wyzwolenie Pracy jest organizacją działającą nie tylko w Kazaniu. Właściwie większość członków mieszka w odległych guberniach i za granicą. To dla uciekinierów zbiera się fundusze oraz prowadzi działania mające pomóc im w powrocie do Rosji. Anonimowo lub z czystą kartoteką. Oczywiście nie mogę ani nie chcę powiedzieć tego wszystkiego matce.

– Kim ty w ogóle zamierzasz zostać? – pyta, składając dłonie. Jej długie palce są z dnia na dzień coraz bardziej powyginane przez chorobę stawów. Na ten widok ściska mnie w żołądku.

Mimo to hardo unoszę głowę i podchodzę do okna. Co na moim miejscu zrobiłby Czernyszewski? Co zrobiłby Rachmietow? Na pewno nie byłoby potulni i nie analizowali możliwych odpowiedzi. Jestem zbyt spokojny i za mało spontaniczny. Wiem o tym, ale nie potrafię tego zmienić.

Wkładam dłonie do kieszeni i obracam się na pięcie do matki. Już na mnie nie patrzy. Jej twarz wykrzywia tak dobrze mi znany wyraz zdeterminowania. Zdeterminowania, które uratowało mnie z Kukuszki, ale które nie uratowało mojego brata.

– Mamo, to tylko przyjaciele... – Staram się uspokoić sytuację. – Spotykamy się i rozmawiamy na różne tematy.

– Spisków? Zamachów bombowych?

– Nie. Nigdy.

– Przysięgnij.

Matka ciężko siada na krześle i składa dłonie na białym haftowanym obrusie. Przed nią stoją srebrny rodzinny świecznik oraz krucyfiks. Nagle przychodzi mi na myśl, że ustawiając je przed kilkoma dniami, przygotowywała się właśnie do tej chwili. Świecznik i krzyż to tylko rekwizyty. Nigdy jej nie powiedziałem, że dla mnie Bóg umarł razem z Saszą.

– Przysięgnij – powtarza matka z naciskiem.

Maria pokazuje mi gestem, żebym to zrobił bez względu na wszystko. Jednak nie potrafię okłamać matki.

– Rozmawiamy o różnych sprawach – odpowiadam ostrożnie. – Ale to tylko założenia teoretyczne.

– Jezu Chryste, zmiłuj się... – Matka spuszcza głowę i pociąga nosem. Odwraca się ku Marii. Choć tego nie widzę, wiem, że wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. – A więc dobrze zrobiłam – szepcze.

Dostojnie podnosi się z krzesła i daje tym samym do zrozumienia, że na razie nie wyjaśni mi nic więcej.

– Nie stracę kolejnego dziecka – dodaje.

– Przysięgam – szepczę zbyt cicho, by mnie usłyszała. – Przysięgam, mamo.

Ałakajewka to mała, spokojna wieś, w której matka nabyła ponad osiemdziesiąt dziesięcin ziemi. To był jej plan uratowania mnie przed wywrotowcami oraz działalnością w tajnych organizacjach. Łagodne wzgórza, samarski klimat, a przede wszystkim luksusy sporego dworu jej zdaniem miały mnie przystosować do życia w burżuazyjnym społeczeństwie. Miały mnie z nim na powrót zintegrować.

Owszem, nigdy dotąd nie potrafiłem pojąć istoty chłopstwa i moje kontakty z lokalnymi gospodarzami tylko to potwierdzają. To prości, przerażająco chytry ludzie. Nie mają żadnych poglądów, a ich jedynym bóstwem jest pieniądz pozwalający przetrwać kolejną zimę.

Pieniądze pozyskane ze sprzedaży naszych rodzinnych majątków nie wystarczyły, byśmy zatrudnili odpowiednią liczbę własnych pracowników. Dlatego musieliśmy oprzeć się na lokalnych włościanach. W ciągu kilku miesięcy straciliśmy niemal połowę sprzętu i czwartą część trzody. Nikt za to nie odpowiada i oczywiście nikt nie został przyłapany na kradzieży. To ohydne.

Uprawa ziemi oraz życie dawnego ziemianina w ogóle mnie nie interesują. Nie interesowały przecież już nawet mojego ojca, który wybrał karierę urzędniczą zamiast babrania się w błocie. Nasze przetrwanie, tak jak przetrwanie chłopów, zależy od zbiorów. A zbiory zależą od pogody oraz pomocy służby. Organizacja życia wiejskiego, brak perspektywicznego postrzegania rzeczywistości przez chłopów, a przede wszystkim cechy mojego charakteru sprawiają, że czuję się tu znacznie gorzej niż w Kukuszkinie. Tam byłem zesłańcem – tu jestem zwykłym marnotrawcą czasu i sił. Dlatego coraz częściej przenoszę się do Samary, gdzie znów czuję pełną iskrę rewolucji. Staram się jednak nie martwić matki i uważam na każde słowo i każdy gest. Jestem dobrowolnym więźniem.

Nawet codzienne ćwiczenia oraz wędrówki nie potrafią mnie podnieść na duchu. Czasem puszczam się w samotne wypady Wołgą, jednak chaos myśli zmusza mnie do szybkiego powrotu. Jedyne oderwanie przynoszą lektury. Marks, Engels... Coraz mocniej czuję ich dusze. Coraz mocniej rozumiem przesłanie, jakie chcieli nieść dla świata.

Spoglądam na rękopis i odkładam pióro. Pozostało mi tylko kilka akapitów, by zakończyć tłumaczenie na rosyjski *Manifestu komunistycznego*. To moje najistotniejsze dotychczasowe osiągnięcie. Gdyby tylko udało się tej książeczce trafić pod strzechy okolicznych domostw. Gdyby ta treść trafiła do serc mieszkających tam ludzi, wówczas można by mówić nie o tysiącach, ale o milionach rewolucjonistów. Tej siły już nie potrafiłyby wypełnić żadne zesłania ani egzekucje.

Spoglądam za okno na jeden z placów Samary. Przyjechałem tu wczoraj i jutro pewnie znów wrócę na wieś. Muszę odbyć tylko kilka spotkań oraz dokończyć tłumaczenie. A potem...

Z zamyślenia wyrывa mnie głośnie stukanie do drzwi. Zerkam na świeczkę, w pierwszym odruchu gotów ją zdmuchnąć. Czy mogli po mnie przyjść? Czy zrobiłem coś złego? Dokonuję błyskawicznego rachunku sumienia i czuję żal, że rozprawa sądowa przeciwko mnie byłaby jedynie farsą.

Mimo to cicho podchodzę do drzwi. Gdy jestem o dwa kroki od nich, pukanie powtarza się i nagle czuję rezygnację. Odblokowuję zasuwę, po czym wyglądam na korytarz. Z półmroku wylania się poważna twarz matki. Bez słowa wręcza mi list.

Wyobraża pan sobie jej upór? Domyśla się pan, po co przyszła?

SANKT PETERSBURG, 1890 R.

Nie mam pojęcia, jakie kontakty uruchomiła matka ani ile pieniędzy wydała, ale jakimś cudem udało się jej przekonać odpowiednich ludzi, bym uzyskał zgodę na odbycie studiów w trybie eksternistycznym. Jeśli można mówić o twarzach pojawiających się w naszych umysłach, o bliskich przewijających się przed oczami, w tamtym czasie chwilowo zapomniałem o Saszy. Zastąpiła go coraz mocniej pomarszczona, stroskana twarz matki, która z wszystkich sił wierzyła w moją przyszłość. Powie pan, że takie właśnie są matki, lecz to nieprawda. Żadna nie ma nawet krzty uporu Marii Aleksandrownej. Uporu, który ponoć po niej odziedziczyłem, ale wkrótce sam pan to oceni.

Program czteroletnich studiów przyswoilem w ciągu jedenastu miesięcy. Nie chwale się. Nie ma w tym nadzwyczajnej zasługi ani nic wybitnego, jeśli weźmie się pod uwagę motywację. Moją było to, by nie zawieść matki i jak najszybciej móc spłacić dług, jaki zaciągnąłem wobec niej oraz wobec rodzeństwa.

Wreszcie pozwolono mi przyjechać do Sankt Petersburga na egzaminy, które zdałem najlepiej na roku. Powtarzam, motywacja to klucz do sukcesu, ale to nieistotne...

Wspomnienie twarzy matki powoli wypierają zarysy delikatnej, łagodnej twarzyczki mojej siostry Olgi. Półtora roku ode mnie młodszej i chyba najweselszej z całego rodzeństwa. Zdałem sobie sprawę, że w okresie dorastania oddaliłem się od nich wszystkich, choć jeszcze pięć, dziesięć lat wcześniej byliśmy nierozłączni. Teraz znowu tak jest.

– Olu... – Ściskam dłoń mojej siostry, a ona śmieje się swoim cienkim, beztroskim głosem: – Cieszę się, że znów jesteście razem.

– Ja też, Wołodia! Ja też!

Wspólnie wynajmujemy niewielkie mieszkanie niemal w sercu stolicy imperium. Dzień i noc przed kamienicą furkoczą przejeżdżające bryczki. Niemal bez przerwy słychać pokrzykiwania żandarmów, maszerujących gwardzistów oraz przekupniów. Olga powtarza, że petersburski chaos ją męczy, lecz ja żyję tu pełną piersią. Martwią mnie jedynie jej podkrążone oczy i cień, jaki układa się w kąciку ust, gdy się uśmiecha.

– Chcesz stąd wyjechać, prawda? – pytam, choć znam odpowiedź.

– Tak długo, jak ty musisz tu być, nie. Razem łatwiej się nam utrzymać.

– Nie musisz tego robić dla mnie, jakoś sobie poradzę.

I wtedy Olga wybucha śmiechem, jakbym powiedział najgłupszą rzecz pod słońcem. Wyciąga ku mnie dłonie, podnosi się z łóżka i siada tuż obok. Obejmuje mnie ramieniem tak, jak obejmowaliśmy się w dzieciństwie. Teraz ja mam prawie dwadzieścia lat, a ona skończone osiemnaście.

– Naprawdę – mówię z naciskiem, choć również się uśmiecham. – Poradziłbym sobie.

– Chcesz, żebym wyjechała?

Daje mi kuksańsca i łyska lśniącymi oczami. Ma elegancką, dumną urodę matki. Przez myśl mi przechodzi, że powinienem ją chronić od wszelkich trosk.

– Oli...

Podekscytowana odskakuje od łóżka, jakby zachęcała mnie do zabawy. Na jej policzkach pojawiają się czerwone pąsy, a oczy zdają się lśnić jeszcze mocniej niż dotychczas. Opiera się o prosty stół i spogląda na mnie wyzywająco. Jak mała dziewczynka rzuca się do ucieczki. Biegnie między kilkoma krzesłami, przy zniszczonej sekretarce, wreszcie chowa się obok stojącej w korytarzu szyfoniery.

– Nie mam dziś siły na gonitwy – rzucam, idąc w jej stronę. – Za kilka dni będę miał rozmowę o pracę i muszę...

Przerywa mi głuchy huk padającego na podłogę ciała.

– Oli! – krzyczę, zrywając się ku leżącej siostrze. – Oli!

23.

– To tyfus.

Słowa lekarza brzmią jak wyrok. Niski Żyd w okrągłych okularach i ze zmierzwną brodą spogląda na mnie badawczym wzrokiem.

– Pan już go przechorował? Nabrał pan odporności?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Szczęśliwcy...

Teraz w jego tonie słyszę wyrzut. Jakby obwiniał mnie o to, że mogłem przeżyć chorobę niemal bez objawów, podczas gdy moja siostra jest wstrząsana gorączką.

– Proszę dawać jej to trzy razy dziennie. – Lekarz podaje mi wyjęty z teczki szklany flakonik. – Jedna, dwie krople. Na język.

– To wszystko?

– Musimy czekać.

Olga jest słaba, ale nagle otwiera oczy. Zaczyna mrugać, starając się opanować płacz.

– Co się dzieje, Oli? Mogę ci jakoś pomóc?

Kręci głową i znów opuszcza powieki. Momentalnie zapada w szarpany, niespokojny sen.

– Niech się pan za nią pomodli – rzuca lekarz. – Będzie potrzebowała wiele sił bez względu na ich źródło.

– Co, proszę?

– Powiedziałem, żeby pan...

Ogarnia mnie wściekłość. Jak ten plugawy Żyd śmie radzić, żebym się pomodlił? Jakim prawem? Czy już spisał Olę na straty, czy stara się mnie przygotować na najgorsze?

– Niech pan wyjdzie – cedzę. – Wyjdzie i nigdy nie wraca.

– Słucham?

Zrywam się w jego stronę i chwytam z blatu nóż do listów. Cały drzę, lecz staram się opanować głos, aby nie zbudzić siostry.

– Won – szepczę. – Won mi z oczu...

24.

– Wołodia...

Zrywam się od stołu i natychmiast dopadam do łóżka. Od wczoraj Olga ma mniejszą gorączkę i wypieki zeszyły z jej twarzy. Całą noc przespała spokojnie, głębokim snem. Teraz wpatruje się we mnie całkowicie rozbudzona.

– Już mi lepiej – mówi cichutkim, zmęczonym głosem. – Boże, jaka byłam wyczerpana...

– Ciii...

– Nie uciszaj mnie. Nie chcę spać.

– Musisz nabierać sił. Proszę.

Podaję jej szklankę wody. Olga bierze ją w obie dłonie i nieudolnie kieruje ku ustom. Woda rozlewa się na koldrę.

– Przepraszam...

– To nic, to nic. – Pomagam jej się napić i odstawiam szklankę. Następnie kładę na koldrę ręcznik, aby wchłoniął choć nieco wody. Nie mamy innej pościeli. Sam od trzech dni śpię okryty płaszczem, żeby Olga nie marzła pod dwoma kompletami. Trzeci wyrzuciłem, martwiąc się, że mogą w nim żerować wszy.

– Wpuścić trochę światła? – Wstaję, po czym robię krok w stronę okna. Jest jedenasta przed południem, a przez szparę między zasłonami wpada ostre słońce. Musi być piękny dzień. – Wczoraj wołałaś, żeby okna były zasłonięte...

– Rozsuń zasłony – prosi z delikatnym uśmiechem. – I wpuść trochę świeżego powietrza.

– Nie jest ci zimno?

– Nie, ani trochę. Naprawdę czuję się znacznie lepiej.

Otwieram okno i spoglądam na ulicę. W dole życie toczy się w najlepsze. Chodnikami przemierzają się tłumy przechodniów, dwóch chłopców gra na harmoniach, a kwiaciarka ciągnie dwukołowy wózek. Konie pędzą po bruku, stukając kopytami.

– Doktorzy mówili, że w końcu musi nastąpić przełom. Spodziewali się go za dwa lub trzy dni. – Uśmiecham się i z naiwną wdzięcznością zerkam w błękitne, bezchmurne niebo. – Matka przyjedzie jutro.

– Poślij gońca, żeby się nie trudziła.

Odwracam się do Olgi i spoglądam na nią troskliwie. Jest taka drobna i krucha. Pod koldrami ledwie widać zarys jej sylwetki. Oddycha jednak znacznie spokojniej niż wczoraj.

– Na pewno nie jest ci zimno?

– Wołodia...

– Dobrze, już dobrze. – Znacząco unoszę dłonie i szeroko się uśmiecham. – Zaraz wracam. Mam pomysł.

Nie zarzucając płaszcza, zbiegam po schodach i wypadam przed kamienicę.

– Proszę zaczekać – krzyczę za kwiaciarką. – Proszę pani!

Kwiaciarka odwraca się i zatrzymuje wóz. Powoli opuszcza dyszel. Rozprostowuje zmęczone palce, po czym bacznie mi się przygląda.

– Na prezent dla ukochanej damy?

Kiwam głową. Wyciągam z kieszeni kilka monet i podaję je kobiecie. Szczęśliwy wracam do mieszkania z nęczeniem kwiatów. Przeskakuję po dwa, trzy schody, wreszcie tanecznym krokiem wpadam do środka.

– Lubisz ich zapach – oznajmiam wesoło. – Żebyś tylko nie mówiła o rozrzutności, bo przez ostatnie dni...

Milknę. Rzucam kwiaty na podłogę i momentalnie dopadam do łóżka. Głowa mojej siostry jest obrócona na bok, lekko rozwarte oczy są nieruchome, a z uchylonych ust nie dobywa się oddech.

– Oli! – krzyczę rozpaczliwie. – Siostrzyczko!

Myślałem, że dyscyplina kształtuje charakter. Prawda jest taka, że równie mocno lub jeszcze bardziej kształtuje go śmierć. Będący autorytetem ojciec, podziwiany brat, ukochana siostra... Strata każdego z nich hartowała mojego ducha jak ogień hartuje stal.

Nad trumną Olgi nie płakałem ani przez chwilę. Zrozumiałem, dlaczego matka nie płakała, żegnając ciało Saszy. Po prostu w pewnym momencie człowiekowi nie starcza łez. Uświadamia sobie, że ich ronienie jest bezcelowe. Nie może niczego zmienić, a już na pewno nie przywróci życia bliskim. Może to zwykły ludzki odruch, a może, jak pisało wielu, niezwykła słabość.

Oli, Szaszo, ojcz...

Kolejne twarze pojawiają się przed moimi oczami. Z trudem ponownie skupiam się na dokumentach, ale nie potrafię zebrać myśli. Praca prawnika wymaga nieustannego, pełnego skupienia. Nawet jeśli działa się w drugorzędnej kancelarii jako drugorzędny asystent drugorzędnego radcy, należy uważać. Nie można popełnić błędu.

Na razie jestem dumny z jednej zakończony sprawy. Doprowadzone do końca postępowanie przeciwko właścicielowi sąsiedniego majątku w Ałakajewce to mój wielki tryumf. Wiem, że niektórzy nazywali mnie mściwym i małostkowym, lecz nie interesuje mnie ich zdanie. Miesiąc aresztu za serię bezprawnych działań to uczciwa kara za dyshonor poczyniony naszej rodzinie. Tfu. Już nie o żadną rodzinę chodzi, a po prostu o matkę. Może być ze mnie dumna tak, jak zawsze tego pragnęła. W końcu zrobiłem coś zgodnie z regułami i posypując głowę popiołem przed majestatem obecnego ustroju. Zrobiłem dokładnie to, czego ode mnie oczekiwała. To zabija wyrzuty sumienia. Przynajmniej na chwilę.

– Lektura dzieł Marksa oraz Engelsa tworzy prawdziwego rewolucjonistę. Tworzy go znacznie mocniej niż sam zamysł ideologiczny. – Odrzucam wzrok od rozłożonych na pulpicie kartek i wiodę spojrzeniem po poważnych, buntowniczych twarzach. – Bez czytania oraz opartych na nim własnych przemyśleń nie można dojść do prawdy. Biblia tworzy chrześcijan, lecz my, za pomocą naszych dzieł, musimy stworzyć całkowicie nowego człowieka. Re-wo-lu-cjo-ni-stę.

Ostatnie słowo sylabizuję i wszyscy zebrani je podchwytują. Zaczynają je cicho skandować. Nie wiadomo, kto znajduje się za oknami.

Radzenko spogląda na mnie z uznaniem. Zaprosił mnie do udziału w spotkaniach stowarzyszenia już kilka tygodni temu. W jego grupie udzielają się przede wszystkim studenci petersburskiej politechniki, lecz jest również kilku tak zwanych inteligentów, a nawet zamożny fabrykant. Zresztą to dzięki niemu mamy możliwość debatować w jednej z opuszczonych, ciemnych hal – w jednym z tych specyficznych stalowych budynków wschodniej rubieży miasta. Ponoć struktury socjaldemokratów – jak o sobie lubią mówić ci ludzie – liczą niemal sto osób. Na spotkaniach nigdy nie było ich więcej niż trzydzieści. Mimo to lubię panującą tu atmosferę oraz poziom rozmów. Wiem, że gdy zgłębiam kolejne tematy, wszyscy pilnie mnie słuchają. To inny rodzaj publiki niż gdziekolwiek indziej. Petersburski proletariusz jest świadomy i wyrafinowany niczym jakobin. Być może będzie nawet gotów sam ostatecznie oddać się katu.

Schodzę z podwyższenia i chcę wniknąć w tłum. Jednak na mojej drodze staje Radzenko. Ściska mnie niczym brata, całuje w oba policzki, wreszcie odsuwa się i kłania.

– Nikt nie przemawia tak jak wy, towarzyszu.

Towarzyszu. Wciąż nie potrafię przywyknąć do tego zwrotu, a jednak jest w nim jakaś przyjemna familiarność. Skrępowany kolejnymi pochwałami Radzenki błado

się uśmiecham. Przeczesałem palcami coraz rzadsze włosy. Mam dwadzieścia lat i już łysięję.

– Dziękuję – odpowiadam mechanicznie. – Dziękuję za te słowa...

– Jestem przekonany, że to wy najlepiej zaprezentujecie poglądy stowarzyszenia w debacie z towarzyszem Woroncowa. Chyba wszyscy się ze mną zgodzą?

Burza oklasków najwyraźniej oznacza, że zostałem wybrany przez aklamację. Los niespodziewanie chwytą nas w swoje ręce.

26.

STYCZEŃ 1894 R.

Woroncowa jest dumny i wyniosły. Mówi z przesadną emfazą, gestykułując przy tym niczym aktor. Ma nieskazitelne maniery, ładną sylwetkę oraz ostre spojrzenie. Mimo to w jego argumentacji brakuje wnikliwości. Sprawia wrażenie kogoś, kto zbyt długo rozważa poboczne kwestie, nie przechodząc nigdy do sedna. Jest gotów spierać się o drobnostki, bagatelizując pokrewieństwo wniosków. To postawa, jaka mnie najmocniej rozczarowuje. Jako inteligentny człowiek idei mógłby stać ramię w ramię z naszym ruchem, tymczasem gotów jest wspiąć się na barykady, byle tylko móc z nami polemizować.

– Kapitalizm w Rosji poczynił postępy jedynie dzięki polityce rządu. Oczywiście, dla ochronne na rozmaite towary zagraniczne, subsydia oraz niskoprocentowane pożyczki dla rosyjskich przemysłowców, a także plany infrastrukturalne sprawiają, że ustrojowo zbliżamy się ku zgniłemu Zachodowi. – Wasilij Woroncowa znacząco zawiesza głos i spogląda w moją stronę. – Polityka rolna stanowi kompletne zaprzeczenie koncepcji wspólnoty solidarnościowej. Jakielkolwiek załączki kapitalizmu należy wypalać ogniem.

Kręcę głową i spuszczam wzrok. Błyskawicznie zbieram myśli.

– Załączki są niewypalalne – kontruje. – Tym bardziej że załączkami tymi są już wysokie płomienie osmalające ducha rosyjskiej gospodarki. Aby nadeszła rewolucja, potrzeba pożaru. Języki ognia znikną dopiero w całkowitej pożodze.

– A cóż miałyby się tak palić?

– Rozmawiamy jedynie metaforycznie czy poetycko?

Słuchający nas tłum na tę uwagę reaguje śmiechem. Sprawia mi to przyjemność, a Woroncowa wyraźnie się denerwuje. Po raz pierwszy ociera chusteczką pot z czoła.

– Jak wolicie – odpowiada, siląc się na kpiarski ton. – Może na gruncie poezji macie mocniejsze argumenty.

– Im gorzej, tym lepiej – przytaczam jeden ze swoich ulubionych cytatów.

– Czyżby? Naprawdę chcielibyście, aby rewolucja wyrosła z cierpienia mas?

– Nie ma innej drogi. Odnowa nie może wyrosnąć na gruncie półśrodków, tak jak żadna prawda nie powstała z półprawd.

– To już nie poezja, to poetycka filozofia.

W podobnym tonie rozmawiamy przez niemal półtorej godziny. Przysłuchuje się nam kilkaset osób, które mniej lub bardziej żywiołowo reagują na kolejne uszczypliwości. Nie mam pojęcia, czy przyszli tu dla teatru, czy dla idei. Może dla nich obu. Po raz pierwszy jednak na spotkaniu ze mną pojawiło się tak wiele osób i wiem, że wielokrotnie powtarzano moje nazwisko. To lechcze jakiś głęboki zakamarek mojej próżności.

Gdy wychodzę z hali fabrycznej, jestem cały zły potem. Nie czuję zimna, mimo że panuje siarczysty mróz. Chodnik jest skutym lodem, a zimny wiatr świszczący w wąskich

uliczkach. Pojedynczy przechodnie poruszają się opatuleni grubymi łachmanami. Jest zbyt zimno, by prószył śnieg. Na granatowym niebie skrzą się gwiazdy, a mnie na ich widok chce się śmiać. Wreszcie zrobiłem kolejny krok. W dzisiejszym świecie nie potrzeba konstruować bomb, by zwrócić uwagę tłumów i dokonać wielkich zmian.

Ta ostatnia myśl pojawia się w momencie, gdy kilkanaście metrów za sobą słyszę skrzypienie kroków. Odruchowo się odwracam i zerkam na dwóch mężczyzn w długich, podbitych futrem płaszczach. Jeden ma na głowie wysoką czapę, a drugi kaukaską papachę. Jestem pewien, że już ich widziałem. Zdaje mi się, że charakterystyczne wąsy jednego z nich zwróciły moją uwagę w trakcie spotkania z Woroncowem.

Przyśpieszam kroku i skręcam w boczną uliczkę. Nie ma tu latarni, a od śniegu odbija się jedynie blask księżyca oraz gwiazd. Ślizgam się, gdyż zapewne nikt tędy nie szedł przez ostatnich kilka godzin. Mijam zaśnieżoną stertę porąbanego drewna i znów zerkam przez ramię. Obaj mężczyźni właśnie weszli w tę wąską uliczkę. Już nie mam wątpliwości, że podążają za mną. Ścigają mnie.

Ślizgając się i potykając, rzucam się do ucieczki. Pędzę co sił przed siebie.

⁷ Dziś mieści się w nim Muzeum Lenina (Uljanowsk, plac Lenina 1).

⁸ Ojciec przyszedł premiera, Aleksandra.

⁹ Aleksander Uljanow wysłał taką prośbę, lecz pozostała bez odpowiedzi. Car złągodził wyroki kilku innym spiskowcom, którzy błagali o łaskę natychmiast po wydanym wyroku.

¹⁰ Swoją prośbę Lenin opatrzył podpisem: „Włodzimierz Uljanow, szlachcic”.

27.

GORKI, 1918 R.

– Widzicie – zwracam się do żurnalisty – jako młodzieniec miałem wiele szczęścia i samodyscypliny. Jako dziecko byłem na wskroś dobry. Wszystkie dzieci takie są. Nie ma w nich cwaniactwa, a spryt, nie ma obłudy, lecz fantazja.

– A teraz? Które z tych cech pan ma? – Bystro zagaduje dziennikarz.

Uśmiecha się, jakby niepewny mojej reakcji. Wie, że takim pytaniem mógł się zagalopować, i odwraca wzrok. Odchrząkuje. Przez kilka sekund mierzę go spojrzeniem, delektując się napięciem, jakie wywołuję. Dwóch ochroniarzy znajduje się kilkanaście metrów dalej, przy portyku dworu. Są gotowi na moje wszelkie rozkazy. Mógłbym kazać aresztować tego człowieka, wynajdując jakikolwiek powód. Nie jestem jednak tak małostkowy. Relacja pismaka pójdzie w świat i muszę zrobić odpowiednie wrażenie. Być może jego pytania i reakcja są sposobem na przetestowanie mnie? Może to całkowicie zaplanowane? Często myślę o podstępach i zaczynam obawiać się, że to natręctwo. Jednak przecież wszyscy bywamy nieco szaleni.

– Nie jestem ani dość zdyscyplinowany, ani wystarczająco sprytny – odpowiadam, zakładając ręce za plecy. Głęboko wciągam powietrze i odwracam się, tak by promienie zimowego, bladego słońca wpadały mi w twarz. Przymykam oczy. – Na obłudę nie mam natomiast wystarczająco siły, choć być może byłaby najbardziej pomocna.

– Dla polityka czy człowieka?

– Dla jednego i drugiego.

Ponownie spoglądam na tego wścibskiego, irytującego mężczyznę. Dziś to ja mógłbym sprawić, że za kilka godzin jego twarz zamieniłaby się w pokrytą wybroczynami gębę wisielca. Wystarczyłoby zaledwie słowo. Mimo to opanowuję się i powoli ruszam w stronę dworu.

– Musimy kończyć – oznajmiam. – Czeka mnie sporo pracy.

– Kiedy będziemy mogli porozmawiać ponownie?

– Powiedzieliście, że macie wiele czasu. Skoro zależy wam na tej rozmowie, mam nadzieję, że będziecie cierpliwi.

– Tak, ale...

Uciszam go machnięciem dłoni. Sądzę, że dwa, trzy miesiące wystarczy, aby na Zachód mogły trafić wymowniejsze informacje. Mój przekaz będzie mocniejszy, gdy rewolucja ostatecznie zwycięży. Dlatego nie powinienem się śpieszyć. Poparcie i rozgłos będą potrzebne w momencie, gdy będziemy mogli wyciągnąć dłonie ku europejskim proletariuszom. Na razie wystarczy, by ich rządy nie przeszkadzały.

– Możecie wrócić do swojego kraju – rzucam na odchodne. – Odpocznijcie, zredagujcie to, co usłyszeliście do tej pory, a potem wróćcie. Spędźcie święta z rodziną.

Żurnalista zamyka notes i chowa go do kieszeni. Nieudolnie ukrywa rozgoryczenie.

– Czy uciekł pan... Czy uciekliście przed tymi ludźmi? – dopytuje. – Kim byli?

– Porozmawiamy kolejnym razem.

– Ale..

– Jeśli chcecie, możecie tu przenocować. – Wskazuję głową dwór. – Zrobiło się późno. Nie liczcie jednak na wspólną kolację.

Nie mówiąc nic więcej, zostawiam go samego.

28.

MOSKWA, 19 STYCZNIA 1919 R.

– Znowu się widzimy!

Od naszego ostatniego spotkania minęły ponad trzy miesiące. Przez ten czas żurnalista nieco przytył, ale jego oczy wydają się bardziej zmęczone. Jest gładko ogolony, ma krótsze włosy niż we wrześniu i nosi garnitur w nowoczesnym, zachodnim kroju.

– Jedźmy, jedźmy!

Wymieniamy uściski rąk, a on nie ma pojęcia, dokąd zamierzam go zabrać. Wydaje się nawet nieco zmieszany takim przywitaniem.

– Nic wam nie powiedziano? – zagaduję, stając przy limuzynie.

– Nie. Wczoraj przyjechałem do Moskwy, a dziś od razu z hotelu stawilem się tutaj. Chcę posłuchać dalszego ciągu waszej historii.

Waszej. Już nie zająkuje się o panu, choć nie dodaje również żadnej z moich funkcji. Nieziemnie drzemie w nim buntownicza niepokorność. Musiał jednak obcować z zachodnimi działaczami, gdyż po chwili płynnie przechodzi z niemieckiego na rosyjski.

– Chciałbym, abyśmy zakończyli pierwszą część książki. Przygotowałem już jej zarys i...

– Spokojnie, spokojnie – uciszam go z uśmiechem. – Proszę wsiadać do wozu.

– Dokąd jedziemy?

Skinieniem głowy daję znać, by mój szofer otworzył mu drzwi. Sam obchodzę auto i siadam z drugiej strony, na tylnej kanapie. To wygodny, luksusowy samochód wyprodukowany przed rokiem w Anglii. Ponoć skonfiskowano go komuś powiązanemu z rodziną carską, lecz w to nie wnिकam. Przeciagam dłonią po czerwonej skórze, wreszcie odwracam się w stronę dziennikarza.

– Jak wam się podoba? – pytam z zainteresowaniem.

Żurnalista uważnie się rozgląda. Zapewne nigdy nie siedział w podobnym wynalazku techniki i interesuje go każdy szczegół. Dotyka korbki do uchylania okna, schowka na cygara oraz drzwiczek barku. Jest jak dziecko, któremu pokazano zbyt skomplikowaną zabawkę.

– Jedziemy do Sokolników – oznajmiam, odpowiadając na zadane kilka minut wcześniej pytanie. – Jest tam ośrodek wypoczynkowy, w którym przebywa moja żona. Wiecie... – zniżam poufale głos – cierpi na chorobę Basedowa. Ostatnio przeszła ciężkie chwile i chce zrobić jej niespodziankę.

Dziennikarz ze zrozumieniem kiwa głową.

– Dziś wrócimy?

– Być może. A może właśnie tam będziemy kontynuować opowieść?

Nagle mężczyzna zrywa się i otwiera drzwi auta. Patrząc na mnie spođe łba, kręci głową.

– Nie. Nie mogę z wami jechać.

– A to dlaczego? – Zaskoczony mrużę oczy. – Wsiadajcie, nie róbcie problemów.

– Po prostu. Zaczekam, aż wrócićie do Moskwy.

Kompletnie nie rozumiem tej reakcji, ale jedynie wzruszam ramionami.

– Jedźmy – nakazuję Stiepanowi. – Ten człowiek zostaje.

– Złe przeczucie...

Nie jestem pewien, czy rzeczywiście dziennikarz szepcze te słowa, czy to jedynie nawracające złudzenie.

29.

Odkąd wyruszyliśmy w drogę, w aucie panuje milczenie. W ostatniej chwili dołączyła do mnie siostra Maria, która postanowiła odwiedzić Nadię. Gdyby nie opóźnienie spowodowane zamieszaniem z dziennikarzem, zapewne zostałyaby w Moskwie. Ot, jak przypadki rządzą wszystkimi naszymi sprawami. Ten zbieg okoliczności przez kilka minut zaprzęta moje myśli. Właściwie można postawić tezę, że nigdy nie decydujemy o swoim losie. Zawsze kieruje nami koincydencja zdarzeń, przy której drobnej odmianie znaleźlibyśmy się zupełnie gdzieś indziej. Może właśnie do tego sprowadza się wieczność? Może życie wieczne to życie na wszystkie możliwe sposoby przy założeniu, że wypełniają się kolejne przesłanki i...

– Towarzyszu...

Do rzeczywistości przywołuje mnie głos Stiepana. W pierwszej chwili nie wiem, o co mu chodzi, ale spostrzegam, że samochód istotnie zwolnił.

– Co się dzieje? – pytam.

– Spójrzcie.

Jesteśmy w wąskiej bocznej uliczce, która zapewne miała stanowić dogodny skrót. Jednak przed nami znajduje się rozbity wóz, który zepchnięto na sam środek drogi.

– Czy mam się zatrzymać?

– Nie, nie, po prostu zawróć. Nie mamy czasu.

I wtedy spostrzegam pierwszego z uzbrojonych mężczyzn. Stoi na poboczu i mierzy z karabinu w stronę samochodu. Kilka metrów od niego znajduje się dwóch następnych. Stiepan odwraca się i skinieniem głowy wskazuje mi drugą stronę ulicy. Kolejni uzbrojeni bandyci obchodzą samochód. Nie mamy możliwości zawrócenia. Poza tym oczywiste jest, że jakakolwiek próba ucieczki zakończy się strzelaniną.

– Zatrzymaj auto... – szepczę.

– Wołodia. – Maria dopiero uświadamia sobie, co się wydarzyło. – Kto to? Co się dzieje?

Stiepan ukradkiem sięga do zawieszanej przy pasie kabury, lecz nachylam się w jego stronę.

– Nie. Nie mamy szans.

– Więc co robić?

– Musimy wyjść. Ty, Mario, zostań w aucie.

Jednak jakby w reakcji na moje słowa pada głośnie, ostra komenda:

– Wszyscy na zewnątrz. Szybko!

Tuż przy samochodzie staje wysoki mężczyzna z karabinem w ręce. Dołącza do niego drugi, trzymający pistolet.

– Szybko!

Unosimy dłonie i powoli wysiadamy z auta. Serce bije mi szybko, ale staram się analizować sytuację. Kim są ci ludzie? Wyglądają na prostych oprychów, którzy mogą wystrzelić choćby przez pomyłkę. Musimy się ich słuchać.

– Broń.

Krótkie komendy mogą wskazywać, że nie jest to dla nich pierwszozna. Stiepan oddaje pistolet, a któryś z drabów szarpie mój płaszcz. Natychmiast w wewnętrznej kieszeni znajduje mały rewolwer.

– Zostawcie ją... – rzucam, widząc, że nastoletni zakapior przeszukuje moją siostrę. – Kto was nastął?

– Nie możecie tego robić! – Maria prostuje się i z godnością beszta bandytę. – Wiecie, kto to jest? To Lenin!

Te słowa wywołują jedynie uśmieszki, a jeden z mężczyzn uderza mnie kolbą w plecy.

– Lenin... – parska.

– Tak, Lenin.

Stiepan zaciska pięści gotów bronić się choćby gołymi rękoma, ale kręcę głową. To nie ma sensu.

– Lenin, Lenin... – powtarza jeden z napastników. – Dobrze sobie.

30.

Zabrano nam dokumenty, broń oraz samochód. Zostaliśmy sami na rubieżach miasta, w bocznej uliczce, gdzie towarzyszą nam obce, podejrzliwe spojrzenia. Nikt nie zamierzał zareagować. Nikt nie miał zamiaru nam pomóc. Nagle gdzieś niedaleko trzaska okno i jak na dany znak odzywa się szczekanie psa.

– Chodźmy stąd – nakazuję.

Podaję ramię Marii. Moja siostra wciąż jest blada i roztrzęsiona. Mimo to bez słowa wspiera się o mnie, po czym rozpoczynamy mozolny marsz po błotnistym bruku. Nad ulicą niesie się cuchnący dym z kominów okolicznych domów. Z ciasnych podwórzy dobiegają śpiewy pijanych ludzi.

– Tak wygląda Moskwa – odzywam się mimochodem. – Przypatrujcie się uważnie.

– Powiniennem strzelić – mruczy Stiepan.

– Bydlęta – dodaje Maria. – Dranie.

Każdego z nas pochłaniają inne myśli i inne skojarzenia, lecz ich punkt wyjścia jest wspólny. Tak samo jak punktem wspólnym dla proletariatu oraz ucisku są okolice takie jak te. To myśl warta zanotowania, lecz teraz nie może nam w niczym pomóc.

– Dowiedz się, gdzie jest najbliższa siedziba partii – nakazuję szoferowi. – Tam nam pomogą.

Okazuje się, że żadna z czterech czy pięciu napotkanych osób nie ma pojęcia o żadnych partiach ani o polityce. Na samo pytanie ich twarze tężeją, rysy wyostrajają się, a spojrzenia stają się bardziej czujne. To rosyjska przezorność. Spuścizna dwustuletniej opresji, która zakorzeniła się głęboko w organizmach. Strach, niczym choroba alkoholowa, może być przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Tam. – Pewien niski, przygięty do ziemi starzec wskazuje na budynek przy niewielkim skwerze. Nie ma na nim żadnych sztandarów ani oznaczeń.

– Jesteście pewni? – dopytuje Stiepan.

– Jak Boga na niebie.

Zazwyczaj taka odpowiedź byłaby dla mnie niewystarczająca, ale teraz muszę się nią zadowolić. Czy to aby nie kolejny zabawny przypadek? Nie mam jednak ochoty się śmiać. Przyśpieszam kroku i daję znać siostrze oraz Stiepanowi, aby również to zrobili. Powoli się ściemnia. Zimowe moskiewskie noce są niebezpieczne. Temperatura zaczyna szybko

spadać, a pokrywające bruk błoto zamarza, utrudniając marsz. Ciężkie szare chmury ostrzegają, że w każdej chwili może zacząć się zamieć śnieżna. Moskiewska pogoda jest znacznie mniej przewidywalna niż w Sankt Petersburgu.

Wreszcie wchodzimy do ciemnego, cuchnącego moczem holu. To stary, drewniany budynek, w którym przed wojną mieścił się przytułek lub podobny obiekt. Teraz czerwony szttandar wskazuje drogę w głąb korytarza. Gdy zbliżamy się do dwuskrzydłowych drzwi te otwierają się i ze środka wygląda ubrany po wojskowemu mężczyzna. Zerka na nas podejrzliwie, zaciskając dłón na kolbie mosina.

– Stać, czego chcecie?

– To towarzyszu Lenin – odzywa się moja siostra. – Zostaliśmy napadnięci!

– Towaryszu Lenin?

– Tak, właśnie on.

Mężczyzna z karabinem wybucha śmiechem. Czują narastającą złość.

31.

– Czy możemy teraz porozmawiać?

Żurnalista pojawia się dosłownie znikąd.

– Kto was tu wpuścił? – Wiodę wzrokiem po twarzach zebranych wokół osób. Dwóch ochroniarzy, strażnik i sekretarz spuszcza głowy. Jedynie dziennikarz lustruje mnie zaciekawionym spojrzeniem.

– Gdyby nie Dzierżyński, który rozpoznał mój głos, wzięliby mnie za jakiegoś szaleńca!

Natychmiast po wykrzyczeniu tych słów ich żałuję. Dostrzegam narastające zaciekawienie na twarzy żurnalisty. Zapewne już dotarły do niego jakieś pogłoski o tym, co się stało, gdyż do zaciekawienia dołącza znaczący uśmiech.

Przywołuję gestem sekretarza. Władimir Dmitrijewicz natychmiast występuje z szeregu zafrasowanych osób.

– Porozmawiajcie z towarzyszem Gilem. Powie wam, gdzie dokładnie nas zatrzymano. – Przez ostatnie półtorej godziny starałem się wszystko przemyśleć. Teraz pozostaje mi jedynie działać. – Towarysz Dzierżyński już zwołał ludzi. Skontaktujcie się z nim i wyrażajcie zgodę na wszelkie działania. Należy zamknąć cały kwartał, a potem rozszerzyć działania. Poszukiwania niech się skupią na samochodzie. Ci ludzie z pewnością nie wiedzą, kogo zaatakowali.

– Tak myślicie? – wtrąca się dziennikarz.

– Gdyby wiedzieli, od razu by mnie zastrzelili¹¹.

– Wobec tego mieliście wiele szczęścia, towarzyszu.

Na tę uwagę odpowiadam jedynie machnięciem dłóni. Staram się opanować mimo to wciąż buzującą we mnie emocje. Powinienem wyrzucić stąd tego dziennikarzynę, ale to stanowiłoby jedynie następny powód do snucia przez niego domysłów. Tego powinienem uniknąć. I tak wokół sprawy narosnie zbyt wiele opowieści.

– Pozwólcie Dzierżyńskiemu aresztować jak najwięcej osób, nie hamujcie go – ciągnę poprzednią myśl. – Wystarczy, żeby złapać jednego z bandytów, a on się zajmie tym, by trafić do wszystkich. Przygotujcie odpowiednie pisma, choćby wymagały pilnego spotkania rady komisarzy.

– Czywiście. Coś jeszcze?

Bonc-Brujewicz pośpiesznie zapisuje ołówkiem jakieś uwagi. To człowiek, który jest szalenie systematyczny i po którym zostanie stanowczo zbyt wiele dokumentów.

– Nie. To wszystko. – Kieruję się do drzwi, a strażnik natychmiast je przede mną otwiera. Jednak nagle się zatrzymuję. Coś przychodzi mi do głowy. – Właściwie to tak. Gdy któryś z tych drani zostanie ujęty, mam zostać o tym natychmiast poinformowany. Nawet w środku nocy.

Spoglądam na dziennikarza i skinieniem głowy daję mu znać, by poszedł za mną. Po chwili znajdujemy się na korytarzu. Nie zamierzam pozwolić, by drażył wydarzenia ostatnich godzin.

– Chce pan wrócić do zdarzeń tamtego wieczoru po moim spotkaniu z Woroncowa? – pytam, chowając dłonie do kieszeni. – Chyba przerwaliśmy właśnie wtedy, prawda?

– Zgadza się. Nie mogłem się doczekać ciągu dalszego, a kazaliście mi czekać trzy miesiące...

¹¹O tym zdaniu wypowiedzianym przez Lenina wzmiankuje wiele osób, różnią się natomiast co do tego, do kogo je skierował.

32.

SANKT PETERSBURG, STYCZEŃ 1894 R.

Nie mam wątpliwości, że ci ludzie mnie ścigają. Słyszę tupot ich kroków i krzyki. Czy to mogą być wysłannicy Woroncowa, którego poniosła urażona duma? Nieważne. Teraz to nie ma żadnego znaczenia.

Kolejne bramy są zamknięte, a od pogoni dzieli mnie ledwie trzydzieści metrów. Choć ochoczo spaceruję i uprawiam gimnastykę, nie jestem dobrym biegaczem. Zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli mnie dopadną, zakatują mnie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. A może po prostu zastrzelą?

Serce łomocze mi w piersi, lecz nie zwalniam nawet na moment. Teraz już się nie odwracam. Byłoby to zbędną stratą ułamków sekund. Wciąż nasłuchuję strzałów, ale te nie padają.

Próbuję pchnąć skrzydło kolejnej bramy, jednak jest zamknięta od środka. O tej porze ta dzielnica jest kompletnie wymarła. Niemal bez nadziei na powodzenie naciskam krawędź drewnianej furty, a ta, o dziwo, ustępuje. Popycham ją mocniej i błyskawicznie przemykam się na niewielkie podwórze. Nie zamierzam krzyczeć, bo wiem, że to nie może mi pomóc. Nikt się za mną nie wstawi w starciu z siepaczami. Tym bardziej jeśli to carscy tajniacy. Nagle nabieram pewności, że gończe psy cara wywęszyły mnie, podobnie jak Saszę. Spotkanie z Woroncowem mogło przyspieszyć ewentualne decyzje o próbie aresztowania mnie na gorącym uczynku. Za co?

Nie wiem.

Nie mam pojęcia.

Przywieram do muru i staram się schować w mroku. Wstrzymuję oddech i nasłuchuję. Gdzieś w oddali ujadają psy, a zza linii domów dobiega stukot końskich kopyt. Przejeżdżają co najmniej dwie dorożki. Słyszę prowadzoną podniesionym głosem rozmowę, trzask jakiejś bramy i szczęk zamka.

Kucam, chowając twarz między ramiona. Staram się zniknąć. Nagle robi mi się za siebie wstyd, lecz nie potrafię zmusić się do odwagi. Wmawiam sobie, że gdybym miał chociaż rewolwer, mógłbym stanąć do walki. A tak?

Sasza nie miał rewolweru, lecz pozostał dumny.

– Nie jestem Saszą... – szepczę niemal bezgłośnie. – Przepraszam...

Przez kolejne kilkadziesiąt sekund wokół panuje całkowita cisza. Nie mać jej żaden odgłos. Wreszcie zaczynam normalnie oddychać i powoli ruszam w stronę furty. Trzymam się krawędzi muru, gotów w każdej chwili paść na ziemię. Wreszcie stoję przy furcie i delikatnie ją popycham. Uchylam ją na tyle, żeby spojrzeniem ogarnąć jedynie najbliższy fragment ulicy.

Nigdzie nie widać tamtej dwójki. Musieli pognać gdzieś dalej, być może sądząc, że wsiałem do którejś z dorożek.

Udało mi się.

Tym razem.

33.

Być może chciano mnie tylko nastraszyć. Przez trzy dni się ukrywałem, lecz potem wróciłem do swojego mieszkania. Spotykałem się ze znajomymi działaczami, wreszcie zgodziłem się wziąć udział w coniedzielnym spotkaniu rewolucyjnych kół robotniczych. Przychodziło na nie wiele osób i z pewnością władze doskonale o nich wiedziały. Mimo to nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Nie pojawili się żołnierze, nie zorganizowano prowokacji, by aresztować mnie lub kogokolwiek innego. Nastąpiła niepokojąca cisza.

W trakcie spacerów często ukradkiem spoglądam za siebie. Zdobylem stary rewolwer i w każdej chwili jestem gotów uciekać. W mieszkaniu czekają dwie spakowane walizki. Przy łóżku leży jedynie Marks oraz kilka gazet. Wszystkie inne pozycje są spakowane w skrzyni. Nie mogę ich stracić. Tak samo jak nie mogę stracić swoich notatek oraz korespondencji. Podzieliłem je i umieściłem u wielu znajomych.

– Starik¹² we własnej osobie. – Kudłaty brodac serdecznie ściska moją dłoń. – Wiele o was słyszeliśmy.

Starik. Podobno nazywają mnie w ten sposób, gdyż mimo młodego wieku przypominam staruszka. Dlaczego? Czasem staram się odpowiedzieć na to pytanie, spoglądając w lustro. Mam ostre rysy, może nawet nieco azjatyckie. Rzedną mi rude włosy, a skóra ma specyficzny, żółtawy odcień. Do tego niezbyt gęsty zarost, mimo pielęgnacji jest rozwichrzony. Wąsy sterczą w nieładzie, kontrastując z ostrą, kozią bródką.

Starik. To poufałe i nieco pieściotliwe. Zdaje się, że pierwsza zaczęła tak do mnie mówić Olga. Dla niej byłem staruszkiem ze względu na te osiemnaście miesięcy, które dzieliło daty naszych narodzin.

– Nikołaj Pietrowicz – przedstawiam się pseudonimem, jaki sam sobie nadałem. Jednak, widząc zmieszanie rozmówcy, zaraz dodaje: – Może być Starik lub towarzysz Uljanow. Jak chcecie.

– Starik.

A więc mamy ustalone.

– A wy? – pytam.

– Ach, wybaczenie. Aleksander Wołkow.

Wchodzimy do niewielkiej hali, w której zgromadziło się już sto, a może więcej osób. Z tygodnia na tydzień na spotkaniach zbiera się coraz większy tłum. Często widzę te same twarze, lecz pojawiają się również nowe. Tak jak teraz tej postawnej kobiety z szerokimi ustami oraz dużymi bacznie się mi przypatrującymi oczami. Na jej widok czuję pewien niepokój. Władze nie korzystają z usług kobiet, nie ma ich w szeregach tajniaków, choć przecież nie mogę mieć takiej pewności.

Dlaczego przygląda mi się tak uważnie? Mimowolnie upewniam się, że za połą płaszcz mam rewolwer. Muskam palcem krytą drewnem rękojeść i zaczynam mówić. Moje słowa szybko wzbudzają euforię tłumu. Na początku zawsze należy powiedzieć dokładnie to, czego chcą usłyszeć przybyli. Mamić można ich dopiero później. Na to przyjdzie czas.

34.

SANKT PETERSBURG, 13 LUTEGO 1894 R.

Willa inżyniera Kłassona jest rozległa, ale jej architektura przywodzi mi na myśl dzieła francuskich twórców działających na zlecenie najbardziej rozpustnych królów. Przepych, rozwiązłość, wręcz ostentacyjne szafowanie dekoracjami, byle tylko pokazać bogactwo właścicieli. Wiem, że Robert Kłasson nabył ją w takim stanie i nie poczynił żadnych ingerencji, lecz jako miejsce spotkania komitetu marksistowskiego wydaje mi się co najmniej dziwne. Jednak może właśnie to najlepszy sposób, aby uniknąć infiltracji? Albo przynajmniej aby uciec od podejrzeń, jakie żywi wobec nas coraz więcej wysoko postawionych osób.

– A teraz smacznego! – oznajmia gospodarz, dając znać, byśmy się częstowali.

Oficjalnie spotkanie zostało zorganizowane z okazji tłustego czwartku, a przybyli na nie działacze uchodzą za przemysłowców oraz fabrykantów. Nie jestem głodny. Po odbytej debacie jak zawsze czuję pobudzenie oraz ucisk w żołądku.

– Wasze tezy są radykalne. – Kłasson chwyta mnie za łokieć i prowadzi między zebrany. Mówiąc, przeżuwa kawał ciasta, który kruszy się na podłogę. – A jednak zdaje się, że uważacie, że powinniśmy czekać, aż obecny ustrój zgnije od środka?

– To nie potrwa długo.

– Każdy dzień to zbyt długo dla gnębionego ludu pracującego. Nie powinniśmy na to pozwolić...

– Rewolucja wymaga ofiar. Wie o tym każdy, kto wierzy w jej powodzenie. Nie mamy wyboru.

Sięgam po karafkę z wodą i nalewam jej do wysokiej szklanicy.

– Mamy – upiera się Kłasson. – Szybsze obalenie caratu to mniej ofiar...

– Naprawdę? A może te ofiary są nam potrzebne?

– Do czego zmierzacie?

– W trakcie rewolucji zginie wielu, których musielibyśmy się pozbyć podczas oczyszczania państwa. Lepiej tego uniknąć, aby nie zarzucano nam zbytniego radykalizmu. Przynajmniej w pierwszej fazie. Potem wszystko samo się wyklaruje.

Kłasson kręci głową i ciężko sapie. Ma małe, bystre oczy głęboko osadzone pod gęstymi siwiejącymi brwiami. Wypija do dna kieliszek wódki, po czym ociera usta jedwabną serwetką.

– Należy wziąć odpowiedzialność za... – Urywa w pół zdania. Wbija w kogoś wzrok i przygryza usta.

Zdaję sobie sprawę, że spogląda na jedną z kobiet. To ta postawna, charakterystyczna dama, którą widziałem przed paroma dniami i której spojrzenie napawało mnie niepokojem. Sięgam ku marynarce, lecz dziś nie mam przy sobie rewolweru. Kobieta świdruje mnie wzrokiem i nagle dziarsko rusza w naszą stronę.

– Nadieżda Konstantinowa Krupska – przedstawia ją Kłasson. – Moja wspaniała przyjaciółka, która całe serce oddaje pracy dla komitetu walczącego z analfabetyzmem wśród dzieci robotników.

Z ulgą odsapuję.

– Moja przyjemność. – Wyciągam do niej dłoń, a Nadieżda spogląda mi głęboko w oczy. Uśmiecham się szeroko.

– Czy bawi was działalność tego komitetu? – pyta oschle.

Niedbale wruszam ramionami. Analfabetyzm nie jest problemem, który mnie szczególnie frasuje.

– Absolutnie – odpowiadam poważnie. – Wierzę w jego wyjątkową rolę.

Dawno nie spacerowałem z kobietą wzdłuż Newy. Od zmarzniętej rzeki ciągnie chłodem, a w powietrzu wirują drobinki śniegu. Jest preraźliwie zimno, ale choć o tym wiem, jestem rozgrzany. Wypiłem jedynie lampkę wina, więc to nie przez alkohol.

– To tu. – Nadieżda nagle się zatrzymuje i wskazuje drzwi do pomalowanej na zielono niskiej kamienicy. – Mieszkam w tym domu.

Zostaję przywołany do rzeczywistości, jakby ktoś uderzył mnie w twarz. Rozpaczliwie chwytam się ostatniego tematu, o którym mówiliśmy. Staram się odtworzyć tok rozmowy. Opowieść o nauczaniu w szkółkach niedzielnych, działalności w Komitecie przeciw analfabetyzmowi, wreszcie moje wtręty o przebiegu rewolucji oraz wielkiej, europejskiej wojny, którą przepowiada wielu wielkich ludzi.

– Ta rewolucja wybuchnie szybciej, niż się spodziewa Klason – mówię bez związku. – Zobaczący.

Nadieżda odrzuca duży kaptur i poprawia rękawiczki. Delikatnie kiwa głową, jakby coś rozważała.

– Od czego to, waszym zdaniem, zależy? – pyta.

Cieszę się, że nie chce przerywać pogawędki. Dawno nie rozmawiało mi się tak dobrze i nie czułem się przy nikim równie swobodnie.

– Od przypadku – odpowiadam z przekonaniem. – Wystarczy drobna iskra, czyjaś ostra przemowa lub śmierć...

– Przypadek? Naprawdę w niego wierzycie?

– Oczywiście. To potężna siła rządząca światem.

Nadieżda wzdycha lekceważąco, a mnie nagle przestaje interesować ogólna koncepcja rewolucji, lecz jakaś tajemnicza siła każe mi osiąść tu i teraz. Jakbym w ułamku sekundy nabral fizycznych kształtów.

– Powiem wam coś... – mówię niewyraźnie. – Pozwólcie. Nigdy o tym nie wspominam, ale przy was czuję się jak...

Nie wiem, w jakie słowa ubrać swe myśli, co zdarza mi się bardzo rzadko. Jednak nagle coś we mnie pęka. Opowiadam jej o Saszy i o tym, że przed jego śmiercią rewolucja nie miała dla mnie znaczenia. Wszyscy potrzebujemy przypadku lub zbiegów okoliczności, można nazywać je dowolnie. Słowa i myśli wylewają się ze mnie niczym woda z pękniętego dzbanka. Nie potrafię nad tym zapanować. Jest mi jednocześnie głupio i czuję ulgę. W oczach Nadieżdy widzę natomiast jedynie zrozumienie oraz współczucie. Łapie mnie za rękę, ale nie przerywa mi nawet słowem. Przez kilka minut stoimy w ciszy. Rozumiem, że to ja muszę ją przerwać, i znów czuję konieczność zmiany tematu. Interesuje mnie tylko jedno.

– Zobaczymy się jeszcze? – pytam, spoglądając w jej wielkie oczy.

Nadieżda spuszcza wzrok i odwraca się w stronę drzwi. Jej dłoń wędruje ku klamce, lecz czyni to w nienaturalnie spowolnionym tempie.

– Może.

– Jutro? – proponuję natychmiast.

– Nie. Jutro się nie uda.

– Dlaczego? Czy powiedziałem coś nie tak? Czy obraziłem was?

Nadieżda otwiera drzwi i powoli wchodzi do kamienicy.

– Po prostu tak czuję. Zdajmy się na przypadek. W końcu zostawiamy mu los rewolucji, prawda? Zaufajcie mu i w tym.

36.

Wiem, że niektórzy uważają mnie za flirciarza, a nawet za bałamutnika. Kryje się za tym raczej kobiecy stosunek do mnie niż moje umiejętności względem płci niewieściej. Zdaję sobie z tego sprawę. Nierzadko przypisuje się nam zasługi, w których nie mamy żadnego udziału. Zazwyczaj powinniśmy z nich korzystać, choć nie sądzę, by opinia bałamutnika mogła być pożądana. Szczególnie z perspektywy kogoś, kto stara się utrzymać żelazną dyscyplinę.

Mimo to Nadieżda zamieszała mi w głowie. Wywołała to trywialne uczucie, które szeroko opisuje się w małej i wielkiej literaturze salonowej, nadając mu miano „miłości”. W rzeczywistości to przede wszystkim lubieżność bądź pożądanie. Nic więcej. Staram się sobie wmówić, że właśnie tak jest.

Spoglądam na maszerującego przy mnie Lwa Wiktorowicza. To wysoki, pocziwy mężczyzna, którego poznałem na wiecu w jednej z petersburskich hal fabrycznych. Mieliśmy stoczyć na nim zażartą debatę, ostatecznie Wiktorowicz niemal we wszystkim się ze mną zgodził. Jednak nie to sprawiło, że zyskał moją sympatię. Zjednał mnie bezwzględny uporem w trakcie przesłuchań, przez który trafił na dwa lata na Sybir. Mimo to nie załamał się, a po powrocie ze zdwojoną energią zaangażował w ruch marksistowski. Jest jednym z kurierów między Petersburgiem a Berlinem oraz Genewą. Naprawdę go cenię.

Gdy tego ranka zapukał do moich drzwi, postanowiłem go wykorzystać w charakterze męskiej przyzwoitki. Pośpiesznie wyłożyłem mu swój plan, on go zaakceptował i natychmiast wyruszyliśmy w drogę.

– Wierzysz w miłość? – zagaduję po dłuższym milczeniu. – Masz kobietę?

Potrząsa jedynie głową i mocniej nasuwa czapę.

– Nie?

– Kiedyś miałem. Odeszła.

– Powinieneś się postarać znaleźć żonę. To wiele ułatwia.

Wiktorowicz zerka na mnie z ukosa.

– Tak właśnie mówią zakochani? O tym, że żona „wiele ułatwia”?

– A czy tak nie jest?

Nie odpowiada. Widzę, że coś zajmuje jego uwagę. Rozgląda się i to zwalnia, to znów przyspiesza kroku. Staram się podążyć za jego spojrzeniem, ale nikogo nie dostrzegam.

– Za minutę będziemy na miejscu – rzucam. – Wejdziemy na górę, zostawię swój bilet i poproszę, by Nadieżda towarzyszyła mi w południe na spacerze.

– To się nie uda.

– Co takiego?

Wiktorowicz nagle ciągnie mnie za mankiet i popycha w boczną uliczkę. Obrzucam go zaskoczonym spojrzeniem, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie on zamierza mi coś zrobić.

– Musimy iść – cedzi.

– Niby gdzie?

– Musimy iść, nie zatrzymuj się.

– O co ci chodzi? Muszę się zobaczyć z Nadią!

Ponownie odruchowo poprawia czapę i jeszcze mocniej ciągnie mnie za rękaw. Nie opieram się. Gdyby chciał zrobić mi krzywdę, nie musiałby wlec mnie nigdzie dalej. W pobliżu nie ma żywej duszy, a ciągną się jedynie składy na drewno oraz przegniełe komórki na tyłach kamienic.

– To Stiepan Girkin – pośpiesznie wyjaśnia Wiktorowicz. – Zdawało mi się, że widzę go przed twoim domem, a teraz nie mam wątpliwości. Śledził cię.

– O kim ty mówisz?

Lew Wiktorowicz nagle popycha mnie w stronę drewnianej furty i z impetem ją otwiera.

– Szpicel, który wielu naszych wysłał już na katorgę – wyjaśnia, dysząc. – Musimy zwiewać. Jeśli się kimś zainteresował, znaczy to, że ma na niego już dość papierów.

37.

FRANCJA, LIPIEC 1894 R.

Matka przesłała pieniądze. Nie mam pojęcia, co bym bez niej zrobił. A z drugiej strony wiem, że jej nadopiekuńczość w ogromny sposób kształtuje moje życie. Nie wspiera mojego wyjazdu za granicę dlatego, że tam spotkam najlepszych przedstawicieli światowej rewolucji. Wręcz przeciwnie. Robi to, by uchronić mnie od jakiegokolwiek działalności oraz kontaktów z rewolucjonistami. Ironia? A może po prostu matczyzny instynkt?

Matka jest dobra. Od śmierci Saszy traktuje mnie w sposób szczególny i nie powinienem się temu dziwić. Nie wiem tylko, czy zasługuję na jej miłość i oddanie. To nie jest zresztą istotne.

Matka może być takim samym środkiem do zwycięstwa rewolucji jak napad z bronią w rękę na pełen pieniędzy wóz pocztowy. Banknoty dane z jej ręki są warte tyle samo, co każde inne. Nie ma w tym nic poza instynktem.

Nadia. Kim się dla mnie stanie? Kim jest obecnie?

Spoglądam przez okno pociągu i obracam ołówek między palcami. Nie nakreśliłem żadnej z ostatnich myśli. Zresztą wiem, że zawarłem je już w notatkach sprzed wyjazdu. Wciąż i wciąż męczą mnie te same kwestie.

Od kilku tygodni nie potrafię znaleźć swojego miejsca i podążam byle dalej, gnany jakimś najgłębszym zewem. Czy to tkwiący we mnie Sasza? Znów zbyt często jego twarz staje mi przed oczami. A potem zbyt często zamienia się w trupa, pozbawioną skóry i mięśni czaszkę. Ten obraz powraca w snach oraz na jawie.

Podróż do Szwajcarii nie przyniosła żadnych korzyści. Organizacja „Wyzwolenie Pracy” to zbieranina idealistów oderwanych od realiów życia w Rosji. Zbyt dawno ich nie było na miejscu, a informacje, jakie dostają, są jedynie sztuką teatralną, jaką odgrywają przed nimi najbliżsi. Akselrod, Plechanow i cała reszta to jedynie pozoranci. Do tego wszyscy nasiąknięci bezpiecznym stylem życia szwajcarskich mieszczan. Rewolucji nie da się planować z wygodnego fotela.

Widoki za oknem zmieniają się co kilka minut. Od godziny krajobraz jest niemal zupełnie płaski, a miejscowości coraz bliżej siebie. W moim wagonie podróżuje osiem osób, które do dyspozycji mają cztery miejsca sypialne. Zgodnie z regulaminem przysługują każdemu przez sześć godzin podróży, lecz ja zrezygnowałem ze swojego. Całą noc

spędziłem przy oknie. Nie wiem, czy spałem. Bałem się, że Sasza znów do mnie przyjdzie w koszmarach.

Nagle drzwi wagonu otwierają się i staje w nich wąsaty konduktor. Ma elegancki mundur oraz czapkę z czerwonym otokiem.

– Za kilka minut pociąg wjedzie do Paryża – oznajmia, po czym podąża dalej.

A więc tak wyglądają przedmieścia stolicy Europy. Czeka na mnie Sankt Petersburg Zachodu. Nie robi na mnie miłego wrażenia.

38.

Paryż jest rozczarowujący, ale spotkanie z Paulem Lafargue wynagrodziło mi trudy podróży. To niesamowicie inspirujący człowiek, który jest dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażałem po lekturze *Religii kapitalu*. Z pewnością w jego poglądach nie ma nic sztucznego. Określiłbym go najbardziej autentycznym znanym mi rewolucjonistą. Dokonuje niezwykle głębokiej interpretacji dzieł Marksa, która z pewnością pozostawi we mnie ślad.

Kolejne tygodnie w podróży utwierdzają mnie w przekonaniu, że nie tylko Rosja, ale cały świat wymaga przemiany. Zgnilizna sięgnęła społecznych nizin. Rewolucja musi wypłenić burżuazyjne myślenie nie tylko z miast, ale również ze wsi i z osad robotniczych. Konieczne są bezwzględne środki.

Idea marksizmu wymaga jednak studiowania. Biblioteki paryskie, berlińskie i genewskie przybliżają mnie ku koncepcji nowego społeczeństwa oraz nowego człowieka.

Do Petersburga wracam z walizką pełną literatury wymagającej powielenia. Pilnie jej strzegę, to mój największy skarb. Zwielokrotnienie tych pism i dotarcie z nimi do jak najszerzej grupy odbiorców to pierwszoplanowy cel. Muszę się przy tym wyzybyć lęku oraz poczucia odpowiedzialności za siebie.

Pociąg zatrzymuje się i jako jeden z pierwszych pasażerów wysiadam na peron. Znów w Rosji. Znów w Petersburgu. Ale czy jestem ponownie w domu?

Ponoć miałem być bezpieczny, tymczasem od razu dostrzegam człowieka, który za mną podąża. Zatrzymuję się i mierzę go wzrokiem. Niski, jeszcze niższy niż ja mężczyzna wkłada dłonie do kieszeni. Rozgląda się, jakby kogoś szukał, ale wiem, że to właśnie na mnie czekał na stacji. Ma ponure, nieobecne spojrzenie i krótką bródkę. Ruszam w jego stronę, lecz on nagle odwraca się i znika w tłumie. Być może to najlepszy znak, że czas rewolucji jest coraz bliżej. Oprawcy boją się śledzonych.

39.

SANKT PETERSBURG, WRZESIEŃ 1894 R.

– Myślałem o tobie bez przerwy, każdego dnia.

– A jednak wysłałeś tylko kilka oschłych listów.

Nadia patrzy na mnie swoimi wielkimi, skrzącymi oczami. Tak, teraz już wiem, że ona również o mnie myślała.

– Nie mogłem. Moja korespondencja na pewno jest czytana. Wiesz, jak to jest wysyłać listy, które z pewnością zostaną starannie skontrolowane przez jakiegoś drania urzędnika? Nie mogłem w ten sposób ci niczego wyznać.

– I to tylko dlatego?

– Tylko.

Prawda jest nieco bardziej złożona. Oczywiście pamiętałem i myślałem o niej wielokrotnie, ale miałem zbyt wiele spraw na głowie, żeby skupiać się na miłostkach. Czuję, że jestem stworzony do czegoś więcej. To poczucie towarzyszyło mi przez całą podróż.

Teraz, gdy znów wędrujemy nad Newą, cieszę się jednak, że wróciłem. Ufny, łagodny ton głosu Nadii sprawia, że jest mi naprawdę lekko. Sprawy polityki oraz filozofii odchodzą gdzieś na bok. Mijają nas powozy, które rozchlapują błoto, lecz nie zwracam na to uwagi. Niewiele brakuje, a wpadłbym na ludzi zapatrzony w kobietę idącą u mojego boku. Tymczasem Nadia jest poważna i zamyślona. Marszczy brwi. Co chwilę przygryza usta, jakby starała się wstrzymać jakieś słowa. To wszystko sprawia, że wydaje mi się jeszcze bardziej urocza.

– Myślałam, że znalazłeś sobie kogoś – oznajmia nagle z wyrzutem. – A ja rzadko pozwalalam odprowadzić się nieznanym do domu. Wyjechałeś tak nagle...

– Po tamtym spotkaniu musiałem zniknąć.

W tej rozmowie nie jesteśmy towarzyszami, jestem ja i ona. Mężczyzna oraz kobieta. Nagle Nadia opuszcza rękę i kostki jej palców ocierają się o moją dłoń. Gdy odwraca głowę i mówi, jej usta są tak blisko mojego policzka, że czuję ciepło jej oddechu.

– Ot tak? Bez słowa?

– Pamiętasz, że zdaliśmy wszystko na przypadek?

Wzrusza ramionami, a ja nie zamierzam opowiadać o tym, że uciekłem w momencie, gdy pragnąłem zaprosić ją na wspólną przechadzkę. To już przeszłość.

Nasze dłonie stykają się w uścisku, lecz tylko na moment. Po chwili znów wracamy do dotychczasowej pozycji, w której statecznie prowadzę ją pod rękę.

– Minęło sześć miesięcy – mówi z naciskiem, nie patrząc na mnie. – Sześć miesięcy...

– Wiem.

– Co będzie teraz?

– Nie chciałbym zostawiać tego jedynie przypadkowi – odpowiadam, zatrzymując się pośrodku trotuaru, tak że kolejni ludzie muszą nas obchodzić. – Wreszcie musimy wziąć sprawy w swoje ręce.

Spogląda na mnie, ale niepewnie i przelotnie.

– Kiedy znów się zobaczymy? – pyta nieufnie.

– Jutro. Znajdę miejsce, gdzie będziemy mogli razem spędzić więcej czasu. Bez osób postronnych, tylko ty i ja.

Te słowa wypowiadam szybko i siląc się na niedbały ton. Mimo to z bijącym sercem wyglądam jej reakcji. Znów przygryza wargę i zerka na mnie podejrzliwie. Robi krok do tyłu, jakby chciała zaraz odejść. Wstrzymuję oddech. Powinienem być powiedzieć to zupełnie inaczej. Albo w ogóle nie proponować takiego spotkania.

– Dobrze – odpowiada, przerywając potok moich myśli. – Będę czekała jutro.

40.

– To musi trafić na pierwszą stronę. – Stukam palcem w ilustrację wykonaną przez jednego z rysowników. – Powielcie ją na szpaltach. Wkomponujcie do tekstu o strajku w fabryce Zweigera.

Drobny mężczyzna z krótkim wąsikiem i fajką w kącie ust kiwa głową. Gdzieś niedaleko szczęka prasa drukarska i huczą powielacze. W dwóch rozległych pomieszczeniach tłoczy się prawie pół setki ludzi. Przyjemnie jest patrzeć na ich zaangażowanie. Pierwszy numer „Sprawy Robotniczej” zostanie wydrukowany w ciągu najbliższych pięciu lub sześciu godzin, a rano trafi w ręce mas pracujących całego Petersburga. Za miesiąc będziemy go dystrybuować w Moskwie oraz Kazaniu. Za pół roku na terenie całej Rosji.

– Jedna z pras jest nieszczelna – relacjonuje mi wysoki, zarośnięty drukarz z kręconymi włosami sięgającymi ramion. Wszyscy nazywają go Jezusem. – To nas znacznie spowolni.

– Naprawcie tę usterkę – odpowiadam, wciąż patrząc na doskonałą ilustrację. – Gdzieś tu był mechanik.

– Szukamy go. Chyba niedawno poszedł do domu się przespać.

– Dziś?! Teraz?

Z niedowierzaniem kręcę głową. Nerwowo bębnię palcami w blat deski kreślarskiej i mlaszczę.

– Jest tu ktoś, kto zna się na prasach hydraulicznych?! – pytam, przekrzykując zgiełk. – Mamy nieszczelność!

– Ja, ja...

Podbiega do nas spocony krągły człowieczek, który dotąd pracował przy porządkowaniu wydrukowanych stron. Maszyny są prymitywne i większość prac należy wykonywać ręcznie niczym przy pierwszych gazetach drukowanych ponad sto lat temu w Londynie czy Paryżu.

– Postarajcie się... – Popycham krągłego człowieczka w stronę drukarza. – Zajmijcie się tym.

– Oczywiście.

Jakiś metalowy element jednej z maszyn ze szczękiem pada na podłogę. Zamieram w bezruchu, lecz najwyraźniej nie jest to awaria, gdyż stojąca przy nim kobieta jakby nigdy nic wsuwa go na miejsce. Wokół panuje twórczy chaos. Pomieszczenie wypełnia nie tylko energia zaangażowania, ale przede wszystkim duch rewolucji. Czuję go mocno jak nigdy dotąd.

W wirze obowiązków rzadziej myślę o Nadii. Mimo to wspomnienie spotkania napawa mnie radością i dodaje sił. Wiem, że tej nocy nie zasną. Jednak jutro, gdy wstanie świt, wręczę jej numer „Sprawy Robotniczej”. Na moją osobistą prośbę pojawi się w nim krótki tekst na temat komitetu zwalczającego analfabetyzm. Jeśli zechce, będzie mogła to potraktować jako swoiste oświadczyzny. Jeśli nie... Nagle zaczynam się denerwować. Może to wszystko rozgrywa się zbyt szybko? Widzieliśmy się ledwie dwa razy, rozmawialiśmy co prawda na wiele istotnych tematów, ale czy to właściwa kobieta? Czy zajmie się mną tak dobrze jak matka?

To ostatnie pytanie wywołuje nieprzyjemny dreszcz. Jak mogę myśleć w tej chwili o matce? Przecież nie potrzebuję kolejnej kobiety, która będzie nieustannie drżała w obawie o mój los. Mój los jest losem rewolucji...

Z zamyślenia wyrывa mnie mocne szturchnięcie w ramię. Wiktorowicz przepaszająco kiwa głową i pędzi dalej z belą papieru w rękach. Dwie kobiety obok mnie pchają wózek z nierozciętymi arkuszami. Ktoś cicho pogwizduje.

Nagle ponad wszystkie dźwięki wybija się odgłos tłuczonego szkła i uderzających o ścianę solidnych drzwi. Ktoś przewraca prasę drukarską, a na ziemię obok mnie upada

lampa naftowa. Odskakuję, by moje spodnie nie zajęły się ogniem. Nim udaje mi się wycofać, spostrzegam kilkunastu żandarmów, którzy wpadają do pomieszczenia. Zarys kolejnych odcina się na tle nocnego nieba widocznego przez stłuczone okno.

– Wszyscy pod ścianę! – Ostro krzyczy oficer. – Wszyscy pod ścianę!

Rozlega się szcęk przeladowywanych karabinów.

41.

SANKT PETERSBURG, 1895 R.

Oskarżony o działalność wywrotową.

Dokładnie tak samo nazwano Saszę i jego przyjaciół. Po siedmiu latach znalazłem się na ich miejscu. Obok mnie znajduje się czterdziestu dwóch innych oskarżonych. Żaden z nas nie przyznaje się do winy. Żaden z nas nie odczuwa wyrzutów sumienia.

Oczywiście, składanie do druku pisma robotniczego to co innego niż zamach na cara. Nie przygotowywaliśmy ani sztyletów, ani bomb. Mimo to łączy nas braterstwo.

Podzielono nas na dwie grupy i osadzono w więzieniu. Nie wiemy, jakich wyroków możemy się spodziewać i co nas czeka. Mimo to nie możemy narzekać. Cele są przestronne i dość jasne. Nie przypominają dusznych kazamatów twierdzy Szlisselburg, a do tego raz na jakiś czas możemy otrzymywać paczki od rodzin.

Nieustannie debatujemy. Tak jak teraz Kozuchin i Szwirgiel. Od godziny kłócą się na temat rewolucyjnej roli chłopów, którzy wyemigrowali do miast. Nie biorę udziału w tej wymianie zdań. Przysłuchuję się jej dość obojętnie, choć mam wyraźny pogląd na tę kwestię. Czasem lepiej zająć się swoimi sprawami.

Tęsknię za Nadieżdą. Jednak początkowa wściekłość, że znów zostaliśmy rozdzieleni, powoli przygasa. W końcu każdy z nas ma kogoś po drugiej stronie murów i tęsknota jest właściwą ceną za to, co pragniemy osiągnąć. Tą myślą często się pocieszamy. Właściwie jest banalna, ale czasem całe życie zdaje mi się komunałem.

Przekreślam kilka ostatnich zdań napisanych ołówkiem na cienkiej kartce. Przemyciono dla mnie materiały pisarskie, więc wciąż porządkuję swoje myśli. Spędzam na tym niemal całe dni. Nawet jeśli te marne dzieła zostaną spalone na stosach sądowych, ich treść mam już w głowie. Zawsze będę ją miał¹³.

Dlaczego nie mogę napisać listu? To boli znacznie bardziej od wszystkiego innego.

– Kiedy się zobaczymy, Nadio? – szepczę mimowolnie.

– Czego chcecie, obywatelu Uljanow?

Podnoszę wzrok i spostrzegam urzędnika sądowego w mundurze i ze szpadą u boku. U wejścia do celi stoi dwóch żołnierzy. Wszyscy zdają się spoglądać w moją stronę.

– O co chodzi? – pytam, gwałtownie przytomniejąc.

Nagle ogarnia mnie strach. A więc to już.

42.

1896 R.

Po rocznym areszcie i odmowie zwolnienia, mimo propozycji wpłacenia kaucji, dziś wszystko ma stać się jasne. W równym szeregu, niczym skazani na rozstrzelanie, stoimy

przed sądem. Rozprawa ma nieformalny charakter, jaki mają chyba wszystkie rozprawy oskarżonych o działalność wywrotową. A może i w tym powinienem doszukiwać się opiekuńczego ducha matki?

– Milczeć! – wrzeszczy jeden z podoficerów, choć żaden z nas się nie odzywa.

Jedynie oddychamy głęboko i trwożnie. Niektórzy nerwowo odchrząkują, inni przestępują z nogi na nogę. Nad tym nie można zapanować. Na pewno nie wtedy, gdy stoi się w wielkiej, surowej sali naprzeciw ogromnej ławy sędziowskiej. Sędzia ma siwe skronie i ciemne, bystre oczy. Jest gładko ogolony, lecz co chwilę odruchowo pociera wierzchem dłoni o podbródek. Od kilku minut przekłada leżące przed nim dokumenty.

– Milczeć, powiedziałem! – Podoficer gniewnie unosi dłoń. Stojący najbliżej Fiodor Piotrowicz uchyła się niczym wytresowany pies. Wzbudza tym uśmiech na twarzy żołnierza.

– Wywrotowcy...

To jedno wycedzone przez sędziego słowo sprawia, że w pomieszczeniu zapada jeszcze głębsza cisza. Zdaje się, że poza nim na sali już nikt nie oddycha. Zza okien słychać odgłosy prowadzonej przez kompanię piechoty musztry. Kolby karabinów z metalicznym hukiem uderzają o bruk, a potem pada ostry rozkaz rozejścia się.

Sędzia przez moment spogląda w stronę okna. Jest ponury, grudniowy dzień i szarość przedpołudnia odbija się na jego zmęczonej, poźółklej twarzy. Najwyraźniej delektuje się naszym strachem. Jeszcze kilkukrotnie gładzi dłonią podbródek i wreszcie ponownie odwraca się w naszą stronę.

Jest tu nas tylko jedenastu. Reszta została w celi lub już trafiła do innych więzień. Nie zwolniono nikogo. Nawet ilustratora, który był przekonany, że działa dla legalnej gazety. Dwóch chłopców strażnicy zatłukli niemal na śmierć. Trafili do lazaretu i słuch po nich zaginął. Kobiety znajdują się w innym więzieniu, a ich los jest nam również nieznanym. Mimo przemycanych wieści mamy znikome pojęcie o tym, co wydarzyło się przez ostatni rok.

Zdaję sobie sprawę, że kolejni podsądni występują z szeregu. Nagle pada moje nazwisko, więc również robię krok naprzód.

– Trzyletni pobyt na Syberii.

Sędzia wypowiada te słowa, jakby sam był zdumiony łagodnością wyroku. Tymczasem pode mną uginają się nogi.

Trzy lata zesłania na wschodnie rubieże świata? Zaczynam drżeć i czuję, jak pot skapuje mi z brwi na policzki. Muszę się opanować. Nie mogę teraz pokazać strachu. Patrzy na mnie zbyt wiele osób.

43.

SANKT PETERSBURG, LUTY 1897 R.

Matka znowu zrobiła, co mogła. Wiem jednak, że wskazała siebie oraz moją siostrę jako zakładników. Jeśli spróbuję uciec, one trafią do więzienia.

Pod tym warunkiem zezwolono mi na trzydniowy powrót do Sankt Petersburga. To właśnie stąd pojutrze wyruszę na Syberię. Za podróż będę musiał zapłacić z własnych pieniędzy. Przynajmniej nie wywiozł mnie tam nieogrzewanym, przepełnionym powozem więziennym.

Niemal wszyscy moi przyjaciele zostali aresztowani. Po fali strajków sprzed kilku miesięcy nie ma już śladu. Kilka osób, które spotkałem, jest ostrożnych i w ich spojrzeniach widzę strach. Mimo to do ruchu dołączyło wielu nowych członków. Są wśród nich przybyli z podpetersburskich wsi chłopci oraz robotnicy. Świadomość rewolucyjna ledwie się w nich tli. Mało kto czytał dzieła Marksa i Engelsa ze zrozumieniem. Ci bardziej światli cytują z nich wyświechtane frazesy, chyba nie do końca wierząc w ich treść. To wszystko okropnie przygnębia.

– Szukam Nadieždy Krupskiej – zwracam się do starej gospodyni domu, w którym wynajmuje mieszkanie. Kobieta spogląda na mnie mętnymi, pokrytymi kataraktą oczami.
– Nadieżda Krupska – powtarzam. – Chcę się z nią spotkać.

Starowina przyryka drzwi i spogląda na mnie przez wąską szczelinę.

– Nie ma jej.

– Ale...

W ostatniej chwili blokuję drzwi, które gospodyni chce zamknąć. Z determinacją wsuwam stopę na próg.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie jest. Wyprowadziła się?

– Mhm.

– Czy zostawiła nowy adres?

– Niech się pan cofnie, bo zacznę krzyczeć.

Składam dłonie jak do modlitwy i pokornie schylam głowę.

– Błagam. Niech pani mi powie... Jutro muszę wyjechać.

Starowina mlaszcze bezzębными ustami i poprawia wysoki czepiec. Na jej twarzy dostrzegam wyraz niechętnego litości.

– Panna Krupska została aresztowana kilka miesięcy temu – szepcze.

– Aresztowana?! – wybucham. – Za co?

– Nie wiem. To nie moja sprawa.

Kręci mi się w głowie i chwytam się framugi. Nagle tracę wszelką energię. Dopada mnie bezgraniczne zwątpienie. Znów zaczynają mi drżeć dłonie.

– Podobno jest w Ufie.

Po tych słowach staruszka zamyka drzwi i słyszę szcęk zamka. Bezsilnie osuwam się na ziemię. Myśl o wywózce na Syberię przeraża mnie jeszcze mocniej. Czuję bezkresną, całkowitą samotność.

– Ale o tym opowiem wam już następnym razem – oznajmiam, spoglądając w oczy żurnaliście. – Na dzisiaj musi wam wystarczyć. Syberia to... To całkowicie nowa historia.

¹² ros. „Staruszek”

¹³ W więzieniu Lenin pracował nad *Rozwojem kapitalizmu* w Rosji, który został opublikowany w 1899 r., stając się jedną z najważniejszych pozycji marksistowskich.

44.

MOSKWA, CZERWIEC 1919 R.

Towarzysze Dzierżyński, Cziczerin i Trocki siedzą przy owalnym, hebanowym stole. Przed nimi piętrzą się góry raportów, map oraz dokumentów. Wszyscy jesteście zmęczeni. Narada trwa od ponad pięciu godzin i wypracowaliśmy jedynie kilka dokumentów. Przeciagam się i podchodzę do okna. Zerkam na błękitne niebo, po którym suną pojedyncze obłoczki. Przez chwilę pozwalam oczom odpoczywać. Zakładam dłonie za plecy i stoję nieruchomo, wsłuchując się w wiatr przeciskający się przez lufcik.

Trocki i Cziczerin nie zgadzają się co do sposobu reakcji na ostatnie działania Polski. Na szczęście sytuacja na froncie jest opanowana, ale oni pragną zdecydowanych działań. Jakby nie rozumieli, że wszelkie zwycięstwa rosyjskie rozpoczynały się od całkowitej, niemal szaleńczej indolencji. Dzierżyński wie o tym i tak jak ja od kilku minut milczy. Jego ponure, martwe spojrzenie uważnie świdruje współromówców.

– Wszystkie siły należy skierować do kontrofensywy – peroruje Trocki. Wali pięścią w stół, jakby w podrzędnym wyszynku domagał się kufła piwa. – Już, teraz, natychmiast.

– Szaleństwo! Nie możemy osłabić frontu z białymi.

– Frontu? O jakim froncie mówicie, towarzyszu Cziczerin?!

Choć tego nie widzę, jestem przekonany, że Cziczerin co chwilę poprawia węzeł krawata i kręci głową. Wybałusza przy tym oczy, jakby się dusił.

– Denikin zbiera ludzi i zapasy...

– Niby skąd? Denikin jest już martwy. A nawet jeśli żyje, dowodzi armią jedynie na papierze.

– Zbyt łatwo go lekceważycie.

Wymiana zdań trwa w najlepsze, lecz nie zamierzam brać w niej udziału. Ktoś kiedyś powiedział, że psom należy pozwolić się czasem pogryźć, aby ustaliły między sobą hierarchię. Ich właściciel może się tej walce przypatrywać, pokazując, że jest gdzieś ponad, nieczuły na wewnętrzne sprawy sfory.

Poza tym Trocki i Cziczerin nie wiedzą wszystkiego. Zabroniłem im przekazywać najnowszych wiadomości zebranych przez wywiad. Dotarły one jedynie do mnie i do Dzierżyńskiego, ale o jego lojalność jestem całkowicie spokojny. Wszelkie znaki wskazują, że Denikin nie może się porozumieć z Piłsudskim i Polakami. Uparcie sprzeciwia się uznaniu Polski w granicach przekraczających Bug. To pokazuje, jak małostkowym i pysznym jest człowiekiem. Nie ma w ręce niczego, a mimo to chce kreślić na mapach granice. Dlatego jestem pewien, że musi przegrać. Gwoździem do jego trumny było zakwestionowanie istnienia Ukrainy w jakiegokolwiek formie. Piłsudski nie wybaczy mu tego błędu. Historia też nie.

Nagle rozlega się głośny łoskot do drzwi i do sali wpada strażnik. Obok niego stoi młody mężczyzna w polowym mundurze. Pręży się i salutuje. Mimo to dostrzegam, że jego wzrok ze zdziwieniem przemyka po bogato rzeźbionych meblach, obrazach oraz lśniących żyrandolach.

– Spocznijcie – każe. – Kto wy?

Żołnierz, łapiąc dech, wymienia swoje imię i nazwisko oraz lokację jednostki. Następnie wyciąga przed siebie dłoń z meldunkiem.

45.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że pilna depesza pochodzi od dowódcy jednego z oddziałów niestacjonujących na żadnym froncie. To jednostka zaplecza mająca czuwać nad zabezpieczeniem tyłów oraz nadzorować stopień wdrożenia koncepcji rewolucyjnych wśród warstw społecznych. Dzierżyński wyposażył ją w specjalne przywileje, ale to do moich rąk miał trafić raport.

Odwracam się w stronę okna i łapiąc światło, zaczynam czytać. Teraz wszyscy pozostali milczą i wiem, że bacznie wypatrują mojej reakcji. Każde kolejne zdanie sprawia, że czuję narastającą wściekłość. Powstrzymuję się, by nie zmiąć tego pisma i nie cisnąć nim o ziemię. Z radością nakazałbym rozstrzelanie gońca, ale przecież wiem, że złe wieści to nie jego wina. Winni jesteśmy wszyscy.

Opanowując drżenie dłoni, składam pismo na pół i jeszcze przez chwilę stoję odwrócony do okna. Wreszcie odchrząkuję. Czuję ostry ból gdzieś z tyłu głowy, lecz całkowicie go bagatelizuję.

– Wyjść – rzucam do gońca. – I wy też.

Żołnierz oraz strażnik natychmiast opuszczają salę. Drzwi zamykają się z trzaskiem, a potem nastaje cisza. Przez kilka sekund zbieram myśli.

– Towarzyszu... – Trocki jest wciąż pobudzony po wymianie zdań z Cziczerinem i odzywa się jako pierwszy.

Podchodzę do stołu i rzucam przed siebie meldunek. Opieram się obiema rękoma o blat. Z niedowierzaniem kręcę głową.

– Trzynaście wsi wznieciło bunt przeciw obowiązkowi wydzielania racji żywnościowych naszej armii – cedzę z przymkniętymi oczami. – Spalono cztery wozy wojskowe oraz dwa magazyny. Zabito sześciu ludzi. Kilkunastu jest rannych, a do tego prawie dwie setki poborowych zdezerterowało. Zapewne wstąpili do chłopskiej partyzantki, która ukryła się na bagnach i po lasach.

Wyprostowuję się i wściekle spoglądam po twarzach zebranych. Trocki nerwowo przygryza wąsy, Cziczerin jest blady i zmieszany, a z twarzy Dzierżyńskiego jak zwykle nie potrafię niczego wyczytać. Wydaje mi się, że w kąciку jego ust drży nawet uśmieszek.

– To zwykła zdrada... – syczę. – Lud zdradza tych, którzy oddają za niego życie...

– Spodziewaliśmy się tego. – Dzierżyński zakłada ręce na piersi i odchyła się w fotelu.

– Spodziewaliśmy? – dopytuje Trocki. – Czyżby?

– Jak najbardziej.

Dzierżyński rzuca mi znaczące spojrzenie.

– Mówiliśmy o tym z towarzyszem Leninem – odzywa się swoim wysokim, szyderczym głosem.

Tak. Ma rację. Cziczerin również brał udział w tej rozmowie. Po raz kolejny coś zostało rozegrane w obecności nie wszystkich zebranych teraz w sali. To element układanki. Od wielu miesięcy staram się, aby nikt nie znał układu sił na całej mapie. Dozuję informacje, wzbudzając okazje do kłótni oraz wymiany zdań prowadzących donikąd. Zawsze jestem o krok przed resztą.

– Mogę nakazać mu przyjść w ciągu trzech kwadransów – mówi Dzierżyński. Wiem, kogo ma na myśli. W pewnych sprawach zależy mi na jednogłośnieości, dlatego niemal niezauważalnie kiwam głową.

– Zróbmy więc przerwę.

46.

Iwan Zacharow ściska dłoń Dzierżyńskiego, który go nam przedstawia. To jeden z dowódców wojsk zaopatrzenia, a do tego zasłużony weteran Wielkiej Wojny. Ma frontowe doświadczenie bojowe i doskonale to widać w jego ruchach. Porusza się pewnie, lecz jednocześnie czujnie i sprężysto. Ma kanciastą twarz o ostrych rysach i czujnym, ale nie świdrującym spojrzeniu. Jest w nim coś bezkompromisowego, lecz zarazem łagodzonego przez miły uśmiech i proste, wojskowe obycie. Wymieniając z nami uściski dłoni, spogląda nam w oczy i raz po raz powtarza nazwisko. Wreszcie cofa się o dwa kroki od stołu, jakby tego wymagał regulamin. Zakłada dłonie za plecy i wyczekuje rozkazów.

– Wiecie, co nas interesuje – odzywa się Dzierżyński. – Sytuacja wymaga stanowczych działań. Być może nawet demonstracyjnych i nazbyt dosadnych, ale nie możemy pozwolić na eskalację zdarzeń.

Rzadko kiedy Dzierżyński za jednym razem wypowiada tyle słów. Teraz, jakby zmęczony, osuwa się w krzesło i spuszcza oczy. Oczekuje, by Zacharow wygłosił referat.

Trocki i Cziczerin z zaciekawieniem obserwują rozwój wydarzeń. Ja odruchowo obracam między palcami ołówek.

– Oczywiście ani słowo z tego spotkania nie może wyjść poza drzwi – przestrzegam. – To chyba jasne.

Cziczerin ociera chusteczką pot z czoła i głupawo się uśmiecha. Trocki ponownie przygryza wąsy.

– Mówcie, towarzyszu Zacharow – ponagla Dzierżyński.

Wojskowy wbija wzrok gdzieś w ścianę i odzywa się łagodnym, obojętnym tonem:

– Użycie gazów bojowych jest możliwe po przygotowaniach trwających mniej niż dobę. Posiadamy sześć tysięcy ton właściwych pocisków, granatów oraz ładunków wybuchowych. Wypełnia je bromek ksylilu, chlor, fosogen...

Po tych słowach Zacharow milknie, a w pomieszczeniu zapada cisza. Obserwuję wrażenie, jakie wywarły na zebranych. Choć Cziczerin mógł się spodziewać podjęcia tego tematu, wciąż ociera pot z czoła. Trocki purpurowieje i gniewnie zaciska pięści.

– To okrutne! – wybucha nagle. – Widziałem zdjęcia z okopów, słyszałem relacje świadków i ofiar, które przeżyły.

– To ostateczność – zgadza się z nim Cziczerin.

– Czy nie potrzebujemy zdobyć się na ostateczność? – pytam oschle. Następnie zwracam się do Zacharowa: – Opiszcie mi skutki działania tych gazów.

Wojskowy nie odrywa wzroku od raz upatrzonego punktu. Referuje dalej, jakby czytał z kartki.

– W zależności od użytego środka są gazy parzące, duszące i paralizujące układ nerwowy. Niektóre mogą robić to wszystko naraz, ale osobiście nie jestem do nich przekonany. W trakcie wojny największym powodzeniem cieszył się gaz musztardowy, atakujący przewód oddechowy oraz powodujący oparzenia...

Wojskowy odkasłuje, po czym mówi dalej:

– Możecie sobie wyobrazić ciała, z których skóra schodzi całymi płatami, jakby były obdzierane z niej żywcem. Roluje się i odpada, zostawiając brunatnoczarne, niegojące się rany. Twarze poparzonych wyglądają jak czaszki, które wyciągnięto z ogniska. Niektórzy szczęśliwcy zachowują oczy, których białka błyskają na ciemnym tle spalenizny.

Widzę, że Trocki krzywi się, a Cziczerin marszczy czoło, jakby te obrazy były zbyt trudne do wyobrażenia. Zacharow najwyraźniej jest urzeczony swoimi opisami, gdyż ciągnie dalej:

– Ludzie, którzy nie zabezpieczą się mokrymi maskami gazowymi i wciągną choć oddech, zdychają w agonii. Tłuką rękoma i nogami o podłogę, tarzają się, jakby walczyli z niewidzianym wrogiem, a wreszcie zaczynają kasłać. Najpierw delikatnie, jakby chcieli odchrząknąć, a potem wybuchają kaszlem gruźlika, w trakcie którego wypluwają kawałki płuc wielkości dużej monety. Wtedy krew zaczyna sączyć się z wszystkich otworów ich ciała, a nawet z porów skóry. Wyglądają, jakby ich pot nabrał czerwonej barwy...

Trocki bębni palcami o stół i nagle się podnosi.

– Dość, znamy już szczegóły działania tego gazu... Ale mówiliście, że mamy większy wybór.

W jego głosie tkwi nadzieja. Choć bez wątplenia jest bojownikiem i odważnym człowiekiem, jest też nad wyraz delikatny. Zacharow natychmiast pozbawia go złudzeń.

– Owszem, ich działanie jest często diabelnie podstępne – stwierdza.

– Co macie na myśli?

– Na przykład są gazy, które działają po tygodniu lub dwóch, ale są również takie, które nie zabijają, a jedynie mają służyć rozszerzaniu pęcherzyków płucnych. Wtedy kolejny użyty gaz sieje śmiertelne spustoszenie już przy pierwszym wdechu.

– A to ciekawe! – Zafascynowany zacieram ręce. – To kapitalny pomysł! Użyjmy tego.

– Większość państw wycofała się z jego stosowania...

– Ze względów humanitarnych? – dopytuje Trocki.

Nie zamierzam pozwolić Zacharowowi odpowiedzieć.

– Bardzo dobrze – cedzę. – Wrogów rewolucji należy zetrzeć w proch, dając przykład wszystkim wokół. Bez żadnych taryf ulgowych.

– Towarzyszu...

– Sporządźcie odpowiednie telegramy i wydajcie rozkazy. Telegram ma być zaszyfrowany. I nigdzie nie może widnieć moje nazwisko.

Wypowiedziawszy te słowa, wychodzę z sali. Narada na dzisiaj jest skończona. Niebawem ma odwiedzić mnie żurnalista. Muszę mu się pokazać w pozytywnym świetle.

47.

KU SYBERII, MARZEC 1897 R.

Ponoć stwierdzono, że nie jestem podmiotem nazbyt niebezpiecznym, i na miejsce mojego zesłania wyznaczono dziką osadę Szuszenskoje, gdzie przebywali niegdyś Piotr Falenberg i Aleksander Frołow. Niewiele wiem o tym miejscu, ale staram się o tym nie myśleć.

Jestem w podróży od czterech tygodni, a co najmniej drugie tyle przede mną. Jeszcze przez kilka dni będą mi towarzyszyły matka oraz Maria. Doceniam ich poświęcenie i ponuro spoglądam na ich zaczerwienione od zimna twarze, na smutne oczy oraz drżące ręce. Eskortuje nas dwóch żołnierzy, ale to tylko dlatego, że i tak wysłano ich na syberyjski posterunek. Pierwsze kilkaset kilometrów przejechaliśmy koleją, potem przesiedliśmy się do wozu konnego, wreszcie do sań. Zdziwiająco długie odcinki tego kraju można przebywać w telepiących się, wyściełanych skórami saniami. Ponoć Syberia jest właśnie taka. Śnieg nie odpuszcza tu nawet latem i sprawia, że od jego poświęty zaczyna się ślepnąć. A może to wszystko jedynie wyssane z palca fantazje?

Przed oczami mam Nadię. Na żaden z wysłanych do Ufy listów wciąż nie otrzymałem jakiegokolwiek odpowiedzi. Nie wiem, czy w ogóle Nadeżda żyje ani za co została skazana. Nikt nie znał jej losu. Krążyła plotka, że ponoć ujęto ją podczas jednego ze strajków lub w trakcie organizowania pracy komitetu robotniczego. Choć to nieracjonalne, nie tęsknię za Petersburgiem, lecz za nią.

– Musisz wrócić – odzywa się nagle matka. Powtarza to zdanie regularnie, co kilka godzin. – Musisz, rozumiesz?

– Wrócę. Szybciej, niż się spodziewacie.

– Nie próbuj się wyróżnić. Nie próbuj tam niczego zdziałać. Po prostu uspokój się i przemyśl, że lepiej jest przestać walczyć ze światem.

– Ze światem – parskam gniewnie. – Nigdy nie porywałem się na walkę ze światem, a co najwyżej z wyzyskiem klasowym i ciemieżycielami...

– Ciiii.... – ucisza mnie Maria.

Pokornie milknę i spuszczam głowę. Matka kuli się, osłaniając twarz od wiatru grubym szalem. Na jej policzkach skóra łuszczy się całymi płatami, tworząc niemal krwawe pasy. Popękane naczynka przybierają fioletowy kolor.

– Będę pisał wiele listów – zapewniam. – A to prawie tak, jakbym był w domu. Prawda?

Matka nie odpowiada. Maria również milczy, drżąc z przenikliwego zimna. Z dnia na dzień klimat staje się ostrzejszy, a wiatr bardziej przeszywający. Ma być tylko gorzej.

48.

SZUSZENSKOJE, MAJ 1898 R.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do Sybiru. Tym bardziej że Szuszenskoje nie jest najgorszym miejscem. Nie jest jednym z tych piekieł na ziemi, o których słyszałem

lub czytywałem. Przebywa tu kilkuset zesłańców zorganizowanych w swego rodzaju wspólnotę. Część z nich mieszka w prowizorycznym obozowisku u skraju lasu, ale mnie pozwolono wynająć pokój w jednej z chat. Gospodarz jest krzepkim tubylcem o pomarszczonej, ogorzalej twarzy i wielkich dłoniach. Jego żona, wiecznie okutana w kilka warstw futer, bardziej przypomina dzikiego stwora niż kobietę. Mimo to dobrze mi się z nimi dogaduje. Regularnie przekazuję im otrzymywane od matki pieniądze, a oni pozwalają mi się ogrzać przy rzadko rozpalanym piecu.

Nie mogę opuścić tego miejsca. Nie mogę wybrać się nad rzekę albo na ryby, nie mogę spróbować polować. Wciąż muszę się meldować, a chatę nieustannie obserwują żołnierze. W większości to zmobilizowani tutejsi mieszkańcy, ale jest również kilku podoficerów przybyłych z zachodniej części kraju. Dla nich to również musi być zsyłka. Choć wszyscy zdają się tu nadzwyczaj zgrani i zadowoleni. Wieczorami po okolicy niosą się rubaszne śpiewy, w niebo strzelają wielkie ogniska, a żołnierze zabawiają się z dziewczętami. Może to właśnie jest rosyjski przepis na wygodne i dostatnie życie?

Odsuwam notes i odkładam obok niego ołówek. Na prostym stole leży kilka skreślonych przeze mnie listów oraz notatek. Nie zabroniono mi prowadzić korespondencji. Regularnie pisuję do matki oraz do sióstr. Równie regularnie, przynajmniej jak na te warunki, otrzymuję od nich odpowiedzi. To pozwala nadać tutejszemu życiu jakąś harmonię i sprawia, że czas szybciej płynie. Zawsze zależy nam na oczekiwaniu.

– Panie filozof! – Drzwi chaty otwierają się i staje w nich jeden z żołnierzy. To zwalisty jak niedźwiedź miejscowy, którego od całej reszty wyróżnia jedynie czapka. Nie nosi żadnej innej części munduru. – Przychodzę nie w porę?

Niedbale macham ręką i wstaję od stołu. Gospodarzy nie ma w chacie od dwóch dni. Wybrali się w podróż do miasta po jakieś sprawunki, tymczasem ten żołnierz regularnie mnie nachodzi, bym pomógł mu coś przeczytać. Jest kompletnym analfabetą, ale nie chciał słuchać o nauce liter. Skoro miał mnie, nie było mu to przecież potrzebne.

– Proszę... – Wskazuję, by wszedł do chaty, choć i tak robi to bez zaproszenia. – Czym mogę służyć?

– Nie ty mi, dziś nie ty mi.

Nie rozumiem, o co mu chodzi, choć właściwie nie zdarza się to po raz pierwszy. Jest tu mnóstwo ludzi, którzy niewiele różnią się intelektem od zwierząt. Zwalisty żołnierz uśmiecha się i spogląda na mnie spođe łba.

– No, o co chodzi?

– A tak to.

– A tak co?

Zirytowany i bezsilny muszę wyglądać żałośnie, bo żołdak wybucha niskim, rwanym śmiechem przypominającym szczekanie wielkiego psa. Powoli odwraca swe cielsko ku drzwiom, po czym przeciągle gwizdże.

– Wejść – rzuca i ponownie spogląda w moją stronę. – Kogoś ci przyprowadziłem.

Nim wypowiada ostatnie słowo, do chaty wchodzi wysoka, otulona chustami postać. Mimo że ma czapkę i zasłonięty podbródek, kiedy tylko unosi głowę, natychmiast ją rozpoznaję.

– Nadia! – Zrywam się ku niej z otwartymi ramionami.

Stajemy przed analogionem¹⁴ i zamieramy w bezruchu. Wnętrze cerkwi wypełnia dym kadzideł oraz świec, a wiosenne słońce ogrzewające budynek zdaje się jeszcze potęgować wszelkie aromaty. W środku poza celebrantami jest kilkanaście osób. To nasi przyjaciele oraz towarzysze niedoli. Łączy nas z nimi więcej, niż mogłoby połączyć kogokolwiek w tak krótkim czasie na wolności. Syberia zbliża ludzi. Syberia zacieśnia więzi i ugruntowuje spiski. Nie mam wątpliwości, że to los zesłał mnie właśnie tutaj. Dopełniam go, stając przed Ewangelią, krzyżem oraz pucharem wina. Obok mnie stoi Nadia, ubrana w ubogą suknię ślubną sprowadzoną z dalekiego miasteczka. Droższe było jej przetransportowanie niż zakup, ale powiadomiona o wszystkim matka ponownie nie pożałowała pieniędzy.

– Czy świadomie i bez przymusu powzięliście decyzję o zawarciu świętego sakramentu małżeństwa?

Słowa kapłana wybrzmiewają nadzwyczaj uroczyście. To siwy, zgarbiony pop w złotej, poprzecieranej tu i ówdzie szacie. Potwierdzamy i na dowód szczerości poruszamy zapalonymi świecami. Następuje ektenia, której bardziej się przysłuchuję, niż w niej uczestniczę.

Panie, zmiłuj się...

Dlaczego miłosierny Bóg musi być proszony o łaskę? Wreszcie, dlaczego czasem odmawia tej łaski swoim najlepszym sługom? Moje myśli ponownie kierują się ku Saszy, ale staram się je szybko odegnąć. Zmuszam się do uśmiechu. Pop odwraca się do diaka, który trzyma czerwoną poduszkę z dwiema złożonymi koronami. Następnie sięga po nie i kolejno wsuwa je na nasze skronie. Złożone korony dziwnie kontrastują ze świadomością miejsca, w którym się znajdujemy. Nagle zaczynam się czuć wyjątkowo nieswojo, a przeciąg porusza płomieniem trzymanej przeze mnie świecy. Nadieżda spogląda na mnie i uśmiecha się pokrępiąco. Wtem przychodzi mi do głowy, że teraz na co dzień będzie mogła mnie wesprzeć tym uśmiechem. To sprawia, że się nieco rozluźniam.

Kapłan z namaszczeniem wykonuje znak krzyża i spogląda mi prosto w oczy, jakby przejrzał moje ostatnie myśli.

– Panie, Boże nasz, ukoronuj ich chwałą i dostojnością – wygłasza surowym tonem.

Żegnamy się wraz ze wszystkimi stojącymi wokół. Zbliża się najważniejsza chwila nabożeństwa, a na mnie spływa poczucie pustki. Śpiewana chóralnie Modlitwa Pańska niesie nasze błagania prosto do nieba, a ja przez cały czas myślę, że rewolucja musi znieść te okropne przybytki zabobonów.

Pop, gnąc się jeszcze mocniej ku ziemi, podaje nam puchar wina.

– Oto jest znak, że wszelkie radości i smutki będą wam teraz wspólne i wspólnie z nimi będziecie sobie radzić. Na dobre i na złe.

To jedyne prawdziwe słowa, które do mnie przemawiają.

– Amen – szepczę.

– Amen – odzywa się z przekonaniem Nadia.

Pop bierze nasze dłonie i splata je ze sobą. Następnie okrywa je epitachelionem i daje znak, byśmy podążyli za nim. Powoli, dostojnie okrążamy analogion, wznosząc kolejne liturgiczne zawołania. Wreszcie zatrzymujemy się, a duchowny ponownie spogląda mi prosto w oczy. Aromat kadzidła aż mnie mdli. Do tego rozlega się bicie dzwonów, które zdają się rezonować głęboko w mojej czaszce.

„Cerkiew musi zostać zniszczona” – myślę, odpowiadając na przenikliwe spojrzenie kapłana. Jego błogosławieństwa puszczam mimo uszu.

Nasz ślub był niezbędny, abyśmy mogli pozostać razem. Nadia nie miała prawa przebywać na zesłaniu razem ze mną, ale udało się jej kogoś przekonać, że jest moją narzeczoną. To otworzyło przed nią drogę z Ufy do Szuszenskoje. Całą podróż odbyła, nie mając pojęcia, jak zareaguję na ten plan. Dlatego gdy go mi przedstawiła, poczułem się jedynie zakłopotany. Ta dumna, piękna kobieta całkowicie mi zaufała. Oddała mi nie tylko swój los, ale również cześć i przyszłość. Prawdziwy ślub wzięliśmy właśnie wtedy, widząc się po raz pierwszy po miesiącach rozłąki. Wystarczyły spojrzenia, smagnięcie rąk i uśmiechy. Nie trzeba było niczych błogosławieństw.

Kolejne miesiące upłynęły spokojnie i bez problemów. Prowadziłem coraz bogatszą korespondencję, a Nadia pomagała mi w jej systematyzowaniu. Intensywnie pracowałem nad *Rozwojem kapitalizmu w Rosji*, który pod koniec 1899 roku wysłałem w ukryciu do Petersburga. Nadal miałem tam przyjaciół, którzy zdecydowali się opublikować tę książkę. To moje największe dotychczasowe dzieło, pokazujące rozwój nie tylko burżuazji i arystokracji, nie tylko narastającą niedolę chłopów oraz ludu pracy, ale przede wszystkim obrazujące procesy historyczne, których powstrzymanie może doprowadzić do odnowy świata. Do owej rewolucji, o której pisał Marks.

Do rękopisu dołączyłem prośbę, aby książka ukazała się pod pseudonimem Włodzimierz Ilin. Obywatel Uljanow musi zniknąć z oczu cenzury oraz władz. Jeśli chcę nadal działać, muszę robić to skrycie. Za kilka miesięcy znów będę wolny i muszę to właściwie spożytkować.

– Nigdy więcej Syberii – szepczę, a Nadia kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Nie myśl o tym.

Przechesując palcami rzadkie włosy i nabieram głęboko powietrza. Do chaty przez niewielkie okna wpada trochę światła. Jest już zachód, promienie słońca są fioletowopomarańczowe, a wiatr niesie od strony lasu wesołe śpiewy ptaków.

– Pani gospodyni! – zwracam się do starowiny, która mrużąc oczy, przędzie coś w rogu pokoju. – Idzie na pogodę?

Staruszka nie odrywa wzroku od robótki.

– Ptaki śpiewają na dyszcz i to długi – odzywa się cichym, zmęczonym głosem. – Do miasta się pewnie znów nie dochybocze.

– Kiedy myślicie, że zacznie padać?

– Jeszcze dzisiaj, pewno w nocy. Cały dzień widać było zamglony miesiąc na niebie.

Nadzieja nie przysłuchuje się naszej rozmowie. Kątem oka widzę, że czyta jeden z listów, które uchowały się na rogu biurka. Odłożyliśmy go, gdyż opatrzony został pieczęciami urzędowymi, co z jednej strony zawsze wzbudzało zainteresowanie, a z drugiej niechęć.

– Co to? – podpytuję, widząc zmieniony wyraz jej twarzy.

Jej pełne wargi nagle zaczynają drżeć, ale szybko się opanowuje. Spogląda na mnie pewnie i czule.

– Zwalniają cię transportem za dwa tygodnie. – Uśmiecha się, choć w jej oczach nie ma radości. – Nie możesz przebywać w Petersburgu, ale poza tym jesteś wolny.

Zrywam się w jej stronę i klękam obok. Kładę dłoń na jej kolanie.

– A ty?

- Ja muszę tu pozostać jeszcze niemal przez rok – odpowiada, ukrywając żal.
 - Zostanę... – szepczę. – Zostanę tu razem z tobą, a potem...
 - Nie – przerywa mi zdecydowanie. – Wrócisz i zaczniesz przygotowywać to, o czym myślisz każdego dnia. Nadchodzi twój czas.
- Kiwam głową. Czuję, że ma rację. Przychodzi mi to zaskakująco łatwo.

[14](#) Ścięty, pochyły stół stojący w cerkwiach.

51.

JESIEŃ/ZIMA 1900 R.

Syberia nie zostaje tak głęboko w psychice mocnego człowieka, jak niektórzy starają się przekonywać. Cierpią jedynie ci słabi, którzy na zesłanie trafiają bez przekonań i bez ducha. Ja czuję przede wszystkim pobudzenie oraz zagubienie. Czuję gotowość do działania, która napędza mnie i każe działać.

Pierwsze miesiące po powrocie były trudne, bo nigdzie nie mogłem znaleźć dla siebie miejsca. Wynająłem lichą kwaterę w Pskowie, aby być gdzieś w połowie drogi między Petersburgiem a Nadią. Jednak szybko zrozumiałem, że to jedynie półśrodki. Nie można stać w rozkroku i oglądać się w obie strony. Nadia we wszystkich listach podkreślała, że oczekuje ode mnie stanowczości i siły. Wspierała mnie, a każdy dzień przybliżał nas do ponownego spotkania. Bezsensowne czekanie nie mogło niczego zmienić.

Wybrałem się do Szwajcarii na konferencję marksistów, lecz tamtejsza emigracja stanowiła konglomerat zbyt wielu postaw oraz poglądów. Każdy rosyjski uciekinier chełpił się swoim życiorysem, zapominając o tym, czym powinniśmy się zajmować w rzeczywistości. Debaty, debaty, debaty... Niekończące się przemowy oraz ucieranie poglądów sprzyjały jedynie wewnętrznemu rozbiciu środowiska i kolejnym podziałom. Tkwiłszy w miejscu i nigdzie indziej nie mogłem tego dostrzec wyraźniej. Dlatego po niespełna dwóch tygodniach wraz z najbliższymi działaczami wybrałem się do Monachium. Wydawało się nam, że w tym wielkim, nowoczesnym mieście nie tylko staniemy się niewidzialni dla wysłanników wszelkiej burżuazyjnej władzy, ale przede wszystkim, że będziemy mieli możliwości pozyskania nowych zwolenników.

W grudniu 1900 roku, po całej serii niepowodzeń, wreszcie udało się wydrukować pierwszy numer naszego pisma. „Iskra” rozeszła się w niespodziewanie wielkim nakładzie i wywołała cały szereg debat. Zamieszczone w niej teksty komentowano nawet na uniwersytecie. Mimo początkowej radości, że nasza sprawa zdobyła rozgłos, szybko uświadomiliśmy sobie, że przede wszystkim ponownie zwróciła na nas uwagę. Staliśmy się zbyt pewni siebie. Powstawały kolejne numery, a moje teksty trafiały na pierwsze strony. Całkowicie pochłonięty pracą, straciłem poczucie czasu. W życiu zdarzało mi się to wielokrotnie, ale nigdy tak mocno jak wtedy. Duch rewolucji dodawał mi niezwyklej, ponadludzkiej energii. Pracowałem nad kolejnymi książkami oraz artykułami. Wygłaszałem odczyty i agitowałem. Na naszych wiecach pojawiała się coraz więcej ludzi. Pewnego wieczora, w trakcie przemowy na jednym z placów dostrzegłem kobiecą postać przedzierającą się przez tłum. Tak jak przed kilkoma laty niemal od razu ją rozpoznałem.

– Nadia...

Pośpiesznie zbiegłem z prowizorycznej mównicy i popędziłem w jej stronę. Do oczu cisnęły mi się łzy radości.

– Spójrz, ilu tu ludzi! – krzyczałem. – Spójrz, jak wiele osiągnąłem!

Przepęniała mnie radość, ale w sercu czułem również dumę.

– I jak? No powiedz.

Nadia ucisza mnie machnięciem ręki. Czytając, marszczy czoło i niemal niesłyszalnie szepcze. Wreszcie odkłada mój tekst na stół, po czym przenosi wzrok gdzieś w głąb naszego małego pokoju.

– Jesteś zbyt łagodny – odzywa się po kilku niemilosiernie przedłużających się sekundach. – Stanowczo zbyt łagodny. Widać, że emocje aż w tobie kipią, że całkowicie się nie zgadzasz z Piotriesowem, a jednak nie chcesz postawić kropki nad i.

– Przecież to robię – protestuję. Z rękoma założonymi za plecy obchodzę pokój i nerwowo zerkam za okno. Zapada wzrok, lecz życie w Monachium toczy się w najlepsze.

– Wyraziłem wszystko, co zamierzałem...

– Wymieniłeś argumenty.

– Na tym polega dyskusja. Zbiłem jego twierdzenia dotyczące istoty pochodzenia etnicznego dla klasowego podziału, następnie...

– Właśnie. – Nadia wchodzi mi w słowo. – Ty dyskutujesz, a czasem nie ma na to ani czasu, ani miejsca. Musisz wyrażać się ostrzej i dobitniej. Formułujesz doskonale myśli, lecz giną one w potoku polemiki.

– Staram się przekonywać ludzi. Nie mogę po prostu się klócić, bo w ten sposób nikogo nie przekonam.

– To nie jest klótnia. Chodzi mi o wyluszczenie swojej racji.

Odwracam się od okna, po czym spoglądam na swoją żonę. Ma zaciętą minę, potargane włosy i ostre spojrzenie. Siedzi w poprzecieranej, grubej sukni na skraju małej sofy. Sięga ponownie po mój tekst, ale zaraz znów odkłada go na stół.

– Niektórzy czytają „Iskry” tylko dla twoich tekstów – rzuca tonem niepozostawiającym wątpliwości, że ma rację. – Wiem o tym, bo rozmawiam z ludźmi. Możesz się do tego nie przyznawać, ale ty też o tym wiesz.

– Wiem... – Wzdycham, wruszając ramionami. – Ale czytają mnie dlatego, że to przemyślane artykuły.

– Nie. Czytają cię dlatego, że nad tekstem widnieje twój pseudonim. Włodzimierz Ilin. To im wystarcza.

– Czyżby?

Szybko podchodzę do niskiego biurka i otwieram jedną z szuflad. Pośpiesznie wyciągam z niej najnowszy rękopis, a następnie podaję go Nadii.

– Co to? – pyta zdziwiona. – Znowu coś napisałeś?

– Nazwijmy to ironicznym pismem politycznym.

Nadia pobieżnie przerzuca strony, coś cicho mruczy, wreszcie opuszcza rękopis i uważnie na mnie spogląda.

– Zapowiada się naprawdę dobrze. Przeczytam to jeszcze dziś w nocy.

– Zaczekaj.

Delikatnie biorę od niej plik kartek, po czym kładę go na stoliku. Sięgam po pióro. Na pierwszej stronie widnieje nakreślony pośpiesznie tytuł: Co robić?. Umieszczam nad nim wielkimi literami jedno słowo.

– Od teraz będą podpisywał się w ten sposób. – Oddaję kartki Nadii. – Jak ci się podoba?

Nadzieńda przygląda dłonią stronę i odczytuje na głos:

- Lenin.
- Z aprobatą kiwa głową.
- Ludzie z pewnością to zapamiętają¹⁵.

53.

To znów się dzieje. Woronkow i Zacharski zostali aresztowani. Policja bawarska przejęła część nakładu „Iskry” i wkroczyła do drukarni. To, co spotkało nas w Petersburgu, powtarza się kilka tysięcy kilometrów dalej.

Szybkim krokiem przemierzam w tę i we w tę Ludwigsstraße. Ulica sprawia wrażenie, jakby przeniesiono ją z Włoch. Łukowate okna, gładkie fasady domów, wreszcie niewielki plac przed kościołem o okrągłej rozecie oraz szerokich arkadach. Panuje tu spory ruch, ale znacznie mniejszy niż w samym centrum. Choć mogę ukryć się w tłumie, jednocześnie udaje mi się obserwować wejście do jednego z zakładów. To pracownia modystki, do której planowała się wybrać Nadia.

Kiedy?

Czy na pewno dziś?

Chyba tak. Nie jestem przekonany, lecz od ponad dwóch godzin krążę po okolicy. Wypatruję Nadii wśród mnóstwa podążających wokół postaci. Ludzie śpieszą się z pracy do domów, rozchodzą po kawiarniach oraz wyszynkach, znikają w restauracjach. Niektórzy zachodzą do kościoła, z którego roznosi się na ulicę taki sam zapach kadzidła, jaki towarzyszył naszemu nabożeństwu ślubnemu. Wspomnienie tamtego syberyjskiego dnia jeszcze bardziej pobudza mój niepokój.

Rosjanie wysyłają zbrodniarzy na wschód, a dokąd wysyłają swoich przestępców Bawarczycy? Wiem, że mają potężne twierdze, w których jest ciemno i wilgotno. I z których z pewnością nie ma ucieczki.

Nie mogę stracić życia w nędznej celi, pozbawiony środków do pisania oraz możliwości prowadzenia korespondencji. Nagle uświadamiam sobie, że pobyt w Monachium jest znacznie bardziej ryzykowny od pozostania w Rosji. Tam zawsze miałem przyjaciół, tu jednoczy nas jedynie wspólnota interesów. Poza tym dla wszystkich jesteśmy obcy. Obcy i dzicy, bo Rosjanie nie mają w Niemczech żadnego szacunku. Dlatego wielokrotnie nie przyznają się do swojego pochodzenia i staram rozmawiać tylko po niemiecku.

Gdzie jesteś, Nadio?

Zerkam w stronę pełnej kapeluszy witryny, ale nikogo przy niej nie ma. W ogóle przez ostatnią godzinę do zakładu weszły co najwyżej trzy kobiety. Może popełniam błąd? Może powinienem zejść do któregoś z członków komitetu i poprosić go o ostrzeżenie Nadii? Tyle że nie mam pojęcia, kto jest śledzony. Nie mam pojęcia, kto został aresztowany, a nad kim dopiero wisi groźba wtrącenia do lochu.

Nerwowo zagryzam wargę i zakładam dłonie za plecy. Ręce mi drżą, a mój chód musi przypominać chód pijaka, bo ludzie zerkają na mnie podejrzliwie. Muszę uważać. Nie powinienem zwracać na siebie uwagi. Ale...

Nadia. Wysiada z dorożki i rozgląda się przed przebiegnięciem przez ulicę. Jak zawsze jest niecierpliwa. Jej widok sprawia mi ulgę. Natychmiast ruszam w jej stronę i jeszcze raz rzucam wzrokiem po okolicy. Po kamienicach przypominających włoskie pałace, po kościołach i po przechodnich. Nie wiem, kiedy tu wrócę. Nie wiem, czy wrócę tu kiedykolwiek.

– Nadia... – mówię na tyle cicho, by jej nie przestraszyć. – Musimy wyjechać. Teraz...
Od razu. Znów nas ścigają.

54.

LONDYN, MAJ 1902 R.

Londyn jest najbardziej burżuazyjnym z robotniczych miast i najbardziej robotniczym z miast burżuazyjnych. Jest pełen sprzeczności oraz kontrastów. To niesamowite, jak lekko mogą się łączyć skrajna nędza i przepych luksusu. Czasem dzieli je jedynie szyba samochodu lub powozu. Dłonie hałastry dotykają jej, zostawiając lepkie odciski na szkle, dopiero co wypolerowanym przez służących w lśniących liberjach. Mrowie ludzkie przewija się w tę i w tę jak pionki miotane przez opatrność na jakiejś wielobarwnej szachownicy. Wielu tu Hindusów z długimi fajkami z kości słoniowej, błyskających dziko białkami oczu Murzynów, smagłych Arabów i Żydów. W tym całym chaosie panuje jednak wyniosły porządek pod dyscypliną dystygowanych Anglików we frakach lub strojach jeździeckich. Spoglądają na świat dumnie i butnie, jakby właśnie objęli go w swoje udzielne panowanie, i właściwie trudno się z nimi nie zgodzić.

Nadzieja nie może przywyknąć do tutejszego stylu i szybkości życia. Przeszkadza jej duszne powietrze oraz wiecznie siąpiący deszcz. Odczuwa bóle w stawach, a mimo to jest przez cały czas gotowa pomagać mi w pracy. Z trudem udaje się nam jednak zebrać tu szerszą grupę działaczy. Choć czuć tu niezwykłą wolność, Brytyjczycy nie myślą o buncie mas robotniczych. Dla nich zdaje się to taką samą abstrakcją jak to, by zbuntowały się przeciw nim kraje kolonialne. Zastany porządek rzeczy wydaje się im wieczny, ale co gorsza, niemal wszyscy go akceptują.

Całe dnie spędzam w czytelni Muzeum Brytyjskiego. Nigdy i nigdzie nie widziałem podobnie bogatych zbiorów. Można tu trafić na niemal wszystko, o czym się pomyśli. Do tego archiwum są doskonale uporządkowane i skatalogowane. Co zaskakujące, wypożyczają się również zabytkowe pozycje.

Zbyt często przychodzą tu jednak członkowie redakcji „Iskry”, którzy również uciekli do Londynu. To grono zmanierowanych ludzi, oddających się dyskusji, a nie lekturze. Na przykład ten Sasowski – wpatruje się teraz we mnie swoimi wyłupiastymi oczami, ociera tłuste, rybnie usta i z przejęciem relacjonuje bójkę jakichś emigrantów w londyńskiej spelunie. Kiwam jedynie głową, starając się dać mu do zrozumienia, że jestem skupiony na wypożyczonych pozycjach. Nadaremno. Sasowski rozbudowuje swoją historię do niebotycznych rozmiarów, poświęca uwagę każdemu szczegółowi i jak mi nie mam, przeinacza je, byle tylko mnie rozbawić.

– A wy, towarzyszu, co byście zrobili? – pyta, splatając tłuste dłonie. – Czy to nie przystoi?

– Każdy działa według własnego instynktu.

– Mówicie sloganami, ale bez ustosunkowania się do postawy, jaką przecież należy przyjąć.

Powstrzymuję się, aby nie powiedzieć, że cała jego historia była jednym zbyt długim sloganem, który stanowi ponadto stratę czasu dla jakiegokolwiek słuchacza. Jednak czy nie lepiej by było, gdybym rzeczywiście to zrobił? Może zyskałbym spokój i kolejnym razem Sasowski przemysłałby oderwanie mnie od lektury?

Zastanawiam się, w jakie słowa powinienem ubrać przyganę, lecz nagle redaktor zrywa się od stolika i wymienia z kimś ukłon. Następnie przywołuje ku nam zamaszystym ruchem jakiegoś dzentelmena. Jest to elegancki mężczyzna w garniturze oraz czarnym krawacie, z równo przystrzyżonymi wąsami oraz gęstymi, ciemnymi włosami. Na nosie ma cwikier w złotych oprawkach, a w dłoni hebanową laskę. Przypomina raczej arystokratę niż rewolucjonistę. Przyglądam mu się z zaintrygowaniem. W pewnym momencie mężczyzna się zatrzymuje i marszczy gęste brwi. Spogląda na mnie przez kilka sekund, wreszcie szeroko się uśmiecha.

– Towarzysz Lenin? – pyta zaskakująco niskim tonem.

– Towarzysz Lenin – potakuje Sasowski. Następnie przedstawia mi przybyłego. – A to towarzysz Lew Dawidowicz Trocki¹⁶. Poznajcie się, panowie.

Wymieniamy uściski dłoni i spoglądamy sobie głęboko w oczy. Mam przeczucie, że nasze losy jeszcze nieraz się przetną.

55.

LONDYN, CZERWIEC 1902 R.

– Musimy wreszcie zakończyć ten szkic. Nie możemy już na wstępie pokazać, że się nie zgadzamy.

– W takim razie zawrzyjcie w nim moje zdanie.

– Nalegam jednak, by forma pozostała taka jak...

Uderzam dłonią w drewniany pulpit i wybucham nerwowym śmiechem.

– Taka jak wy chcecie? To zamierzacie powiedzieć, prawda?

Julij Martow spogląda na mnie spođe łba. Po raz kolejny spieramy się o to samo. Na stole pomiędzy nami leżą sterty dokumentów oraz notatek. Od kilku minut przebywamy w pomieszczeniu sami. Nadchodząca awantura nakłoniła do wyjścia sekretarkę oraz jej pomocnika.

Martow nie zamierza ustąpić. Przeciąga palcami po gęstej brodzie, która przypomina owczą sierść. Co chwilę pokasłuje, przysyłając usta chusteczką.

– Na zjazd komitetu ma przybyć kilkuset działaczy – mówi z naciskiem. – Nie możemy tego dłużej odkładać.

– Nie możemy – zgadzam się z cynicznym uśmiechem. – Mamy tu przesłane oświadczenia kilkudziesięciu członków organizatorów.

Wskazuję na dokumenty i odwracam się od stołu. Sprawa rozbija się o zdefiniowanie władzy w komitecie oraz całej partii. Martow pragnie przeforsować możliwość uchylania decyzji przewodniczącego oraz kwestionowania jego wykładni politycznej. Dla mnie to całkowicie niedopuszczalne. Przynajmniej nie na tym etapie, na etapie, gdy środowisko wymaga konsolidacji oraz rygoru.

– Wiecie co... – proponuję nagle. – Załatwmy to wspólnie. Ze wszystkimi działaczami.

– Co macie na myśli, towarzyszu Lenin?

– Poddajmy sprawę pod głosowanie. Choćby jutro w trakcie zebrania plenarnego.

Postanawiam wszystko postawić na jedną kartę. Nie dopuszczam możliwości zrobienia choćby kroku w tył. Całe życie zmierzałem do tego momentu nie po to, by teraz walczyć jedynie o tytuły. Potrzebuję władzy i zaczynam coraz wyraźniej to czuć. Jedynie mając władzę, można zmieniać świat. A ja nie chcę robić niczego innego.

Spotkanie odbywa się w kościele użyczonym nam przez jedną z londyńskich wspólnot religijnych. To neogotycki, niezbyt duży budynek o strzelistych oknach wpuszczających przez witraże rozproszone światło. W środku tłoczy się kilkadziesiąt osób. W większości to działacze emigracyjni, lecz są również delegaci przybyli prosto z Rosji.

Drugi Kongres Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej rozpoczął się od kilku nudnych sprawozdań, podsumowania ostatnich lat działalności oraz ogłoszenia jako sukcesu całkowitego braku tych sukcesów. Jedynym powodem do zadowolenia jest zwiększająca się liczba członków oraz uczestników wieców. Mimo to ponad połowa rosyjskich władz partii obecnie przebywa w więzieniach lub na zesłaniu. Wydaje mi się to kolejnym dowodem za tym, by wzmocnić rolę przewodniczącego. Niemożność podejmowania gremialnych decyzji oraz utrudniona komunikacja z zarządem przemawiają za ścisłą centralizacją. Co więcej, przewodniczący powinien mieć prawo bezwzględnego wyznaczania kierunków polityki, bez oglądania się na działaczy. Rozproszenie, wielość poglądów i niska świadomość wielu z nich czynią niezbędnym zdanie się na autorytet autokratycznego przywódcy.

Kończąc wygłaszać swoje argumenty i spoglądam po zebranych. Słońce właśnie zaszło i w kościele zapanował półmrok. Wypełnia go cisza przerywana odkasznięciami oraz szuraniem butów po kamiennej posadzce. Zniżam dłoń, którymi mimowolnie entuzjastycznie gestykułowałem. Wypuszczam powietrze i pochylam ramiona. Po ekstatycznych tyradach zawsze brakuje mi energii.

Wtedy wybucha burza oklasków. Wybijają się ponad nie gwizdy oraz euforyczne krzyki poparcia. Kilka grupek niezależnie od siebie zaczyna skandować mój pseudonim.

Lenin.

Lenin.

Lenin!

Wyzywająco spoglądam na stojącego kilka kroków ode mnie Martowa. Ten uspokajająco unosi dłoń i daje znać, że chce przemówić.

– Głosujmy – rzuca oschle, gdy nastaje względna cisza. – Głosujmy! Moje zdanie znacie.

Widzę, że pomiędzy zebranymi zaczynają się toczyć dyskusje. Powaga Martowa, jego opanowanie i spokój mnie irytują. Mimo to wiodę wzrokiem po zgromadzonych.

– Głosujmy – przyznaję. – Decentralizacja czy bezwzględna rola przewodniczącego? Rozproszenie czy zwarty szereg w starciu z burżuazją?

Martow robi krok do przodu i swoim zwyczajem gładzi zmierzwioną brodę. Nagle zwraca się ku zebrany:

– Kto jest za stanowiskiem towarzysza Lenina?

Kolejne osoby unoszą dłoń. Najpierw nieśmiało, lecz dołączają do nich następni.

– Liczmy. Raz, dwa...

Dochodzimy do dwudziestu dwóch głosów. To niezły wynik, biorąc pod uwagę, że wielu działaczy na pewno się wstrzyma. Z uwagą wypatruję rozwoju sytuacji.

– Kto się zgadza z decentralizacją towarzysza Martowa?

Ku niebu wznoszą się kolejne ręce. Przebiega mnie dreszcz. Nie muszę liczyć, lecz za mnie robi to Martow.

– Dwadzieścia osiem – odzywa się tryumfalnie.

57.

– Towarzysze, towarzysze! – Unoszę dłonie, starając się uciszyć wrzawę. – Rozumiem wasze zdanie, ale musicie je przemyśleć. Zostaliście wprowadzeni w błąd ułudą równości członków...

– Ułudą?! – odkrzykuje ktoś z głębi kościoła.

– Partia musi być silna i kroczyć naprzód pod konkretnym przywództwem. W przeciwnym razie zatrzymamy się w pół kroku.

– Przestańcie – syczy stojący obok mnie Martow.

Nie zamierzam go słuchać. Nie zamierzam uznać przegranej w głosowaniu ani tego, że większość działaczy może być tak ograniczona. Spoglądają w przyszłość na kilka dni, tymczasem musimy patrzeć do przodu całe lata. Muszę to robić również ja. Ważniejsi są pojedynczy ludzie, którzy pójdą za mną na śmierć, niż cały tłum, który będzie mi jedynie przytakiwał.

– Pozwólcie, że jeszcze raz, bardziej systematycznie przedstawię wam swoje racje.

– Już po głosowaniu! – wznosi się kilka głosów.

Zaczynam coraz szybciej mówić. O roli przywództwa, o rozwoju partii i konieczności nieustannego parcia naprzód. Pobudzony coraz żywiej gestykuuję. Martow z rezygnacją spogląda po zebranych, wreszcie ostentacyjnie schodzi z podwyższenia. Rozlegają się gwizdy. Kilka grup zaczyna się przepychać i wywiązują się bójkami. Mimo to mówię dalej.

O wielkiej odpowiedzialności, o roli, jaką musimy odegrać dla świata, wreszcie o Rosji. Bo naszym planem jest przecież najpierw Rosja, a potem cały świat. Wspominam o duchu Marksa oraz Engelsa. O roli marksizmu dla każdego robotnika i chłopca.

– Rewolucja... – Nagle zdaję sobie sprawę, że po raz kolejny powtarzam to słowo. – Rewolucja!

Coraz więcej osób zaczyna skandować wraz ze mną. W ogólnym zamieszaniu Martow wraz z grupką działaczy opuszcza kościół. Moi zwolennicy rozstępują się, pozwalając im przejść. Gwizdy stają się jeszcze głośniejsze i mimowolnie się uśmiecham. Milknę, starając się nabrać tchu. Przez ostatnie kilkanaście minut z trudem powstrzymywałem drżenie dłoni i nie zważałem na pot spływający mi po twarzy.

– Jest nas większość! – krzyczę rozentuzjasmowany. – Czy was przekonałem?

Rozlega się gromki krzyk na znak aplauzu.

– Czy musimy głosować ponownie?

Zebrani jednomyślnie zaprzeczają. Nikt już nie protestuje. Wszyscy zwolennicy Martowa albo opuścili kościół, albo przeszli na moją stronę.

– Jest nas większość – powtarzam. – Odrzucamy poglądy mniejszości i bierzemy się do działania! Czekają nas wiele pracy.

– Większość! Większość!¹⁷

Większość oznacza zwycięstwo.

58.

LONDYN, MAJ 1904 R.

– Mam dość – oznajmiam wreszcie. – Mam tego dość!

Rzucam na biurko ołówek oraz notatnik. Spoglądam na gazetę, którą przyniosła Nadia. „Lenin jak Robespierre”. Wielki nagłówek tekstu uderza już na pierwszej stronie. Do tego karykatura oraz pamflet podpisany przez anonimowego działacza.

Półtora roku sporów oraz utarczek nie pozwoliło nam osiągnąć żadnego z celów. Wewnętrzne niesnaski powinny zostać zażegnane już dawno temu. Choćby siłą. Choćby na podstawie donosów, dzięki którym mieniszewicy trafiliby do londyńskich więzień.

– Należało się ich pozbyć! – krzyczę, bezsilnie spoglądając w oczy Nadii. – Wszystkich!

– Musimy po prostu zaczekać.

– Na co?

Nadia delikatnie kładzie dłoń na moim ramieniu i zaciska palce. Wiem, że chciałaby dodać mi otuchy, ale nie może tego zrobić.

– Nawet Plechanow... – cedzę. – Jak mógł poprzeć Martowa?

– Zawsze był sprzedajny.

– Ale zawsze miał również stanowczo zbyt wielu zwolenników.

Nadia pokrępiąco się uśmiecha, lecz nie potrafię odpowiedzieć jej tym samym. Jestem roztrzęsiony. Czuję ucisk w klatce piersiowej oraz tępy ból z tyłu głowy. To powraca co jakiś czas, lecz teraz ze zdwojoną, nieznaną dotąd siłą. Do tego dołącza okropny szum w uszach.

– Zrezygnuję z redagowania „Iskry” – oznajmiam. Gwałtownie sięgam po pióro i kreślę kilka zdań. – Zaniesiesz to do redakcji. Jeszcze dziś.

Nadia nie protestuje. Kiwa głową, jakby się tego spodziewała.

– Usunę się również z Rady Partii. Właściwe kroki powziąłem już dzisiaj rano.

– Co takiego?

– Wszystko jest napisane. Nie chcę z nimi nawet rozmawiać.

Wskazuję na plik kartek leżących w głębi biurka. Pracowałem nad tym dokumentem przez całą noc. Uznałem, że odchodząc, po raz ostatni przedstawię swoje racje. Choć ich odbiór już nie będzie mnie interesował. To środowisko, to miasto całkowicie mnie rozczarowały. Tak samo jak rozczarowuje mnie tłąca się od zbyt długiego czasu rewolucja. Potrzebujemy zrywu, a niemal nikt nie jest do niego gotowy.

– Koniec z tym wszystkim... – Przykładam palce do skroni. Ból głowy jest przytłaczający. Zaczyna mi brakować tchu w piersi i uginają się pode mną kolana. – Koniec z...

Gubię wątek. Nagle wszystko zaczyna się rozmywać, pomieszczenie wypełnia kłująca mózg jasność, a zaraz po niej wszystko zawęża się do białego rozbłysku wśród kompletnej ciemności.

Upadam. Ostatnie, co słyszę, to uderzenie mojej czaszki w kant stołu. Nie czuję bólu.

59.

SZWAJCARIA, PAŹDZIERNIK 1904 R.

– Czy nie myślisz o powrocie?

Nadia zadaje mi to pytanie zupełnie obojętnym tonem, jednak wiem, że tylko gra. W rzeczywistości ta kwestia frapuje ją każdego dnia. Tak samo jak to, na jak długo wystarczy nam pieniędzy. Moja matka nadal przysyła regularne wsparcie, do tego żyjemy

z moich publikacji, ale w ich przypadku zależni jesteśmy od humorów oraz powodzenia wydawców. Nadieżda dorywczo udziela korepetycji z rosyjskiego oraz z nauki gry na skrzypcach. Żyjemy z dnia na dzień i taka jest prawda.

– Dokąd mielibyśmy wracać?

– A dokąd byś chciał?

Sprytne sparowanie mojego ciosu. Idziemy obok siebie krętą ścieżką wijącą się nad brzegiem jeziora. Po lewej rozciąga się jego lśniąca w słońcu tafla, po prawej wznoszą się dzikie góry. Przez ramię mam przerzuconą dubeltówkę. Nadia trzyma niewielkie zawiniątko z naszym śniadaniem oraz wodą. Im dłużej jesteśmy z dala od świata wielkiej polityki, tym bardziej podoba mi się obcowanie z przyrodą. Przypominam sobie dzieciństwo i wędrówki sprzed lat. Przypomina mi się podróż z matką, by po raz ostatni odwiedzić Saszę.

– W Rosji znów nas aresztują – odzywam się po chwili. – Aresztowali już prawie wszystkich...

– A Londyn? Czujesz się na siłach, by wrócić do Anglii?

– I co miałbym tam robić? Kłócić się czy prowadzić nieustanne polemiki?

Lekarze nie potrafili jednoznacznie stwierdzić, dlaczego tamtego dnia straciłem przytomność. Zrzucono wszystko na karb nerwów oraz przepracowania. Zapewne tak było, lecz nieustannie mam wrażenie, że był to jedynie czynnik zapalny. Prawdziwa przyczyna od dawna tkwiła gdzieś we mnie. Bóle głowy, zesztynienia mięśni, drżenie rąk... Te objawy pojawiały się z różną siłą już od kilku lat. A teraz? Faktycznie czuję się zupełnie dobrze. Choć w głębi duszy doskwiera mi odsunięcie od działalności ruchu i partii. Mało kto zna mój obecny adres, więc niemal nie prowadzę korespondencji. Na tę, która przychodzi, odpisuję niechętnie i lakonicznie. Wolę po prostu spacerować. Choć... Chęć do działania tkwi we mnie tak jak ów prawdziwy czynnik chorobotwórczy. Nie mogę ich stłumić.

– Najpierw powinniśmy po prostu wrócić do naszej chaty – mówię, widząc ponurą minę Nadii. – Potem się zastanowimy.

– Obiecujesz?

– A naprawdę tego chcesz?

Kręci energicznie głową.

– Wiem, że ty tego chcesz – stwierdza z naciskiem.

Ma rację. Nie zamierzam przekonywać samego siebie, że jest inaczej. Nagle się zatrzymuję i przykładam strzelbę do ramienia. Z zarośli wzbila się tłusta, ciężka kaczka. Mierząc, mrużę oko, a jednocześnie delikatnie smagam palcem spust.

Oddaję morderczy strzał i z satysfakcją obserwuję spadające martwe ciało ptaka. W tym pojedynku to ja jestem zwyciężcą.

60.

GENEWA, STYCZEŃ 1905 R.

Chciałem mieć dziecko. Wtedy istniałby konkretny powód, aby spoglądać w przyszłość i budować ją dla kolejnych pokoleń. Motywacja mogłaby przerwać chwile melancholii, które czasem przemieniają się w przepelnione ciemnością dni. Po nich, przynajmniej do tej pory, zawsze następowała jasność. Jednak za każdym razem obawiam się, że mój limit przebudzeń się wyczerpał. Że dotarłem do ściany i już nigdy nie będę miał dość energii.

Cały pobyt w Szwajcarii sprowadza się do ciągu zniechęcenia oraz żalości. Nigdy tego nie przyznam przed Nadią, lecz przestałem oszukiwać samego siebie. To było nieprzyzwoite.

Gdybyśmy mieli dziecko, zapewne rzuciłbym się w wir pracy. Nie wiem tylko gdzie ani z kim. Ludzie coraz częściej mnie rozczarowują. Rozczarował mnie Petersburg i rozczarowało mnie Monachium. Londyn całkowicie zawiódł moje oczekiwania, a nawet o Paryżu, mimo wielkości ducha jego mieszkańców, nie potrafię myśleć z przyjemnością. To mentalny zaścianek idei.

Dokąd się wybieremy?

Tak zadane pytanie wybrzmiewa w moim umyśle w chwili, gdy otwierają się drzwi sypialni. Doktor Mosser, przygarbiony Żyd z monoklem w lewym oku, wychodzi z pokoju. W dłoni trzyma skórzaną torbę, a jego czoło pokrywa perlisty pot. Spogląda na mnie nieśmiało i poważnie. Nie musi nic mówić, lecz najwyraźniej uważa to za swój obowiązek.

– Niestety, podejrzewam, że pańska żona nie ma żadnych szans na macierzyństwo – stwierdza chłodno. – Medycyna jest w tym przypadku bezradna.

Przełykam ślinę, ale z zaskakującą łatwością udaje mi się zapanować nad emocjami. Właściwie nie czuję teraz niczego.

– Podejrzewa pan czy ma pan pewność?

– Podejrzenie bliskie pewności. W tym przypadku nie ma mowy o kuracji, ale zdarzają się przecież medyczne cuda.

– Cuda... – parskam.

– Musimy je jakoś nazywać. Poza tym zawsze warto w nie wierzyć, prawda?

– I mówi to lekarz?

Doktor cicho wzdycha. Robi krok w stronę drzwi, ale nagle się zatrzymuje i zerka na mnie przez ramię. Chyba nie zamierza przyjąć żadnej zapłaty. Mimo zimnego, profesjonalnego tonu w jego spojrzeniu dostrzegam współczucie.

– Jestem lekarzem, ale również człowiekiem wierzącym – oznajmia, naciskając klamkę. – Widziałem zbyt wiele, aby szafować kategorycznymi osądami.

Uśmiecham się ironicznie i wkładam dlonie do kieszeni. Mam ochotę zdzielić go po twarzy, lecz wiem, że ma przecież trochę racji. Jest taki sam jak wszyscy lekarze, których spotkałem w życiu.

– Warto dawać nadzieję... – szepczę. – Proszę wyjść. Natychmiast...

Mosser potulnie przekracza próg. W momencie gdy chcę zamknąć za nim drzwi, słyszę odgłos czyichś kroków na schodach. W całej kamienicy wynajęte są jedynie dwa mieszkania, dlatego z zainteresowaniem spoglądam w głąb korytarza. Nagle zza załomu muru wylania się znany mi młodzieniec. Kilkukrotnie spotykaliśmy się w trakcie lokalnych odczytów i choć trzymam się na uboczu, dokładnie wie, kim jestem.

– Towarzyszu Lenin... – dyszy, wymachując jakąś kartką. – Towarzyszu...

Wręcza mi złożony na pół fragment rosyjskiej gazety. Od razu na podstawie jakości druku widzę, że to jedno z nielegalnych wydawnictw broszurowych. Rozginam kartkę i zaczynam czytać. Mimowolnie klnę.

Nie zwracam uwagi na trzaśnięcie drzwi wejściowych do kamienicy. Doktor Mosser oraz jego diagnoza są już przeszłością.

Wielki księżę Włodzimierz Aleksandrowicz nakazał strzelać do tłumu pokojowych demonstrantów w Petersburgu. Naprzeciw dwustutysięcznej masy ludzkiej stanęło kilkanaście tysięcy żołdactwa. Cóż z tego, że zebrani nieśli ikony oraz portrety z podobiznami rodziny carskiej? Co z tego, że śpiewali pieśni narodowe i deklarowali wierność domu panującemu? Padł rozkaz i został on wykonany. Jednak strzały jedynie rozspiekły tłum. Wybuchły regularne starcia na Wyspie Petersburskiej, na Newskim Prospektie, na Wyspie Wasilewskiej i w wielu innych miejscach. Domagano się reform, odnowienia potęgi Rosji upokarzanej w wojnie z Japonią. Nikt nie wznosił hasła rewolucyjnych, a jednak czułem, że w tej tłuszczy rodzi się duch rewolucji. Czytając, mimowolnie się uśmiechałem. Kilkaset ofiar to nic w porównaniu z tym, co może przynieść przyszłość. To ledwie mały stos ofiarny na ołtarzu zmian i wypełnienia proroczej wizji Marksa.

– Doskonale... – szepczę, oddając gazetę młodzieńcowi. – Dziękuję wam, towarzyszu.

Odwracam się na pięcie i wracam do gabinetu. Nie pamiętam o leżącej obok żonie ani o tym, że nigdy nie będziemy mieć dzieci. O ile nie stanie się cud. Cud natomiast wydarzył się w Petersburgu.

62.

– Rozumiesz, udało się nam!

Z plikiem papierów w dłoni siadam na łóżku obok Nadii. Potrząsam notatkami niczym relikwiami. To owoc mojej całonocnej pracy. A może pracowałem dłużej? Dwie doby? Trzy? Czuję, że jestem wyczerpany, lecz jednocześnie pobudza mnie niesamowita energia.

– Kochanie... Wiesz, co powiedział doktor?

Lekceważąco macham dłonią. Zdaje się, że już rozmawialiśmy na ten temat, ale wspomnienie wylania się jak zza mgły. To nie ma znaczenia.

– Przyszłość nie musi tkwić w dzieciach – odpowiadam euforycznie. – Może jesteśmy stworzeni do czegoś ważniejszego? Tak, tak, na pewno...

– Wołodia!

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? Rosja wrze, musimy działać. Musimy...

Padam na kolana i sięgam po dłoń Nadii. Choć mi się wyrzywa, zaczynam ją całować. Kątem oka zerkam na notatki i czuję jeszcze większy dreszcz. Zrywam się na równe nogi. Rozpalonym spojrzeniem wiodę po skromnie urządzonej sypialni, po twarzy mojej żony, wreszcie spoglądam za okno.

– To już wieczór... Zdawało mi się, że dopiero ranek.

– Uspokój się wreszcie!

– Nie teraz. Nie mogę, przepraszam.

Zabieram notatki i szybkim krokiem wychodzę z sypialni. Kieruję się prosto do gabinetu. Ręce mi drżą z podniecenia, ale czuję ogromne pokłady sił.

„Krwawa niedziela”. To doskonale określenie, które musi przejść do historii. Początek nowej epoki i wstęp do rewolucji. Wreszcie iskra przeskoczyła na proch. Wreszcie lud nabrał wiary we własne siły i przejrzał na oczy. Nie można iść drogą żadnych ustępstw.

Chwytam płaszcz i zataczając się jak pijany, wybiegam na ulicę. Pędzę ku czytelnik, gdzie przebywają członkowie redakcji „Iskry” oraz inni rosyjscy emigranci. Muszą mnie wysłuchać. Pochylam się, osłaniając ścisłane w dłoni kartki, i porządkuję pędzące coraz szybciej myśli.

Tak daleko... Czy nie jestem zbyt daleko, by działać?

– Nie, nie... – bełkoczę.

63.

– Koniec jest blisko. Teraz nie możemy się spierać.

– Pokażcie te artykuły, towarzyszu Leninie.

– To odezwa oraz manifest programowy dopasowany do sytuacji wynikłej w związku z „krwawą niedzielą”.

Poleszkin poprawia okulary i marszczy czoło. Zaczyna czytać, najpierw cicho mamrocząc pod nosem, potem na głos, tak by go wszyscy słyszeli. W czytelni instytutu jest kilkanaście osób, w większości związanych ze środowiskiem „Iskry”. Poza nimi dostrzegam dwóch wyfiocykowanych mężczyzn ubranych na modłę sprzed trzech dekad. To pewnie jacyś artyści.

– Rewolucja nie może zostać powstrzymana układami. – Poleszkin zerka na mnie spoode łba, lecz czyta dalej: – Nie może zostać spowolniona prowadzeniem rokowań oraz choćby pozorem kompromisu z burżuazją. W oparciu o warstwy chłopskie i proletariackie należy bezwzględnie dążyć do obalenia caratu jako środka ucisku w jakiegokolwiek formie, by ten środek nie został ukształtowany. Zmiany konstytucyjne, jak to widzimy na Zachodzie, stanowią jedynie okres przejściowy...

– Czy pańscy ludzie się pod tym podpisują? – dopytuje jeden z redaktorów. – To radykalne.

– Bolszewicy całkowicie się ze mną zgadzają – syczę. – Dla rewolucji nie ma innych środków poza tymi radykalnymi.

– Jednak postulowano rozmowy ze środowiskami...

Przerywam temu pyszałkowatemu tłuściochowi.

– Rozmowy nie mają sensu. Rozumiecie? – zwracam się do wszystkich zebranych. – Rewolucja rozpoczęła się w styczniową niedzielę w Petersburgu. Czy tego chcecie, czy nie. Teraz możemy się podjąć przewodzenia jej sprawie albo zamilknąć.

Rzucam na ziemię chusteczkę, którą otarłem twarz. Zapominam o maskowaniu drżenia dłoni. Nie wstydzę się tego ani żadnej z kipiących we mnie emocji. Nagle spostrzegam, że w rogu sali siedzi towarzysz Trocki. Kiwa głową, dając mi do zrozumienia, że całkowicie się ze mną zgadza. Kilka innych osób wychwytuje nasze porozumiewawcze spojrzenia i również zaczyna z uznaniem przytakiwać.

– Musimy wzniecić ogień, który wypali wszystko do cna! – oznajmiam, uniesiony tymi wyrazami poparcia. Spoglądam w oczy Poleszkin, który wydaje się mieć odmienne zdanie. Zrezygnowany wydyma zarumienione policzki i wzdycha. – Mogą nazywać mnie Robespierrem – ciągnę coraz głośniejsze. – Mogą dostrzegać w tym pochwałę lub odrazę, ale rewolucja już nigdy nie zostanie zatrzymana. Rozpętamy terror! Rozpętamy powstanie, w trakcie którego w pień wyrzniemy wrogów!

– To szaleństwo – cedzi Poleszkin, lecz nikt go nie słucha. – To obłęd...

– Obalimy cara i wymażemy go z historii. Zdobędziemy ulice Petersburga, Moskwy i Kazania. A potem oczyścimy ziemię z klasowej zarazy! Bez względu na cenę, jaką przyjdzie nam zapłacić.

Trocki zaczyna bić mi brawo. Dołączają do niego niemal wszyscy w instytucie oraz kilka osób, które przysłuchują się zza otwartych drzwi. Uśmiecham się tryumfalnie¹⁸.

64.

Gieorgij Gapon nie przypomina mężczyzny, którego zapamiętałem ze zdjęć dokumentujących wydarzenia „krwawej niedzieli”. Wówczas nosił się jak prawosławny duchowny, miał długie włosy i zawieszony na szyi krucyfiks. Teraz siedzi przede mną elegancko ubrany dżentelmen, z ułożoną fryzurą i równo przyciętym zarostem. W jego ruchach jest pewne zdenerwowanie, a spojrzenie co jakiś czas wędruje ku drzwiom. Popija poncz, mlaszcząc, jakby w ten sposób mógł wykryć ewentualną truciznę. Boi się i nie jest w stanie tego ukryć.

– Jestem ogromnie szczęśliwy, żeście przyjechali najpierw do mnie – stwierdzam po kilkuminutowej wymianie zdań na błahe tematy. Prócz naszej dwójki w pomieszczeniu jest Nadia, lecz nie odzywa się, jedynie przysłuchując rozmowie. – Znaleźliście już mieszkanie?

– Tak. – Gapon odciąga kołnierzyk od szyi i odchrząkuje. – Patrzycie na mój strój, towarzyszu? Na tamtym placu, po pierwszej salwie wystrzelonej przez żołnierzy, przestałem wierzyć w Boga i cara... Gdy półprzytomnego wleczono mnie do domu Maksyma Gorkiego, zaklinałem się, że choćbym miał umrzeć, nie chcę namaszczenia. W zetknięciu ze śmiercią ludzie stają się zazwyczaj religijni, a ja doświadczyłem czegoś zupełnie innego.

– To ciekawe! Opowiedzcie mi o tym. Relacje znam jedynie z gazet...

– A cóż opowiadać? – Gapon skromnie wrusza ramionami, choć wszyscy wiedzą, że to on był jednym z głównych organizatorów manifestacji, a przez to niemal rewolucji. – Sądziłem, że wojsko nie może zatrzymać Boga. – Uśmiecha się drwiąco. – Gdy przed Wrotami Newskimi oddziały zastąpiły nam drogę, nakazałem śpiewać tak głośno, by zagłuszyć salwy karabinów.

– I te zostały oddane?

– Trzy. Wokół mnie zginęli niemal wszyscy.

– A wy?

– Zostałem ranny. Gdy się ocknąłem, podyktowałem odezwę, którą pewnie pan... wy, towarzyszu, czytaliście.

Kiwam głową. Szczęśliwie przedruk tego miałego manifestu wpadł mi przed kilkoma dniami w ręce. Gapon urasta do rangi bohatera i tylko dlatego jest mi potrzebny. Poza tym widzę, że nie ma żadnego pojęcia o polityce. Swoją odwagą wsparł ideę, o której nic nie wie.

– Relacja z naszego spotkania również trafi do gazet – stwierdzam, wyczekując jego reakcji.

– To dobrze.

– Nie skomentujecie tego inaczej?

Gapon dopija poncz i z brząkiem odstawia szklankę na stół. Zerka najpierw na mnie, potem na Nadie. Zniża głos.

– Jestem zwykłym byłym duchownym. Obawiam się, że ludzie myślą, że zdradziłem jedyny ideał, w który wierzyłem przez całe życie.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Ten poczciwy, zagubiony człowiek całkowicie nie jest świadomy swojego znaczenia. U mojego boku może przyczynić się do rozwoju rewolucji daleko poza granicami Rosji. Należy jedynie nim odpowiednio pokierować.

– Czytaliście pisma Marksa? – pytam, ponownie poważniejąc.

– Nie. Choć wiem, czego dotyczą.

– A jednak zdecydowaliście się iść na przodzie pochodu robotników bezwzględnie wierzących w hasła ruchu proletariackiego?

Gapon kręci głową.

– Nie, nie... – zaprzecza stanowczo. – Robotników było tylko trochę. Zresztą oni też nie rozumieją tego całego marksizmu.

– Tak myślicie?

– Rozmawiałem z wieloma osobami i...

Podnoszę się od stołu i klepię Gajona po ramieniu.

– Spotkajmy się za parę dni, gdy się tu zadowicie. Pożyczę wam kilka książek – proponuję. – Tymczasem nigdy, ale to nigdy, nie ufajcie pochlebstwom i wiele się ucicie.

Wówczas rewolucja zwycięży¹⁹.

65.

GENEWA, LISTOPAD 1905 R.

– Powinniśmy wrócić do Rosji. Nie można kierować rewolucją na odległość.

To zdanie wypowiedziane przez jednego z redaktorów „Iskry” wzbudza powszechną aprobatę. Mimo to nie jestem przekonany. Po kilkugodzinnej dyskusji nadal uważam, że powrót jest zbyt niebezpieczny. Nie możemy dać się aresztować.

– Rewolucja bez głów umiera – kwituję.

– Nie można obciąć ich wszystkich.

– Boicie się? – pyta bardzo ostrożny dotychczas Poleszkin.

Mierzę go gniewnym spojrzeniem. Jak śmie zarzucać mi strach? Robię ku niemu kilka kroków, lecz ktoś mnie powstrzymuje. Nawet nie zwracam uwagi kto. Wściekły odwracam się na pięcie i klnąc, opuszczam budynek instytutu. Po raz kolejny mam dość tych ludzi. Wiem, że część z nich podążyłaby za mną w ogień, ale przecież nie tędy droga.

Po chwili na ulicy dogania mnie Nadia. Wsuwa rękę pod moje ramię i w milczeniu przemierzamy kilkaset metrów. Powoli się uspokajam.

– Co o tym myślisz? – pytam ze wzrokiem wbitym w chodnik.

– Sam wiesz.

Jej słowa mnie irytują.

– Wiem co? – pytam ostro.

– Że tylko w Rosji można przyczynić się do prawdziwego zwycięstwa sprawy. A tu? Ile jeszcze pism oraz odezw chcesz stworzyć?

– Ludzie je czytają.

Ścisła mnie jeszcze mocniej i zwalnia krok. Przepuszczamy dorożkę, po czym przechodzimy na drugą stronę ulicy. Jest środek szwajcarskiej łagodnej jesieni. Drzewa pokrywają złote liście, od jeziora wieje chłodny wiatr, a mimo to w zaułkach między kamienicami jest całkiem ciepło.

– Wiele milionów protestuje we wszystkich guberniach – mówi Nadia. – Nie da się aresztować każdego. Zgadzam się z Poleszkinem.

– Wystarczy, że aresztują przywódców.

– Naprawdę to jedyny argument?

Obrzucam ją rozgniewanym spojrzeniem. W jej oczach dostrzegam zawód i smutek. Wywijam się z jej objęcia, po czym spokojnie unoszę dłoń. O powrocie myślę każdego dnia. Nie daję mi spokoju to, że jestem tysiące kilometrów od najważniejszych wydarzeń. A jednak dręczy mnie poczucie, że jeszcze nie nadszedł właściwy czas.

– Moje pisma mają moc, bez względu na to, gdzie sam przebywam. – Próbuję się bronić.

– Co mógłbym więcej zrobić?

– Pokazać się. Poza tym nasi przyjaciele obiecują, że nikt cię nie wyda. Zanim władze dowiedziałyby się, że wróciłeś do Rosji, car mógłby zostać zdetronizowany.

– Wierzysz w to?

– Oczywiście.

Zdecydowanie oraz odwaga Nadieжды w jakiś sposób mnie zawstydzają. Jednak w rewolucji nie chodzi o rzucenie swojego życia na stracenie. To proces, który powinien trwać i się rozwijać. Podczas naszej emigracji zrobiliśmy więcej, niż osiągnęlibyśmy, stojąc na barykadzie w Petersburgu. Chcę te myśli ubrać w słowa, jednak nagle dobiega mnie głos ulicznego krzykacza:

– Manifest cara! Swobody obywatelskie oraz wolność wyznaniowa w Rosji! Amnestia dla więźniów politycznych!

Wymieniamy z Nadią porozumiewawcze spojrzenia. Podchodzę do chłopca sprzedającego gazety i wręczam mu monetę. Nie czekam na resztę. Natychmiast odchodzę i zaczynam czytać.

– Rzeczywiście został wydany manifest... – szepczę.

To znak? Moje serce bije mocniej i wpadam w pobudzenie. Ponownie przed oczami staję mi Sasza. Zaciskam pięści i nagle przystaję.

– Dobrze – decyduję, choć nie jestem do końca przekonany. Nigdy jednak nie wycofałem się ze swoich słów. – Przygotuj naszą podróż. Wracamy.

Nie mówiąc nic więcej, wbiegam po schodach i zanurzam się w spokojnej ciszy naszego geneńskiego mieszkania. Może po raz ostatni.

66.

SANKT PETERSBURG, GRUDZIEŃ 1905 R.

Przez blisko cztery tygodnie nie miałem czasu, by napisać choć słowo. Podróż przez Danię, a później Skandynawię pochłonęła znaczną część naszych oszczędności. Nie mogę przestać się tym zamartwiać. Nadia z dnia na dzień zrezygnowała ze wszystkich szwajcarskich wygód oraz źródeł dochodu. Znow zdał się na moją matkę. Na szczęście ta wyjątkowa kobieta, choć może mnie nie rozumieć, zawsze jest mi bezgranicznie oddana. Zdaje się, że w końcu pogodziła się z tym, jaką drogę życia obrałem.

„Ochrona²⁰ już mi nie zagraża, mamó”.

Czytam te słowa skreślone pośpiesznie na świstku papieru i nie wiem, czy powinienem je wysłać. Nasi przyjaciele nie tylko zapewnili nam wiele miejsc zamieszkania, które

zmieniamy co kilka dni, ale również służą za kurierów i pośredników. Plan zakłada, by lud dowiedział się, że Lenin znów przebywa w Petersburgu. Potem ustali się dalsze założenia.

Zastanawiam się, czy nie nadszedł już czas zorganizowania tajnego wiecu lub odczytu, lecz wszyscy przekonują mnie, że jest na to zbyt wcześnie. Mimo wątpliwości związanych z powrotem, skoro trafiłem do Rosji, powróciła we mnie chęć działania. Bez względu na ryzyko. Tak jakby duch Saszy był niezmiennie związany z tą ziemią, po której się włóczy.

Zazwyczaj listy piszę od razu na czysto, lecz tym razem musi być inaczej. Przekreśliam ostatnie zdanie i zastanawiam się, jak je zastąpić.

„Ochrona wciąż jest na moim tropie”.

To brzmi znacznie lepiej i może nakłonić matkę do przekazania mi jednorazowo większych kwot. Powinna zrozumieć, że nie możemy kontaktować się zbyt regularnie, bo przez to zwiększa się ryzyko mojego wykrycia. O tak. Nie mogę jej uspokajać, gdy nie istnieją ku temu żadne konkretne powody. Matka zrozumie.

Gdy szczęka zamek do mieszkania, czujnie podrywam się od biurka. Mój rewolwer leży na szafce, choć nie jest naładowany. Mimo to już po chwili się uspokajam. Pada znajome mi hasło „Jakobin” i do pokoju wchodzi wysoki, błydy mężczyzna, którego znam jedynie po pseudonimie. Od dwóch dni pośredniczy pomiędzy mną a ukrywającymi się w mieście oraz okolicach członkami zarządu partii. Prosiłem, by zwrócił się w moim imieniu o wygospodarowanie jakichkolwiek funduszy na moją rzecz. Zamierzałem je przeznaczyć nie tylko na bieżące utrzymanie, ale również na druk ulotek z moją ostatnią odezwą.

Jakobin spogląda na mnie ponuro i splata dłonie. Opuszcza głowę, przez co wygląda jak karykaturalny, wychudzony byk szykujący się do natarcia.

– Macie list?

Kręci głową.

– Proszono mnie o przekazanie ustnego stanowiska. Aby nie pozostał po nim żaden ślad.

– Zarząd mi nie ufa?

– Kontaktuje się w ten sposób od wiosny. Również po to, by nie narażać kurierów.

Wzdycham i ze zrozumieniem kiwam głową.

– To jasne – przyznaję. – Mówcie więc.

Jakobin przestaje z nogi na nogę i odchrząkuje, jakby chciał splunąć.

– Nie mamy żadnych rezerw finansowych – oznajmia ponuro. – Towarzysze kazali mi przekazać, że majątek partii objęty jest zastawami. Jego istotną część zarekwirowano. Nie ma maszyn drukarskich, pras, matryc ani wzorników...

– Niech to diabli.

– Fundusz utworzony z wpłat oraz datków został całkowicie rozdysponowany. Zastawiono nawet księgozbiór.

Powaga, z jaką Jakobin wypowiada ostatnie zdanie, wprawia mnie w niespodziewane rozbawienie. Nie mogę się powstrzymać przed głośnym śmiechem. Widząc jego zdumienie, przepaszając macham ręką. Podchodzę do niego i porozumiewawczo chwytam go za przedramię. Spoglądam mu prosto w oczy, a uśmiech momentalnie znika z mojej twarzy.

– Będziecie musieli przekazać kolejną wiadomość – szepczę. – Wiem, jak odbudować fundusze partii, ale potrzebuję do tego najbardziej zaufanych ludzi. Takich, którzy zgodzą się pójść choćby na śmierć.

– Zamierzacie poprowadzić ich na pałac? – Jakobin stara się rozluźnić i puszcza mi oko.

„Nie będę ich

[15](#) Najprawdopodobniej pseudonim Lenina wywodzi się od rzeki Leny. Mógł przybrać go na przekór wielu działaczom, w tym między innymi Plechanowowi oraz Glince używającym pseudonimu Wołgin. Ponoć Ułjanowa zauroczyły opisy Leny przeczytane w jednej z książek studiowanych na Syberii.

[16](#) Właśc. Lew Dawidowicz Bronstein.

[17](#) Ros. *bolszynstwo* – większość. Po tym spotkaniu nastąpiło rozbitcie na dwie frakcje. Zwolennicy Lenina nazwali się bolszewikami, a swoich przeciwników pogardliwie określili mienszewikami.

[18](#) Przemówienie Lenina wzbudziło liczne kontrowersje. Zastanawiano się przede wszystkim, czy koncepcja siania terroru zgadza się z ideą rewolucji marksistowskiej.

[19](#) O zakończeniu przez Lenina rozmowy dokładnie tymi słowami wspomina w pamiętnikach Nadieżda Krupska.

[20](#) Carska służba bezpieczeństwa.

67.

SANKT PETERSBURG, STYCZEŃ 1906 R.

Stoję w ciemnej, cuchnącej bramie kamienicy. Jedno skrzydło wrót jest uchylone tak, że mogę obserwować to, co się dzieje po drugiej stronie ulicy. Jest szósta wieczorem i o tej porze ruch w okolicy powoli zamiera. Pojedynczy przechodnie przemykają trotuarami, a w oknach kamienic palą się światła. Strudzeni całym dniem ludzie siadają do kolacji.

To zamożna dzielnica i w większości rezydują tu ministerialni urzędnicy średniego szczebla. Z pewnością stać ich na niezłe wino oraz suty posiłek. Część z nich zapewne pali wieczorami fajki lub cygara. Ubierają się na zachodnią modłę, choć tak naprawdę nie mają o Zachodzie żadnego pojęcia. Niczym cała burżuazja żyją wyobrażeniami i marzeniami. Ułudą.

Zerkam na srebrny zegarek kieszonkowy i nerwowo odchrząkuję. Jest późno. Spoglądam na moich dwóch towarzyszy, którzy obstawiają wejście do bramy.

– Już minuta po czasie – szepczę. – Coś musiało pójść nie tak.

– Spokojnie... Opóźnienia się zdarzają.

– A nie powinny.

Niższy z mężczyzn spogląda na mnie z przyganą. To doświadczony rabuś, który sporo się wycierpiał w kazamatach całego imperium. Ma około pięćdziesięciu lat, pomarszczoną twarz i rzadkie, siwe włosy. Mimo lodowatej pogody nie nosi żadnego nakrycia głowy. Dla rozgrzania jedynie co rusz zaciera ręce. Jego współnik jest sporo młodszy i bardzo cichy. Odkąd się spotkaliśmy, nie odezwał się nawet słowem. Pilnie obserwuje okolice, co jakiś czas sięgając pod gruby płaszcz, jakby się upewniał, że wciąż tkwi tam jego stary rewolwer.

– Dwie minuty... – syczę. – Cholera. Powinniśmy iść.

– Zaczekajmy.

– Nie. Kończymy akcję.

Robię krok w stronę ulicy, ale gdzieś z bocznej uliczki wyjeżdża dorożka. Po chwili dostrzegam dwa zmęczone konie ciągnące wóz z oznaczeniami urzędu pocztowego. Poza nim na ulicy nie ma teraz nikogo. Odliczam do trzech i wsuwam dłoń do kieszeni. Pochyliłam głowę, by nierozpoznany przez nikogo przypadkowego przebiec na drugą stronę ulicy.

– Skontaktujemy się... – rzucam ku moim towarzyszom.

W tym samym momencie drzwi banku z impetem uderzają o ścianę i ze środka wypada dwóch mężczyzn. Z głębi budynku dobiegają krzyki.

– Szybciej, szybciej! – Mój doświadczony kompan natychmiast przeciągle gwizdze i zza rogu wypada parszający koń ciągnący sanie. Woźnica pogania go, strzelając z bata. – Szybciej!

Wszystko rozgrywa się błyskawicznie. Wybiegający z banku mężczyźni kierują się ku zaprzęgowi, sanie suną po śniegu, wzbijając białe obłoczki, ktoś rozbija jedną z pobliskich lamp gazowych... I wtedy pada strzał.

Po nim następują kolejne.

68.

– Wsiadajcie, towarzyszu!

Miałem nie być w to zamieszany. Miałem trzymać się na uboczu i obserwować. Jednak jak spod ziemi na ulicy pojawili się żandarmi. Nie było wątpliwości, że aresztują i przesłuchają każdego świadka.

Biegną w naszą stronę. Padają kolejne strzały. Jeden z towarzyszących mi opryszków odpowiada im ogniem z rewolweru, tak że żandarmi muszą wycofać się za róg ulicy. Wtedy dostrzegam, że jeden z mężczyzn, którzy brali udział w napadzie, porusza się zygzakiem. Dopada do sań i wtedy wali się na ulicę. Śnieg za nim znaczy ciemna strużka krwi, mającej w rozproszonym świetle czarny kolor.

– Wsiadajcie!

Ktoś popycha mnie w stronę zaprzęgu. Ktoś inny chwytą rannego pod ramiona i ciągnie go w naszą stronę. Padają kolejne strzały. W drobny mak rozpada się jedna z witryn pobliskiego sklepu. Żandarmi gwizdkami nawołują swoich towarzyszy, aby ruszyli im na pomoc.

– Jazda!

Woźnica ze świstem przecina batem powietrze. Popędza konie, a do sań wskakuje ostatni z mężczyzn. Siada przy mnie i pochyła swoją głowę ku drewnianej podłodze.

– Schylcie się, do licha. Zaraz was zastrzelą!

Posłusznie się pochylam i wstrzymuję powietrze. Krew napływa mi do mózgu, a świat zdaje się wirować. Czuję narastające mdłości. Zdaje mi się, że zewsząd dobiega stukot podkutych butów żandarmów. Mówiłem, żeby napad zorganizować poza Sankt Petersburgiem, a już na pewno jak najdalej od centrum. Miałem rację. Jednak ci szaleńcy naciskali, że najważniejsze jest, by placówka była otwarta co najmniej do szóstej.

– Uwaga!

Pada strzał i słyszę, jak kula z pustym plaśnięciem uderza w bok wozu. Na kapelusz lecą mi drzazgi. Konie gnają coraz szybciej, parskając i rżąc. Woźnica raz za razem siecze je batem, zmuszając do galopu. Sanie pędzą tak szybko, że na zakręcie niemal wypadamy na ulicę. Na szczęście ktoś chwytą mnie za ramię i przytrzymuje żelaznym chwytem.

Przemierzamy kolejną ulicę, a wokół nas jakby zapadała ciemność. Najwyraźniej trasa ucieczki została starannie zaplanowana i prowadzi gorszymi zaułkami. Odgłosy pościgu oddalają się, aż wreszcie całkowicie milkną. Otula nas jedynie szum płóz po zbrylonym śniegu oraz nerwowe odgłosy wydawane przez konie.

– Udało się! – Ktoś klepie mnie po plecach i głośno się śmieje. – Udało się!

– Co z rannym? – dopytuję. – Co z nim?

– Nie żyje, ale to nic... To czasem się zdarza.

Słyszę dźwięk wypchniętego z sań ciała, które pada na ulicę. Tymczasem my jedziemy dalej.

69.

Obmywam się z krwi. Mam ją na twarzy i ubraniu. Lodowata woda w okrągłej balii mętnieje. Pływają w niej czerwone smugi niczym meduzy lub ukwiały. Wciąż mam wrażenie, jakby wszystko rozgrywało się gdzieś poza mną. Jakby życie przepływało mi

między palcami, pędziło dalej i nie miało ze mną żadnego związku. Z drugiego pomieszczenia słyszę krzyki oraz ciche, radosne śpiewy. Nikt nie waży się nucić zbyt głośno, ale wiem, że panuje tam radosny nastrój. Tymczasem jestem pusty jak skorupa pękniętego garnka.

Czuję zapach krwi. Słodki, mdły aromat osiada mi w nozdrzach i gardle. Przyprawia mnie o mdłości. Oddycham głęboko i szybko, byle tylko nie wymiotować. Przełykam ohydny posmak. Odchrząkuję i sopluję do balii.

Delikatnie sprawdzam, czy nie zostałem ranny, jakbym wciąż w to nie wierzył. Moi towarzysze są przekonani, że kula strzaskała mi ramię, lecz powiedziałem, że sam się tym zajmę. Z pewnością nie utkwiała w moim ciele.

Obmywam się, jakbym dokonywał rytualnej ablucji. Właśnie w ten sposób musieli się oczyszczać żydowscy przodkowie mojej matki. Powoli dotyk przywraca mi świadomość ciała. Napięte mięśnie palą jak szarpane obcęgi, ale mam już pewność, że krew nie pochodzi z mojej rany. Jestem nietknięty.

To dobrze. To całkiem dobrze.

Choć wszyscy bohaterowie potrzebują stygmatów.

Pośpiesznie owiążuję ramię płóciennym bandażem, który miejscowo nakrapiam brudną wodą. Zaciskam węzeł i w samych spodniach przechodzę do drugiego pokoju. Natychmiast skupiam na sobie spojrzenia wszystkich zebranych. Przed nimi na środku leży worek pełen gotówki oraz kosztowności. Kilka złotych dewizek oraz sygnetów jest rzuconych na niski stół.

– Towarzyszu... – Jeden z młodzieńców podnosi się z klęczek i rusza w moją stronę.

Uśmiecham się blade.

– To tylko draśnięcie – mówię. – Miałem szczęście.

Jedynie ten stary, pomarszczony opryszek przygląda mi się dziwnie podejrzliwie. Przyjdzie jeszcze czas się z nim porachować. Nie mogę o tym zapomnieć.

70.

TAMPERE (FINLANDIA), MARZEC 1906 R.

Przechadzam się wśród kilkuset działaczy i wymieniam uściski rąk oraz pozdrowienia. Rozpoznają mnie tu wszyscy. Odkąd przedrukowano moje fotografie w kilku konspiracyjnych gazetach, stałem się rozpoznawalny niczym osoby z portretów obnoszonych w trakcie procesji.

Kongres przyciągnął tłumy. Koncepcja zorganizowania go z dala od Petersburga, na terenie Finlandii, okazała się strzałem w dziesiątkę. Poza rodzimymi delegatami przybyli działacze marksistowskie z kilku państw Europy. Nie mają prawa głosu w sprawach naszych struktur, lecz udzielają się w trakcie dyskusji. Zdaje się, że moja przemowa wzbudziła u nich entuzjazm jeszcze większy niż wśród rosyjskich przedstawicieli partii. Wiem, że moje sposoby działania budzą niezadowolenie niektórych frakcji, szczególnie wśród mienszewików, jednak teraz jestem pewien, że nie możemy obrać innej drogi. Wszystko było słuszne. Wreszcie fundusze partii odbiły się od dna, a gazety wznowiły działalność.

– Towarzysz Lenin miał wiele racji, ale nie powiedział jednego.

Odwracam się i spoglądam na postawnego mężczyznę na niewielkim podwyższeniu. Jest z pewnością przystojny, nosi ciemny zarost i zaczesane do tyłu włosy. Na szyi ma

owiązaną pstrokatą chustę, która dodaje jego postaci charakteru. Nasze spojrzenia się spotykają. Marszczę czoło i mrużę oczy, zastanawiając się, do czego zmierza ten człówek.

– Nie powiedział o tym, że w tym momencie najważniejsza jest ogólna jedność – ciągnie. – Brak jakichkolwiek podziałów, brak otwartych konfrontacji oraz sporów. Nie potrzebujemy nawet dyskusji. Czas na uzgadnianie stanowiska w spornych kwestiach przyjdzie wraz ze zwycięstwem. Teraz musimy utworzyć wspólny front, który zniesie stary porządek.

Mówca pochyla się i delikatnie uśmiecha. Wiedzie wzrokiem po sali, lecz wreszcie jego spojrzenie ponownie spoczywa na mnie. Ma w sobie jakąś dzikość oraz magnetyzm. Mimo że pozornie podważa moje stanowisko, nie czuję do niego niechęci. Jest w nim swada, lecz również młodzieńcza szczerłość.

– Towarzyszu Leninie, stańcie obok mnie – mówi, ale jego głos rozbrzmiewa, jakby krzyczał. – Proszę was.

Przez chwilę się waham, wreszcie ruszam w jego stronę. Kim on, u licha, jest? Błyskawicznie przypominam sobie wszelkie twarze ze zdjęć przedrukowywanych w prasie, ale ta nic mi nie mówi. Ile on w ogóle może mieć lat? Dwadzieścia kilka?

– Wszyscy razem. – Mężczyzna wyciąga ku mnie dłoń, ale się zatrzymuje. Niezrażony ciągnie dalej: – Z północy i południa, ze wschodu oraz zachodu. Zjednoczeni pod naszym czerwonym, rewolucyjnym sztandarem.

Tuż obok mnie pojawia się Plechanow. Ukradkiem kiwam do niego głową i zachęcam, by podszedł jeszcze bliżej.

– Kto to jest? – szepczę. – Znacie go?

– Tak, przewija się już od pewnego czasu...

– Skąd przyjechał?

– To Gruzin. Josif Dżugaszwili, o ile dobrze pamiętam.

71.

SZTOKHOLM, KWIECIEŃ 1906 R.

– Musimy rabować banki, musimy wprowadzać strach, terror i chaos!

Spoglądam po kolejnych skupionych twarzach. Nie są to proste gęby robotników, które przeważały dotychczas. Wśród przybyłych na IV Zjazd Partii znajdują się przedstawiciele rozmaitych klas, w tym wielu czołowych marksistowskich teoretyków.

– Musimy zabrać burżuazji fundusze, które przez zdradę ideałów zostały kiedyś odebrane ludowi pracy. To właśnie jest redystrybucja dóbr, to jest sprawiedliwość!

Rozlegają się gwizdy i okrzyki aprobaty, ale nie są tak powszechne, jak się spodziewałem. W ciągu ostatnich tygodni bojownicze nastroje wyraźnie opadły. Świat znów stał się zbyt wygodny, by wybrać się na niekończącą się wojnę.

– Nie spoczne, dopóki nie zatknijemy sztandaru rewolucji na Kremlu. – Wymownie biję się w tors i po chwili unoszę zaciśniętą pięść. – Nie spoczne, dopóki nasze ideały nie trafią pod wszystkie dachy. Musimy bez wytchnienia roznosić prasę oraz ulotki, musimy niszczyć stary reżim wystrzałami i wybuchami. Nie bójcie się bomb. Nawet jeśli zabiją niektórych z nas, przetrwamy, bo ich jest mniej! To my stanowią większość!

Energicznym krokiem schodzę z mównicy i spoglądam na Dżugaszwilego. Kongres sztokholmski miał na celu zakopanie wszelkich sporów. Partia miała

zaprezentować wspólny front i stanowisko wobec caratu. Nie mogłem jednak poprzestać na frazesach. Mimo to w spojrzeniu tego młodzieńca dostrzegam przyganę.

– Walka? Wybuchy? – mówi, gdy przechodzę obok niego. – Możemy to robić, ale nie poprze tego większość z nich. Po co o tym mówiliście?

Wzruszam ramionami i się uśmiecham.

– Zobaczą, że poprą. To walka scala prawdziwe charaktery, nie ugody.

– Oby... Oby...

Mijam Dżugaszwilego i witam się z grupą znajomych delegatów. Zrezygnowałem z prawa głosu, więc nic tu już po mnie. Na rezultaty wyborów Komitetu Centralnego zamierzam zaczekać na zewnątrz. Przedzieram się przez tłum, potem wąskim korytarzem wypełnionym papierosowym dymem, wreszcie wychodzę na zalaną słońcem ulicę. Spoglądam w niebo i nabieram powietrza. Od pewnego czasu powraca we mnie poczucie przejmującego, paraliżującego zmęczenia. Żałuję, że nie ma przy mnie Nadii. Otula mnie duszna, lepka pustka.

Ulicą z warkotem przejeżdża automobil. W środku siedzi elegancko ubrana para, która prowadzi ożywioną dysputę. Roziskrzona oczy kobiety na moment spotykają się z moim wzrokiem. Jej czerwone wargi się rozchylają, jakby chciała mi coś powiedzieć. Jednak auto pędzi dalej i nasze spojrzenia się rozłączają. W tej samej chwili ktoś popycha metalowe drzwi za moimi plecami. Kątem oka dostrzegam zwalistą sylwetkę Dżugaszwilego, który nerwowo przeczesuje palcami włosy.

– Zakończono obrady – oznajmia gniewnym tonem. – W komitecie będzie trzech waszych ludzi i siedmiu mienszewików. Ponieśliście całkowitą porażkę.

72.

SANKT PETERSBURG, WRZESIEŃ 1907 R.

– Dobre wieści. – Nadia wręcza mi odebrany od posłańca list. Nim zaczynam go czytać, dodaje: – Bolszewicy znów mają przewagę.

Spodziewałem się tego. Amplituda nastrojów ponownie wychyla się ku zdecydowanym działaniom. Po kilku miesiącach marazmu znów dzieje się coś istotnego. Uśmiecham się i chowam list do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Doskonale. Dość już mam tkwienia w miejscu...

– Co planujesz?

Odgarniam stertę papierów i wstaję od niewielkiego stołu. Przez ostatnie tygodnie ukrywaliśmy się w suterenie biednej, czynszowej kamienicy. Są tu zaledwie jeden pokój oraz niewielka kuchnia. Wspólna toaleta znajduje się na zewnątrz.

– Muszę spotkać się z działaczami. Czekam na wydanie manifestu oraz opracowanie nowego, konkretnego programu.

– Tym razem uzgodnij go z innymi.

Spoglądam na Nadię i lekceważąco macham dłonią.

– Dość już uzgodnień. Wystarczy, że moje stanowisko popierają czołowi delegaci.

– Czasem ich zdanie może nie wystarczyć.

– Mniejsza z nimi...

Przechodzę do szafki, na której leżą moje odręczne notatki oraz kilka gazet. Przez ostatni tydzień nie wychodziliśmy z mieszkania, gdyż doniesiono nam, że musimy się

bezwzględnie ukrywać. Ponoć gdzieś opublikowano wizerunek Nadii. Osobiście bym to zignorował, ale...

Ktoś dobija się do drzwi. Czyżby kurier wrócił, przypomniawszy sobie jeszcze o jakiejś korespondencji? Pośpiesznie przechodzę do przedpokoju i słyszę głos Jakobina. Natychmiast odciągam rygiel.

– Wejdźcie!

Jakobin jest blady i ponury. Robi jedynie krok do przedpokoju, lecz wyraźnie się śpieszy.

– Musicie uciekać! – rzuca zdenerwowany. – Zaczęły się aresztowania...

– To nic nowego – stwierdzam obojętnie, opierając się o drzwi.

Jakobin ponuro potrząsa głową.

– Nie tym razem. Aresztowano naszych ludzi. – Słowo „naszych” wymawia ze szczególnym naciskiem. – Nie możemy ręczyć, że nie zdradzą waszej kryjówki.

Spoglądam na Nadię i przygryzam usta. Zaczynają mi drżeć dłonie, ale natychmiast chowam je do kieszeni. Staram się uśmiechnąć.

– W takim razie przeniesiemy się pod miasto. Musi tu być jakieś bezpieczne miejsce.

– Nie rozumiecie, towarzyszu. – Jakobin nigdy nie był tak roztrzęsiony. Jego oczy błyszczą i co chwilę spogląda ku oknu, jakby spodziewał się, że kogoś za nim dostrzeże. – Duma została rozwiązana. Ochrona rozpoczęła czystki i nie spocznie, dopóki nie ujmie wszystkich istotnych członków partii. Jesteście na samym szczycie ich listy.

Cicho klnę i odwracam się w stronę pokoju. Nadia wydaje się zupełnie spokojna. Jakby nigdy nic wyciąga spod łóżka skórzaną walizkę, w której przechowujemy najpotrzebniejsze rzeczy.

– Musicie wyjechać jeszcze dziś. Niestety nie wiem, kto będzie mógł wam pomóc... Jedźcie najlepiej do Szwecji. Tam macie kontakty oraz przyjaciół.

„Do Szwecji?” – zastanawiam się. – „Jak niby mielibyśmy tam dotrzeć, jednocześnie przez całą drogę się ukrywając? Tym bardziej teraz, gdy bolszewicy znów mają większość. Czy po raz kolejny mogą wszystko utracić?”

Niech to diabli.

73.

GDZIEŚ W DRODZE

Jestem potwornie zmęczony. Napięte, obolałe mięśnie nóg przypominają poruszające się pod skórą kamienie. Opuchnięte stopy niemal nie mieszczą się w butach. Co jakiś czas brakuje mi tchu, a przed oczami robi się ciemno. Mimo to uparcie idę dalej.

Przystajemy tylko wtedy, gdy pragnie tego Nadia. Jest uparta, nie narzeka, jednak wie, że nie może przekroczyć pewnej granicy. Kiedy jest bliska omdlenia, melduje o tym i wtedy robimy półgodziny lub godzinny postój. Gdyby opadła całkowicie z sił, mogłaby zniweczyć wszystkie plany. Poza tym musi żyć. Jest mi potrzebna i nie może mnie teraz opuścić.

W ciągu siedmiu dni, zgodnie z moimi obliczeniami, pokonaliśmy prawie trzysta kilometrów. Większość z tego pieszo. Początkowo szliśmy w kilkunastoosobowej grupie umykających z Rosji członków partii, lecz uznaliśmy, że będzie nas zbyt łatwo wyśledzić. Zdecydowałem, że będę poruszał się z Nadią sam. Za około sto kilometrów mamy się spotkać na terenie Finlandii. Potem planujemy dostać się do Szwecji.

Uciekliśmy w ostatniej chwili. Zebraliśmy się tak szybko, że nie zdążyłem nawet powiadomić matki ani zrobić właściwych zapasów. Już za Petersburgiem dowiedzieliśmy się o kolejnych aresztowaniach. Krążą słuchy, że więźniowie polityczni mają być bezwzględnie zsyłani na Syberię, a orzekane kary mają być nie niższe od dekady. Świadomość zagrożenia oraz tego, że na razie nam się udaje uciec, dodaje sił. Trasę, którą obraliśmy, można pokonać tylko pieszo lub konno. Trzymamy się z dala od dróg oraz zabudowań. Raz na dwa dni zachodzimy do wsi, by prosić o wodę oraz pożywienie. Godnie za nie płacimy. Na szczęście pieniądze na razie nam nie brakuje, choć staramy się przypominać wędrownych nędzarzy.

Mimo to od prawie trzech dób głodujemy. Miałem wrażenie, że zostałem rozpoznany przez jednego z chłopów, i zdecydowałem, że nie możemy ryzykować. Podążyliśmy zarośniętym leśnym duktem, nadrabiając kilkanaście kilometrów. Od wczoraj nie spotkaliśmy żywej duszy. Z głodu robi mi się słabo, a zaciśnięty żołądek zdaje się przyklejać do żeber. Czuję, jakbym w brzuchu miał pełną próżni piłkę, która co jakiś czasu uwalnia zółć. Ostatnią porcję chleba oddałem Nadii. Sam udałem, że również się posilam, choć przeżulem jedynie kawałek czerstwego placka.

– Odpocznijmy – decyduję, widząc wąski, czysty strumień.

Nie potrafię znaleźć go na mapie. Najwyraźniej się zgubiliśmy, lecz nie mogę się do tego przyznać. Czuję jeszcze mocniejszy ucisk żołądka. Skoro straciłem orientację w terenie, dokąd zmierzamy? Może prosto w ręce ochrany?

– Połóż się. – Rozkładał podarty, brudny koc i przeglądam go dłonią. – Możemy zrobić dłuższą przerwę.

– Jestem w stanie iść – mówię z naciskiem.

– Jak długo? Lepiej odpocząć teraz i potem maszerować już aż do zmroku.

Ze zmęczenia jest zobojętniała. Jeszcze dwa, trzy dni temu by ze mną polemizowała, ale teraz posłusznie kładzie się na kocu i momentalnie zapada w sen. Przez chwilę patrzę na ostre, mocne rysy jej twarzy, na jej pełne usta oraz pukle włosów, które wymknęły się spod chusty. To dobra kobieta. Z pewnością jest mnie warta.

Odwracam się i powoli podchodzę do brzegu rzeczki. Porastają go szuwały oraz zarośla, ale woda, tak jak sądziłem, jest czysta. Wiem, co mam robić. Zdejmuję buty, po czym równo odkładam je na trawie.

– Powodzenia – szepczę sam do siebie.

Zrywam trzciny i układam je pod prąd, blokując o lodygi wzrastające na brzegach. Prowizorycznie przeplatam o nie szuwały, tworząc konstrukcję przypominającą płot. W dzieciństwie robiłem to wiele razy. Umie to każdy chłopiec, który choć trochę czasu spędził na wsi.

Nie zważając na to, jak zimna jest woda, siadam w niej i zamieram w bezruchu. Pozwalam prądowi masować swoje ciało. Pozwalam zimnu przenikać kości aż do szpiku, delektując się cudownym odprężeniem stóp. Mam półprzymknięte oczy, ale przez cały czas nasłuchuję. Mija minuta, dwie, może pięć. Nachodzi mnie senność i zaczyna ciążyć mi głowa, lecz całą siłą woli staram się utrzymać czujność. Jest mi zimno.

Nagle, gdy dobiega mnie plusk, otwieram oczy. Natychmiast dostrzegam niewielką rybę, która zapędziła się w pułapkę. Ma długość ledwie przekraczającą dwie złożone pięści, ale to już coś. Powoli pochylam się w jej stronę i gwałtownie staram się ją uchwycić. Śliskie stworzenie wymyka się z jednej mojej dłoni, lecz płetwa grzęźnie między palcami drugiej. Wyciągam rybę nad powierzchnię i kiedy jeszcze się rzuca, ciskam ją na brzeg. Stamtąd nie ma ucieczki.

Rozochocony wychodzę ze strumienia i strzepuję wodę z ciała. Sięgam po skrzącą się w słońcu rybę. Wgryzam się w jej miękki brzuch, pozwalając, by tłuszcz zmieszany z krwią spływał mi po brodzie. Tym razem to ja wygrałem.

74.

NADAL W DRODZE

– Nadio...

Nadzieża nie odpowiada. Niczym zjawy maszerujemy przed siebie. Krok po kroku. Metr po metrze. Zdawało mi się, że znowu trafiłem na właściwy szlak i że wiem, gdzie dokładnie jesteście, ale musiałem się pomylić.

– Nadio... – powtarzam, choć chyba jedynie wydaje mi się, że wymawiam jej imię.

Serce łomocze mi w piersi, a nogi drżą ze zmęczenia. Zbliży się wieczór i robi się bardzo chłodno. Idziemy wzdłuż granicy lasu, mając jego zieloną gęstwinę po prawej stronie. Po lewej rozciąga się bezdrzewna pustka. Wiem jedynie, że zmierzamy na północny zachód, czyli tam, dokąd mieliśmy iść. Z dala od Petersburga, z dala od ochrony...

– Nadio... – Chcę powiedzieć po raz trzeci, ale uświadamiam sobie, że moje wargi się nie poruszają.

Straciłem rachubę, jak długo jesteście w drodze. Dwanaście dni? Czternaście? Nie jedliśmy niczego od co najmniej trzech dób. Mamy niemal zupełnie puste manierki. Sądziłem, że dziś natkniemy się na jedną z osad i strumień. Powinniśmy do nich dotrzeć kilka godzin temu.

Może to już Finlandia? Tak by było najlepiej, ale z drugiej strony, jeśli teraz umrzemy, nasze mięso zgnije na ziemi, ni to rosyjskiej, ni obcej. A jakie ma to znaczenie? Nie wiem, czemu te myśli w ogóle przychodzą mi do głowy. I wykrzywiona twarz mojej umierającej siostry, a potem wytrzeszczone oczy Saszy.

Czy to możliwe, by spotkał mnie taki prosty koniec? Pośród nieznanych, obcych pustkowi? Kto się o mnie upomni u Boga? U Boga? W myślach zaczynam się śmiać, lecz chwilę później dopada mnie bezgraniczny smutek.

A matka? Poprosiłem o przekazanie jej krótkiego listu, lecz czy w ogóle do niej dotarł?

To taki prosty koniec.

Zataczam się i tracę równowagę. Padam na kolana, lecz mięśnie nie są w stanie utrzymać mnie na kłęczkach. Walę się twarzą prosto w błoto. Nastaje mrok.

75.

Czuję nagły ból pod pachami. Następnie słyszę czyjś głos, ale mój mózg pracuje zbyt wolno, by przetrwać słowa. Ktoś chwytą mnie pod ramiona i pomaga usiąść. Do moich ust przytknięta zostaje manierka pełna wody zmieszanej z kwaśnym winem. Dławię się nią, odkasłuję i słyszę otaczający mnie śmiech. Radosne poklepywania po plecach przywracają mi świadomość.

– Dzięki wam, dzięki...

Nadia pochyla się nade mną, lecz spogląda na mężczyzn stojących w kręgu wokół nas. Niektórych z nich kojarzę. Czy to możliwe...

– Towarzysze... – szepczę.

– Podążaliśmy za wami – odzywa się jeden z nich. – Zobaczyliśmy jednak, że od pewnego czasu robicie mniejsze postępy i zaczęliście zbaczać z drogi. Dobrze, że towarzyszy Rezanow zdecydował, byśmy was dogonili.

– Gdzie jesteście?

– W Wielkim Księstwie Finlandii²¹. Zbliżamy się do Mikkeli.

Przysmakam oczy, starając się zebrać myśli.

– To niemożliwe... – szepczę. – Kierowałem się bardziej na zachód, ku Tampere.

– Nie mamy żadnych wątpliwości, że od Tampere dzieli nas co najmniej trzydzieści mil²².

– Cholera...

– Jednak w Mikkeli mamy wielu przyjaciół. Pomogą nam.

– Musimy jak najszybciej trafić do Szwecji. Jesteśmy tu nieustannie poszukiwani. Nikt nie ma wątpliwości, że skierowaliśmy się właśnie do Finlandii.

Gryzę się w język, opanowując napad lęku. Zbieram siły, by przy pomocy jednego z mężczyzn powoli się podnieść. Spoglądam na Nadię i staram się uśmiechnąć. Moje usta wygina jednak tylko krzywy grymas.

76.

FINLANDIA, GRUDZIEŃ 1907 R.

Spoglądam w lustro. Po raz ostatni widzę w nim odbicie siebie takiego, jakim byłem przez ostatnie lata. Kilkoma dynamicznymi cięciami nożyczek ścinam bródkę. Pozostały zarost gołą zupełnie na gładko, tak że gdy zmywam pianę, trudno mi siebie poznać. Mam wydatne kości policzkowe, szeroko rozstawione, lekko skośne oczy i rozumiem, co mają na myśli ludzie nazywający mnie „Azjata”. Cóż.

Dobrze zrobiliśmy, rozłączając się z Nadią. Wszystko wskazuje, że razem z podróżującą z nią kompanią już dotarła do Szwecji. Tymczasem mnie czeka znacznie cięższa przeprawa. Na nic zdaje się przebranie i podawanie się przez ostatnie tygodnie za geologa. Ponoć ktoś mnie rozpoznał, ponoć ludzie szepczą...

Przynajmniej trafili się życzliwi towarzysze, gotowi nadal mi pomagać. Kanał przerzutowy jest prosty i oparty na dawnych schematach. W Åbo²³ mam wsiąść na parowiec i popłynąć do Szwecji. Tam już wszyscy na mnie czekają.

Wycieram twarz i pośpiesznie się ubieram. Zakładam znoszony garnitur oraz ciężki, podbity futrem płaszcz. Na głowę wkładam skórzaną czapę. Swoje życie zamknąłem w ciężkiej, ogromnej walizce. Chwytam ją za rączkę i nie oglądając się, opuszczam kryjówkę. Do odjazdu pociągu zostało ledwie piętnaście minut. Być może to moja ostatnia szansa. Czuję zaciskającą się pętlę ochrony i codziennie dowiaduję się o nowych aresztowaniach. W ich trakcie ginie coraz więcej ludzi. To niby przypadkowe ofiary lub rewolucyoniści, którzy postanowili bronić się do końca, jednak ja wiem swoje.

Na stację zachodzę dokładnie w momencie, gdy wtacza się pociąg. Kłęby pary buchają z szerokiego, niskiego komina. Zaczyna padać śnieg i zebrani na peronie nieliczni ludzie czym prędzej pchają się do środka. Jest przeraźliwie zimno. Mimo wszystko, odkąd wydostaliśmy się z Petersburga, towarzyszy mi niemal nieustanne poczucie, że wszystko musi się udać.

Wchodzę do pociągu i uświadamiam sobie, że skład jest niemal pusty. Zapewne większość pasażerów już wysiadła, a pozostali tylko ci podrózujący do Åbo. Zdaje się, że od celu dzielą nas dwie lub trzy stacje. Pół godziny drogi, o ile śnieżyca nie utrudni podróży. W tej części świata wszystko jest możliwe.

Zajmuję miejsce i przysmykam oczy. Jednak po chwili, gdy skład nabiera prędkości, otwierają się drzwi wagonu. Do środka wchodzi trzech funkcjonariuszy ochrony, którzy pilnie przypatrują się pasażerom. Cholera.

Ktoś mnie wydał. Ktoś mnie rozpoznał.

Albo skład od początku był pod obserwacją.

Natychmiast wstaję z miejsca i chwytam walizkę. Zwracam uwagę agentów, którzy ruszają w moją stronę. Jeden z nich z ironicznym uśmieszkiem mruży oczy. Nie mam wątpliwości, że mnie rozpoznał. Ukradkiem sięga do zawieszanej na biodrze kabury.

– Stój!

Krzyczy w momencie, gdy dopadam do drzwi. Z przeciwnej strony do wagonu wbiega konduktor, lecz nie mogą mnie już zatrzymać. Zwalniam zasuwę i uderza mnie pęd lodowatego powietrza. Skok może zakończyć się tragicznie. Wokół rozciągają się białe przestworza, ale w ciemności widzę niewiele więcej.

– Stój!

Ponowny krzyk zlewa się z odgłosem odciąganego kurka rewolweru. Już się nie odwracam. Nie ma różnicy, czy zginę w wagonie, czy roztrzaskany o nasyp kolejowy. Mam jednak szansę.

Boję się i nie chcę o tym myśleć...

Skaczę.

77.

Powoli odzyskuję dech. Sięgam na oślep w prawo i natrafiam na walizkę. Zdaje się, że jest cała. Wpadłem w sporą zaspę nawianą przy nasypie kolejowym. Tylko to mnie uratowało. Przy tej prędkości pociągu w każdych innych warunkach co najmniej bym się połamał. Tymczasem chyba obyło się nawet bez potłuczeń.

Podnoszę się i otrzepuję. Śnieg pada coraz mocniej i do tego zrywa się silny wiatr. Muszę się pochylać, by iść naprzód. Już po kilkudziesięciu metrach zaczynam dygotać z zimna, a twarz pali mnie, jakby zrywano z niej całe płyty skóry. Do tego błyskawicznie przemakają mi buty. Chlupie w nich woda, która częściowo zamarza.

Staram się nie zważać na niedogodności i podążam wzdłuż torów. Pamiętam adres, pod który miałem się stawić w Åbo. Od miasta dzielą mnie jakieś trzy mile. W normalnych okolicznościach dotarłbym tam w ciągu co najwyżej czterech godzin. Teraz muszę jednak trzymać się na uboczu, a do tego walczyć ze śnieżycą.

Po godzinie marszu jestem całkowicie skostniały. Przy każdym kroku mam wrażenie, że moje stopy, niczym kryształowy lodu, rozpadną się na maleńkie kawałki. Syczę i z całej siły zaciskam zęby.

Przez cały czas posuwam się wzdłuż torów, zbaczając jedynie w okolicach stacji rozlokowanych w maleńkich miejscowościach. O tej porze nie spotykam już żywej duszy i zdaje się, że z pociągu nikt nie wysiadał, aby się przesiąść.

Czy starczy mi sił? Poruszam się niemal zupełnie bezmyślnie, wysilając do ostatka wolę przetrwania. Rozsądek podpowiada, że powinienem poprosić o pomoc w jednej z wiejskich

chat, ale instynkt każe mi iść dalej. Szybko tracę siły i mam wrażenie, że jest mi gorąco. Nie czuję zimna i wiem, że to bardzo, bardzo niedobrze. Nawet nie zdaję sobie sprawy, kiedy znalazłem się między zabudowaniami miejskimi. Odruchowo wyszukuję tabliczkę z nazwami ulic poznanymi w trakcie studiowania map.

– To tu... – szepczę sam do siebie, widząc niski, podłużny budynek.

A jeśli to przywidzenie?

Stukam do okna, w którym pali się światło, a po chwili wokół mnie pojawiają się ludzie. Ktoś zarzuca mnie na ramię, a ktoś inny pomaga wnieść do środka. Widzę ładną brunetkę o okrągłej twarzy. Naciera mnie spirytusem, podczas gdy inna kobieta rozcina nożem moje buty. Dostrzegam ukradkowe, pełne trwogi spojrzenia, które wymieniają.

– Jakoś to będzie – mówię na pocieszenie, po czym po raz pierwszy od lat wypijam wielki haust czystego alkoholu.

78.

25 GRUDNIA 1907 R.

– Wszystkie porty w Åbo oraz okolicy są pod obserwacją. Pilnują ich mocniej niż linii kolejowych, dlatego to nasza jedyna szansa. – Odchrząkuję, po czym się poprawiam: – Moja jedyna szansa.

Spoglądam w niebieskie, zimne oczy towarzyszącego mi przewodnika. Choć mężczyzna jest wyjątkowo małomówny, interesuje go przyczyna powzięcia tej szalonej wyprawy. Jest minus kilkanaście stopni, lód trzeszczy pod naszymi stopami, a w promieniu wielu mil nie ma żywej duszy. Wiem, że temu człowiekowi mogę bezwzględnie ufać, więc należy mu się choć symboliczne wytłumaczenie. Poza tym wiem też, że gdy już ucieknę z Finlandii, rozniesione zostaną na mój temat rozmaite plotki. Najlepiej, by brzmiały właśnie tak, jak to sobie wyobrażam.

„Lenin zdołał się wymknąć”.

„Lenin zaryzykował marsz po cienkim lodzie”.

– Nie boicie się? – pyta przewodnik.

– A wy? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– Po wielu latach się przyzwyczailem.

– Ja też...

Uśmiechamy się do siebie, choć nasze usta są spierzchnięte od lodowatego wiatru. Przedzieramy się przez zamarznąłą cieśninę ku jednej z wysp, z której kursuje prom do Szwecji. Do pokonania mamy bardzo długą i niebezpieczną drogę, ale właśnie dzięki temu ochrona nie może się spodziewać, że odważę się na ten krok. Mam coraz mocniejszą świadomość swojej roli nie tylko dla jakiegoś wycinka świata i dziejów, ale dla historii w ogóle. Dlatego ze wszech miar staram się nie pokazać żadnej słabości. Przemarznąty, skostniały z zimna, dziarsko idę przed siebie.

Przed dwoma godzinami zostałem rozpoznany przez podchmielonych mieszkańców ostatniej z ludzkich siedzib. Uściskali mnie jak brata i życzyli mi powodzenia. Od razu domyślili się, dokąd zmierzam. Chcieli nam pomagać i przestrzegali mnie przed wędrówką po lodzie. Mimo to, a może właśnie dlatego, muszę przeć naprzód.

Stawiam kroki pewnie i szybko. Czasem nawet wyprzedzam przewodnika, gnąc się pod razami wiatru, lecz niestrudzenie maszeruję przed siebie. Kiedy lód trzeszczy, zagryzam

zęby i się uśmiecham. W takich chwilach tworzy się moja historia. Opowieść o Leninie, która będzie snuta przez całe pokolenia²⁴.

79.

PARYŻ, 1908 R.

Paryż to ponure, szare miasto. Paryż to rozczarowanie. Po raz kolejny czuję tu zniechęcenie i smutek. Nigdzie tak bardzo nie tęsknię za Rosją jak we Francji. Choć ponoć wśród tych setek tysięcy ludzi, wśród bezliku kamienic, skwerów i pałaców carscy agenci będą mieli problem, by mnie odnaleźć, ja również nie potrafię odszukać sam siebie. Mam poczucie obcości i pustki. Nic tu nie jest domowe ani znajome. Mimo że przecież pamiętam niektóre zaułki, niektóre są mi znane doskonale, jest to świat diametralnie różny od tego tkwiącego w mojej duszy i sercu.

Żyjemy skromnie, nawet bardzo skromnie. Wynajmujemy dwupokojowe mieszkanie przy jednej z bocznych uliczek, a czasem posilamy się tylko raz dziennie. Pieniądze od matki przychodzą co prawda dość regularnie, ale Paryż jest nie tylko obcy, ale i przeraźliwie drogi. Musimy oszczędzać.

Do tego, mimo mnóstwa listów wysyłanych przeze mnie do działaczy w różnych zakątkach Europy, przychodzą jedynie pojedyncze odpowiedzi. Wskutek ostatnich aresztowań oraz prześladowań dawny zapał rewolucyjny po raz kolejny opadł. Nawet czołowi członkowie partii wycofali się i wrócili do życia w gospodarstwach, fabrykach i urzędach. Duch zrywu sprzed trzech lat całkowicie umarł.

Coraz częściej nachodzi mnie myśl, że ucieczka ze Szwecji była niepotrzebna. Że niepotrzebne były całe lata mojego życia, które zmarnowałem na daremną walkę. Może ten wróg wcale nie istnieje? A może widzę go tylko ja?

Nie. Światowa rewolucja wymaga konsekwencji i niezłomności. Ucisk klas pracujących jest faktem, którego nie potrafię podważyć nawet w trakcie napadu okropnego humoru. Boję się jednak, że któregoś dnia po prostu zabraknie mi sił.

– Co się z tobą dzieje?

Otwieram oczy i wyrwany z zamyślenia spoglądam na Nadię. Trzyma w dłoni kilka kartek, które najwyraźniej podniosła z blatu biurka. Patrzę na nią pytająco, ale nic nie mówię.

– Zaczęłaś cztery albo pięć tekstów i żadnego nie skończyłaś – stwierdza. – To ciekawe zagadnienia, ale powinieneś je dopracować.

– Wiem... Tylko te myśli...

– Jakie myśli?

– Pędzą tak szybko... Gubię się i potwornie się męczę...

Nadia spogląda na mnie zatroskana. Dotyka mojego ramienia i delikatnie je gładzi. Pochyla się, po czym całuje mnie w czoło.

– Jesteś gorący, jakbyś miał gorączkę...

– Źle się czuję. – Wstaję z krzesła i kieruję się ku sypialni. – Muszę się przespać.

– Znow to się dzieje.

– Co masz na myśli?

Nadia podąża za mną, lecz zatrzymuje się w progu.

– Znów wpadasz w ten swój stan przygnębienia. Musisz odpocząć, rozumiesz? Inaczej tak długo nie pociągniemy.

Wzruszam ramionami. Nie mam ochoty nic odpowiadać. Zresztą żadna odpowiedź nie miałaby sensu, dlatego milcząc, kładę się do łóżka. Rzucam na podłogę ku Nadii list, który od dwóch dni noszę w kieszeni podomki.

80.

CAPRI, KWIECIEŃ 1908 R.

Nadia nie chciała się ze mną wybrać w podróż, ale uznała, że dzięki niej oderwę się i odpocznę. Gorki zaprosił mnie do willi na Capri, abym nabrał sił oraz wziął udział w kilku dyskusjach na temat marksizmu. Doskonale wiem, że interesuje go przede wszystkim to drugie. Dlatego przyjechałem tu niechętnie, jednak z poczuciem wewnętrznego obowiązku.

Przez kilka dni obszedłem wyspę wzdłuż i wszerz, migając się od jakichkolwiek dysput. Piękna wiosna potrafi nastroić pozytywnie. Znów czuję się nieco silniejszy i z większym optymizmem spoglądam na świat. Jednak na widok mężczyzny, którego przedstawia mi Gorki, przebiega mnie nieprzyjemny dreszcz. Stoimy na skąpanym w słońcu tarasie, choć nie jest jeszcze gorąco. Od kilku dni od morza wieje chłody wiatr, który sprawia, że temperatura jest naprawdę przyjemna.

– A więc to wy. – Obrzucam wzrokiem tego niezgrabnego mężczyznę, z równo przyszytą brodą.

– Aleksandr Bogdanow. – Gorki czyni zadość etykietce.

Pozostałe osoby uważnie się nam przyglądają. Niemal wszyscy wiedzą, że Bogdanow sprzyja mienszewikom i od dłuższego czasu chciano zorganizować pomiędzy nami dysputę. Sądzono, że w ten sposób uda się scalić partię. Nasze spotkanie było również jednym z warunków mojego przyjazdu na Capri. Postawił go Gorki i od początku wyglądałem tej chwili.

Bogdanow podaje mi dłoń, ale nie odpowiadam na ten gest. Ten człowiek jest dla mnie całkowicie skompromitowany. Jego poglądy oraz rozważania stanowią kompletny chaos. Są zlepkiem wielu teorii, które nijak do siebie nie pasują. Do tego wyrażone wielokrotnie poparcie dla moich przeciwników czyni z niego mojego osobistego wroga. Mimo to, patrząc mu w oczy, uśmiecham się.

– Naprawdę myślicie, że rewolucji mogą oddolnie przewodzić robotnicy? – pytam ironicznie, robiąc to na tyle głośno, by słyszeli mnie wszyscy zebrani wokół.

– Chcecie od razu ze mną polemizować? – Bogdanow sięga dłonią ku brodzie i nerwowo ją skubie. – Może najpierw napijemy się kawy i...

– Odpowiedzcie na moje pytanie.

– Dlaczego mnie atakujecie?

Parskam sarkastycznie i kręcę głową. Tego się spodziewałem. Mimo pozorów ten człowiek nie nadaje się do dyskusowania na głębsze tematy. Wie, że nie ma racji, lecz broni ich, wiedziony całkowicie populistycznymi motywami. Może to się udawać na łamach prasy albo ulotek propagandowych, ale z pewnością nie w trakcie otwartej dyskusji.

– Uważacie, że robotnicy pokierują ruchem rewolucyjnym, a jednak to wy przyjeżdżacie na Capri i spotykacie się z czołowymi teoretykami marksizmu – wygłaszam z wyższością.

– Chcecie nauczać te masy robotnicze w swoich szkółkach...

– Tak, ale...

– W takim razie zgadzacie się, że są potrzebni im nauczyciele. Czy wierzycie, że ci uczniowie przerosną nauczycieli? Czy zagłosujecie za nimi na kolejnym zjeździe partii i zaufacie ich przywództwu?

Bogdanow nie odpowiada. Gorki spolegliwie unosi dłonie i z nerwowym uśmiechem stara się przerwać mój wywód. Jednak ja nie zamierzam na razie mówić nic więcej. Wiem, że Bogdanow jest wystarczająco upokorzony, o czym świadczy to, że ponuro zwiesza głowę. Uderzyłem w najczulszy punkt jego idiotycznej doktryny. Odwracam się, po czym ruszam w stronę stromych schodów prowadzących ku morzu. Znów drżą mi ręce. Nie powinienem był tu przyjeżdżać²⁵.

81.

PARYŻ, MAJ 1908 R.

Nadia jest przekonana, że pobyt na Capri dobrze mi zrobił. Powtarza, że wyglądam na wypoczętego i odprężonego. Może ma rację? W każdym razie rzeczywiście ponownie wstąpiły we mnie siły. Odnalezienie wroga, który jest dość blisko, dodaje motywacji do działania.

Wkraczam na mównicę ustawioną pośrodku niewielkiej sali. Wypełnia ją ledwie kilkudziesięciu działaczy, ale to najważniejsi przedstawiciele przebywającej we Francji rosyjskiej emigracji marksistowskiej. Wśród nich znajduje się wielu zwolenników Bogdanowa. Wciąż nie mogę się pogodzić, że ten ułomny człowiek odważył się na otwartą konfrontację. Po pierwszych unikach podjął dyskusję i przez kilka dni kontynuowaliśmy ją na forum działaczy zebranych w willi Gorkiego. Sądziłem, że wyraźnie przyzna się do błędu, jednak nie zrobił tego.

– Towarzysze – zwracam się do zebranych. Wiem, że mam rozpalone oczy i gniewną minę. Nie ukrywam tych emocji. – Towarzysz Bogdanow zboczył z drogi rewolucji i marksizmu. Zatracił się w dysputach, które stawiają go na równi z naszymi wrogami. Zaliczył się do grona zdrajców...

Przemawiam jak natchniony. W tych rzadkich chwilach tracę nad sobą wszelką kontrolę. Zdaje się, że słowa wypływają ze mnie, jakby znajdowały się w jakichś ukrytych pokładach i moją rolą było jedynie je uwolnić. Wiodę spojrzeniem po twarzach zebranych. Dostrzegam ogólną aprobatę, więc mimowolnie unoszę głos. Jeszcze mocniej atakuję Bogdanowa, którego zwolennicy najwyraźniej nie zamierzają teraz bronić.

– Musimy wykluczyć go z naszych szeregów. Musimy pozbyć się chorej tkanki z naszego ciała. Wyciąć ją i wypalić!

Te zdania ponownie przywołują mnie do rzeczywistości. Powracam do dawnej narracji i do przygotowanego przemówienia. Wykładam swoje przekonania oraz argumenty. Robię to z lodowatą kalkulacją, czerpiąc ogromną satysfakcję z każdego protestu. Bogdanow nie dotarł jeszcze do Paryża, więc nie może się bronić osobiście. To dobrze. Właśnie tak zamierzałem to rozegrać. Gdy o wszystkim dowie się już po fakcie, będzie całkowicie bezsilny.

Ostentacyjne wyjście z pomieszczenia dwóch działaczy wywołuje jedynie uśmiech na mojej twarzy. Po chwili jednak uznaję, że powinienem to skomentować.

– Słabi i zagubieni powinni odejść. Niech trwają z resztą mienszewików, ale niech nie mieszają się w sprawy rewolucji. Rozpętaliśmy na świecie terror i być może kiedyś również przeciw nim będziemy musieli użyć bomb. Nie zawahamy się przed tym. Odpowiedzialność dziejowa nam na to nie pozwoli.

82.

SZTOKHOLM, LIPIEC 1910 R.

Tylko dzięki wypłacie z funduszy partii mogę pojechać na kolejny kongres Międzynarodówki. Seria napadów na banki oraz instytucje publiczne solidnie uzupełniła zasoby naszego budżetu. To również część rewolucji. Wszelkie ofiary są usprawiedliwione, a najważniejsze jest, że imperium chwieje się w posadach. Zapanował strach. Wszyscy musimy pamiętać, że stanowi on główną siłę napędową upadku dawnych, przegniłych potęg. Strach. Musimy go podsycać i nigdy nie możemy mieć skrupułów przed jego wzbudzaniem. Niech nas nienawidzą, ale niech się nas piekielnie boją. Musimy być dla ich gorsi niż wizja piekła dla chrześcijan. Musimy budzić w nich przerażenie większe niż śmierć, bieda i głód²⁶.

Odkładam notatnik oraz ołówek. Siedzę na ławce w sztokholmskim porcie. Prom z moją matką na pokładzie odpłyne za kwadrans, a ja nie mogę udać się do Rosji razem z nią. Spoglądam na skurczoną, schorowaną starowinę, z którą zobaczyłem się po wielu latach. Przez te kilka dni spędzonych razem w Sztokholmie wciąż czuję niepokój. Ścisca mnie serce i dopadają mnie duszności. Jednak staram się nie dać po sobie niczego poznać.

Matka wie. Zdaje sobie sprawę ze swojego wieku oraz stanu. Spotkaliśmy się na szwedzkiej ziemi tylko po to, by się pożegnać. Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości.

Teraz, gdy siedzi obok mnie i czeka na prom, staram się zrobić wszystko, by oderwać myśli. Przygotowanie przemówienia na kongres w Kopenhadze idzie mi bardzo opornie. Właściwie wciąż tkwię w miejscu. A jednak przez te ostatnie chwile nie potrafię skupić się na rozmowie z matką. Znam ją tak dobrze, że nie musimy rozmawiać. Ona też o tym wie.

Mimo to kładzie dłoń na moim policzku i odzywa się łamiącym, cichym głosem:

- Dbaj o siebie. Nie pozwól sobie zrobić krzywdy i bądź ostrożny.
- Tak, mam – wypowiadałam z trudem.
- I dobrze się odżywiaj. Jesteś przeraźliwie chudy.
- Tak...

Matka wstaje i przegładza dłonią suknię. Opuszczono trapy promu. Na pokład już wchodzi pierwszy pasażerowie, a na nabrzeżu pojawiają się członkowie załogi. Rozpoczyna się zwyczajna w takich chwilach krzątanina.

- Już czas.
- Tak.

Wstaję i podaję matce ramię. Idzie z trudem, kuśtykając i ciężko sapiąc. Wygląda, jakby miała sto lat. Ta myśl mnie rozbawia, bo być może mam w tym swój udział. Coraz więcej ludzi mówi, że również się postarzałem i sprawiaam wrażenie znacznie starszego, niż jestem.

Starzec. Starik.

Podaję bagażowemu ciężką walizę i jednocześnie wręczam mu napiwek. Chłopiec uśmiecha się, po czym zerka na numer z biletu. Energicznie kiwa głową, dając do zrozumienia, że zabierze bagaż do kajuty.

Matka ponownie dotyka mojej twarzy i spogląda mi głęboko w oczy. Jej twarz jest szara i pomarszczona, a nozdrza rozchylają się w nierównym oddechu. Białka pokrywają żółte oraz brązowe plamki, jednak tęczęwki są nadal bardzo ciemne. Pamiętam jej smutne oczy w dniu śmierci Saszy oraz radość, gdy dowiedziała się o złotym medalu, który dostałem w szkole. Pamiętam wszystko.

– Jestem z ciebie dumna – mówi, po czym odwraca się w stronę trapu.

Odchodzi, a ja nie jestem w stanie się ani odezwać, ani ruszyć. Bezwład mija, gdy matka znajduje się już niemal na pokładzie.

– Żegnaj! – krzyczę. – Do zobaczenia!

Choć nie mam na nie żadnej nadziei.

83.

LONGJUMEAU POD PARYŻEM, STYCZEŃ 1911 R.

Z funduszy otrzymanych od matki kupiłem wspianały rower. Dbanie o niego stało się moją małą obsesją, ale w zamian otrzymuję mnóstwo niezapomnianych wrażeń. To symbioza człowieka z rzeczami. Symbioza zrealizowanej koncepcji z człowiekiem ideał...

Czasem moje myśli meandrują w niezbadanym kierunku. Przerywam te bezproduktywne dywagacje i skupiam się na jeździe. Mknę pośród drzew oraz wdycham świeże, rześkie powietrze. Ostatnie tygodnie to ponowna huśtawka nastrojów podsycana spotkaniami z Inessą. Ta kobieta zawróciła mi w głowie, jednak staram się temu nie poddawać.

Lenin jest ponad pokusami.

Lenin jest ponad sferą emocji²⁷.

Nagle moją uwagę przykuwa kompleks opuszczonych zabudowań. To drewniane budynki gospodarcze oraz niewielka chata. Wszystkie znajdują się na zarośniętej działce na uboczu, pomiędzy lasem a wsią. To piękne miejsce. Nie czuć tu francuskiego zepsucia, a każdy, kto by tu przebywał, mógłby jednocześnie się ukryć. Żaden tajniak z ochrony nie dotarłby w to miejsce. Mało który z nich ma chęć ruszyć się choćby kilometr od Paryża, nie mówiąc o zapuszczaniu się na wieś.

– Halo!

Przywołuję chłopca, który ciężkim krokiem idzie poboczem drogi. Mężczyzna wytrzeszcza swoje i tak wylupiające oczy i spogląda na mnie głupkowato.

– Z Bogiem – wita się tutejszym zwyczajem.

Kiwam jedynie głową i wskazuję na opuszczone zabudowania.

– Wiecie, czyje to? – pytam.

– Wiem.

– Na sprzedaż?

– Pewnie tak. Zależy, ile kto da, bo już niepotrzebne. Ludzie powymierali, syn mieszka daleko stąd.

Los zdaje się być przychylny moim planom. Proponuję chłopcu kolejkę jakiegoś trunku w najbliższym wyszynku, a on natychmiast się zgadza. Wietrzy dobry interes dla siebie

i pewnie dla jakiegoś znajomka. Najwyższy czas spieniężyć część funduszy partii.

Jeszcze raz spoglądam na drewniane zabudowania i oczyma wyobraźni widzę tu spełnienie swojego ostatniego marzenia. Szkołę marksizmu dla robotników, którzy przybędą tu specjalnie z Rosji, a potem powrócą na jej terytorium, by ponownie rozpalili ogień rewolucji. Nigdy się nie poddam.

Po raz kolejny czuję ogromny przypływ sił.

84.

LONGJUMEAU, MAJ 1911 R.

Z przesłanych przez kurierów zgłoszeń starannie wybrałem osiemnaście. Osiemnastu robotników, w których uwierzyłem, otrzymało szansę przyjazdu do Francji oraz brania udziału w moich wykładach. Spoglądam po ich twarzach i widzę ogromną determinację. Dostrzegam chęć wzniesienia ogólnoswiatowego buntu, ale ich siła opiera się przede wszystkim na mięśniach. Nie potrafią tego ukryć odświętnymi, pomiętymi ubraniami ani starannie ogolonym zarostem.

Kiedy mówię o teorii ekonomii, zdają się całkowicie pogubieni. Okazuje się, że część z nich nie umie liczyć do więcej niż dziesięciu. Operują liczbami niczym jakimiś fikcyjnymi wartościami. Wiedzą, że sto to dużo, a tysiąc jeszcze więcej, lecz nie potrafią tego logicznie pojąć.

Czuję zniechęcenie i złość. Na remont zabudowań wyłożyłem istotną część funduszy, ale nie w tym rzecz. Naprawdę wierzyłem w sens tego przedsięwzięcia. A teraz, gdy tych osiemnastu poczciwych robotników fabrycznych wlepia we mnie spojrzenia, coraz mocniej uświadomiam sobie, że naprzeciw nas stoją miliony. Miliony, które mają karabiny, działa i wiedzę.

– Ale my mamy zapał – mówię nagle, zwracając uwagę słuchaczy. – Mamy odwagę i zapał, prawda? Rewolucjoniście nie potrzeba wiele więcej.

Kiwają głowami i prężą mięśnie. Z ich przyzwyczajonych do północnego chłodu twarzy cieknie pot.

– Długa droga przed nami – oznajmiam. – Ale nie będziemy czuli zmęczenia.

Te twarze to przykład na to, że Bogdanow nie miał racji. Tacy uczniowie nigdy nie przerosną mistrza i nie rozniecą ogniska, o ile nie uda się to jemu samemu. Mogą stanowić wsparcie oraz pomoc, lecz nigdy nie będą czynnikiem inicjującym. Taka jest prawda i jej świadomość nie powinna zniechęcać. Wręcz przeciwnie. Coraz mocniej czuję odpowiedzialność, która spoczywa właśnie na mnie. Wbrew dotychczasowym wątpliwościom teraz podejmuję decyzję. Czas, bym znowu wyruszył w drogę.

Najwyższy czas.

85.

PRAGA, STYCZEŃ 1912 R.

Międzynarodowa konferencja delegatów partii trafiła w dobre miejsce. Według informacji od zaufanych ludzi w Pradze niemal nie pojawiają się agenci ochrony. Do tego monarchia austro-węgierska pod rządami Franciszka Józefa zdaje się nie baczyć na zagrożenie mogące płynąć od ruchu marksistowskiego. Wykonano wiele pozornych działań oraz

wydano sporo decyzji, lecz w zasadzie są to jedynie posunięcia pokazowe. Musieliśmy się do nich dopasować, zgłaszając odpowiednim władzom zgromadzenie jako wiec sympatyków ruchu robotniczego. Tyle i kropka. Ruch robotniczy z założenia nie może mieć przeciwników. Z krzywą miną sprzyja mu cesarz i sprzyjają mu inteligenci. Świat stoi na pracy robotników oraz chłopów.

Do wynajętej przeze mnie sali przybyło osiemnaścioro delegatów. Spodziewałem się większej liczby, ale to i tak nie jest zły wynik, biorąc pod uwagę sposób wyłaniania przedstawicieli. Poza tym zdecydowałem się powiadomić o konferencji przede wszystkim te delegatury, do których mam zaufanie. Z rozmysłem pominąłem kilka komórek pełnych mienszewików lub zwolenników Bogdanowa. W protokole zamieszczona zostaje informacja o tym, że nie stawili się bez usprawiedliwienia, z nieznanych przyczyn.

Pierwszy zabiera głos towarzysz Zaryszczyn, którego pamiętam jeszcze z dawnych lat. To niski, pewny siebie człowieczek, który popierał moje działania mające na celu ustanowienie jednolitego przywództwa partii. Potem nasze drogi się rozeszły, ale najwidoczniej pozostał aktywny.

Już początkowe zdania przemówienia wzbudzają moje zdziwienie. To tyrada wymierzona wprost we mnie. Podkreślająca rozbicie partii, podziały wśród członków oraz walkę między różnymi frakcjami.

– Jeśli bolszewicy to dziś tylko leninowcy – stwierdza Zaryszczyn – to nie chcę być jednym z nich.

Po tych słowach szybko schodzi z mównicy. Na sali wybuchają burza oklasków oraz krzyki aplauzu. Krew uderza mi do głowy. To banda zdrajców. I to ja ich tutaj zaprosiłem? Jak mogłem popełnić taki błąd?

Jedyni Ordzonikidze i Wałujcew siedzą cisi, ponurzy i wyraźnie zmieszani. Nasze spojrzenia spotykają się, lecz zaraz rozjeżdżają w tym bezgranicznym zaskoczeniu.

– Niedopuszczalnym jest szerzenie podziałów w sytuacji, gdy tak wielu spośród nas siedzi w więzieniach i na Sybirze – rzuca kolejny delegat, którego imię nagle mi ulatuje. – Niedopuszczalnym jest organizowanie konferencji przy wybiórczym udziale członków. Spodziewałem się tu trzydziestu, czterdziestu osób, a widzę jedynie dawnych popleczników towarzysza Lenina, z których część najwidoczniej jest już tym zawstydzona.

Znów aplauz i brawa. Uważnie wpatruję się w tę młodą, niemal dziecięcą twarz i obiecuję sobie, że ją zapamiętam. Ukradkiem zerkam do protokołu, by odczytać nazwisko mówcy.

Leszczynow.

To też mi nie umknie. Sztywnym krokiem kieruję się do wyjścia, aż wreszcie niemal biegnę. Muszę znaleźć się na zewnątrz, jakbym w tym miejscu nie był w stanie nabrać tchu.

Czas rozliczeń przyjdzie niebawem.

„Wszystkim będzie dane wedle zasług” – powtarzam w myślach. – „Wszystkim, wszystkim...”

Zaciskam i rozluźniam pięści. To coraz częściej nawracający tik, który z trudem opanowuję, gdy pojawia się przy mnie Ordzonikidze. Klepie mnie po ramieniu i prowadzi na bok.

– Chodźmy – mówi troskliwie. – Chodźmy, towarzyszu Leninie.

– Muszę stąd natychmiast wyjechać.

Nieustanne, przytłaczające poczucie obcości oraz zbytniego rozłączenia z ojczyzną musiało skończyć się przeprowadzką. Zresztą mimo upokorzenia doznanego podczas konferencji w Pradze klimat polityczny monarchii Habsburgów wyjątkowo mi odpowiada. Nadia również jest zadowolona. Choć często dopadają ją ataki choroby, potworne bóle mięśni oraz osłabienie, twierdzi, że nie mogliśmy zrobić nic lepszego niż przeprowadzić się do Krakowa. Poza tym ponoć mają tu jednych z najlepszych lekarzy w środkowej Europie.

– Jak się czujesz?

Spoglądam w jej przeszklone, zaczerwienione oczy i ocieram jej usta nawilżoną gazą. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, co jej dolega. Obrzmienie twarzy, problemy z ciśnieniem oraz krótkotrwałe epizody utraty świadomości.

To mnie bardzo martwi. Nikt nie był mi tak wierny jak ona. Może matka, ale matki to przecież coś całkiem innego. Trudno byłoby mi znaleźć lepszą żonę i przyjaciółkę. Dlatego nie mogę jej stracić. Za żadną cenę...

– Bolał mnie stawy, ale wyliżę się z tego. – Uśmiecha się, spoglądając mi w oczy. – Jak zawsze. Daj mi dzień lub dwa.

– Jutro miał przyjechać Pnin. Odwołam zaproszenie do naszego mieszkania.

– Absolutnie.

– Ale...

Jej spojrzenie mi wystarcza. Wiem, że nie ma sensu z nim polemizować. Nadia zawsze stawia sobie za obowiązek godne podjęcie działań przybyłych z Rosji. Uważa, że to jakaś wyjątkowa powinność. A ja nie zamierzam się spierać.

– Ale tylko pod warunkiem, że poczujesz się lepiej – rzucam.

– Oczywiście. Tylko wtedy.

Nawet gdyby miała zemdleć w trakcie przygotowań, będzie mówiła, że czuje się lepiej. To jasne. I może właśnie to tak bardzo mi się w niej podoba?

Zerka na zawieszony na ścianie zegar i marszczy czoło.

– Miałeś już iść – mówi całkowicie przytomnie. – Będziesz spóźniony.

– To nic ważnego.

– Nie lubię, kiedy się spóźniasz.

W rzeczywistości miałem spotkać się z kilkoma miejscowymi działaczami i dokończyć pracę nad najnowszym tekstem. Zbiory biblioteki uniwersyteckiej są imponujące, a do tego zawierają wiele najnowszych pozycji oraz gazet, co zdecydowanie ułatwia pracę.

– Będę przed wieczorem – oznajmiam, zakładając lekkie palto. – Na pewno niczego ci nie potrzeba?

Kręci głową i opada na poduszkę.

– Prześpij się. Wtedy nabiorę sił.

– Dobrze...

Chcę dodać coś jeszcze, ale przed oczami staje mi twarz Olgi w momencie, gdy wyszedłem z mieszkania za kwiaciarką. Odganiając to wspomnienie, pośpiesznie udaję się na korytarz, po czym wybiegam na dwór. Łapczywie nabieram powietrza.

Już po kilkunastu krokach w stronę uniwersytetu zdaję sobie sprawę, że wokół panuje szczególne poruszenie. Na ulicach jest więcej ludzi niż zazwyczaj, a do tego wszyscy tłoczą się niesamowicie pobudzeni. Mężczyzna w staromodnym surducie uderza mnie ramieniem. Odrywa oczy od gazety, przepraszając się kłania i pędzi dalej.

– Coś się wydarzyło? – rzucam za nim. Wiem, że sytuacja polityczna od wielu miesięcy jest napięta, ale ostatnio widzę w tym raczej constans.

Mężczyzna mi nie odpowiada. Podąża dalej z nosem wetkniętym w gazetę.

Mrugam i przenoszę wzrok na żurnalistę. Wspomnienia tamtego lipcowego dnia rozświetlają się zastępowane przez moskiewską rzeczywistość. Nieprawdopodobne, że od tamtych wydarzeń minęło ledwie pięć lat.

– Co się wtedy wydarzyło? – dopytuje dziennikarz.

– Na dzisiaj koniec – oznajmiam zamiast odpowiedzi. – Dość.

²¹ Wielkie Księstwo Finlandii podlegało władzy cara, jednak posiadało rozległą autonomię, w tym własny parlament.

²² Mila rosyjska: 7467 m.

²³ Obecnie Turku, dawna stolica Finlandii.

²⁴ Choć wydarzenia ostatnich rozdziałów zakrawają na niewiarygodne, potwierdzają je liczne źródła i w zasadzie nie są w żadnej mierze kwestionowane przez historyków.

²⁵ Wspomina się ciągle sarkastyczne dopiekanie przez Lenina Bogdanowowi w trakcie ich pobytu na Capri. Kilka debat niemal skończyło się rękoczynami.

²⁶ W akapicie znajdują się obszernie fragmenty przemowy Lenina.

²⁷ Historycy nie mają pewności, czy Lenin rzeczywiście miał romans z Inessą Armand. Pewne jest, że w dokumentach ochrony figurowała ona jako „kochanka Uljanowa”, jednak moim zdaniem była to jedynie próba zdyskredytowania wodza rewolucji. Lenin wielokrotnie podkreślał konserwatyzm moralny w sprawach małżeństwa oraz przywiązanie do Nadzieży. Małżeństwo przeżywało kryzysy, lecz korespondencja nie potwierdza romansu, a jedynie zainteresowanie, jakie wzbudziła Inessa w Leninie. Ze względu na brak danych uznałem za zasadne skupić się na faktach i nie „dorabiać” historii, która mogłaby być faktycznie intrygująca.

87.

MOSKWA, GRUDZIEŃ 1919 R.

– Amerykanie i Brytyjczycy chcą nałożyć sankcje na nasze towary. Wywiad donosi, że...

Machnięciem dłoni daję Trockiemu do zrozumienia, żeby zamilkł. Czasem zdarza mu się wtrącać nos w nie swoje sprawy, ale nie mam mu tego za złe. Wiem, że kierują nim szczytne intencje. Dlatego sięgam do biurka i przez chwilę szperam między kartkami. Wreszcie wyciągam jedną z nich, po czym kładę ją na blacie.

– Wszystko zostało załatwione – odpowiadam uspokajająco. – Strategię działania opracowałem z komitetem ekonomicznym, dlatego nic o tym nie wiedzieliście.

– Ale...

– Posłuchajcie. Wszystko idzie tak, jak powinno.

Trocki kiwa głową, lecz w jego oczach dostrzegam smutek. Czuje się pominięty i zlekceważony. Znam ten stan.

– W związku z wojną z Polską musimy podjąć categoryczne działania – stwierdzam tonem, jakiego używam w czasie wieców. – Dlatego w reakcji na pozorne sankcje państw imperialistycznych przejmujemy zagraniczne aktywa na terytorium radzieckim. Wywłaszczamy wszelkie mienie, a do tego lekceważymy żądania spłaty jakichkolwiek pożyczek zaciągniętych przed objęciem władzy przez rząd rewolucyjny.

– To całkiem rozsądne. Choć nie wiemy, jaka będzie reakcja...

– Nie będzie jej.

– Przecież już mi doniesiono o sankcjach na nasze towary.

– Towary? – Uśmiecham się jeszcze szerzej. – Zerwano kontrakty na drewno i zboże, które i tak odkupią od nas państwa azjatyckie. Amerykanie chcą wspierać białych, ale dotychczas wysłali im ledwie kilka skrzynek amunicji, aby uspokoić własnych wyborców.

– Teraz wspominają o lotnictwie oraz czołgach. Ponoć Brytyjczycy...

– Dość. – Po raz kolejny wchodzę Trockiemu w zdanie, ale o tym zagadnieniu nie ma żadnego pojęcia. Trzymałem go jak najdalej od spraw frontu z carskimi pogrobowcami. – Biali – mówię ostrym tonem – nie istnieją. Rozumiecie, towarzyszu? Amerykanie zdecydowali się ich wesprzeć w momencie, gdy w ostatnich dniach wyróżniliśmy ich niemal co do nogi.

Trocki poprawia okulary i spogląda na mnie zaintrygowany.

– Myślałem, że linia frontu jest utrzymana.

– Była. Trzy lub cztery tygodnie temu, dopóki nie przeprowadziliśmy ofensywy. Zmiotliśmy carskich slugusów poza nasze granice. To dlatego Amerykanie chcą im pomagać.

– A Polska? Czy informacje, które posiadam, również są nieaktualne?

Ostentacyjnie wzdycham i obracam się w stronę okna. Opieram się o wnękę, po czym wystawiam twarz do południowego słońca. Wiem, że czasem każdemu muszę rzucić jakiś ochłap nowych informacji. Nowych i istotnych.

– Nasze wojska w tej chwili ponownie zajmują Kijów – szepczę poufałym tonem. – Może już go zajęły. Tymczasem zaczęliśmy rozmowy z Niemcami...

W szybie widzę, że Trocki nerwowo mi się przygląda. Przeszępuje z nogi na nogę, a ja zastanawiam się, czy mogę mu bezgranicznie ufać. W końcu zdradzam mu najważniejszą tajemnicę ostatnich tygodni.

88.

– Wiktor Kopp²⁸ nawiązał kontakt z niemieckimi władzami – wyjaśniam oschle. – Zaproponowaliśmy im powrót do granic z czternastego roku.

– Podział Polski? – Trocki aż wybałusza oczy.

– Tak. Przecież to całkowicie naturalne, biorąc pod uwagę ucisk proletariuzy.

– Co na to Niemcy?

– Są ostrożni. Obserwują sytuację, ale nie zaprzeczają.

– A jednak dawne pruskie uzbrojenie ponoć wspiera białych i Polaków.

Niedbale macham ręką.

– To banialuki. Czysta propaganda na pokaz dla elegancików z Londynu i Paryża. Tej broni jest jeszcze mniej niż wysyłanej przez Amerykanów.

Trocki jest wyraźnie zaskoczony. Zakłada dłonie za plecy i przechadza się w tę i we w tę. Cicho coś mruczy. Nagle się zatrzymuje, po czym spogląda na mnie wyzywająco.

– To sprzeczne z koncepcją równości mas oraz narodów. Mówiliśmy o samostanowieniu oraz...

– Mówiliśmy, bo nie prowadziliśmy rozmów z Niemcami. Teraz jedynie o tym nie mówimy, a narrację zmienimy, jeżeli dojdzie do porozumienia. Najważniejsze są okoliczności.

– Nie udało się nam wywołać marksistowskiego powstania w Polsce. To są okoliczności.

– Nadal prowadzimy negocjacje.

– Towarzyszu Leninie...

– Nasza armia posuwa się wzdłuż linii całego frontu. Zresztą już wystarczająco powiedziałem, i tak to nie wasza rzecz.

Wracam do biurka i milcząc, siadam w fotelu. Przyciągam plik kartek, dając Trockiemu do zrozumienia, że jego obecność nie jest już pożądana.

89.

MOSKWA, SIERPIEŃ 1920 R.

„Żołnierze rewolucji robotniczej – zwróćcie swe spojrzenia na Zachód. Na Zachodzie decydują się losy rewolucji światowej”²⁹. Po raz kolejny czytam te słowa oraz cały rozkaz dzienny Tuchaczewskiego do naszej armii na froncie polskim i białoruskim. Tak, ma pełną rację. Od sukcesu tej kampanii zależą losy całej rewolucji i całego świata. Jeżeli zostaniemy wstrzymani, Zachód nadal będzie tkwił pod burżujsko-arystokratycznym jarzmem. Niesiemy światło, choć mówią, że bolszewizm oznacza ciemność. Szaleńcy.

Szybkim krokiem przechodzę do drugiego pomieszczenia i staję w progu.

– Mamy jakieś meldunki?

Boncz-Brujewicz podnosi na mnie nieprzytomne spojrzenie. Jest zagrzebany w całym stosie raportów, korespondencji oraz dzienników. Pilnie coś przepisuje. W reakcji na moje

wejście zdaje się wyrwany z innej rzeczywistości.

- Sytuacja na froncie – precyzuję. – Czy słano telegramy?
- Tylko pozycyjny – odpowiada. – Część jeszcze jest deszyfrowana.
- Co wiemy?

– Tuchaczewski melduje o całkowitym rozbiciu polskich oddziałów. Zdezorganizowane cofają się za linię Wisły.

Z zadowoleniem kiwam głową.

- Wezwijcie Trockiego oraz Jensenina. Mają się stawić natychmiast.
- Tak jest.
- I przynieście mi odszyfrowane depesze.

Wracam do gabinetu i pogrążony w myślach siadam przy biurku. Wszystko toczy się po mojej myśli. Warszawa musi upaść. Wtedy nic nie powstrzyma rozlania się rewolucji aż po Lizbonę.

Obaj wezwani przeze mnie członkowie gabinetu pojawiają się równocześnie. Trocki jak zawsze jest zdenerwowany i zamyślony, a Jensenin, doświadczony wojskowy, nie zdradza żadnych emocji. Boncz-Brujewicz służalczo kładzie przede mną odszyfrowaną depeszę, po czym wychodzi.

– Front przełamany, Polacy w rozsypce, zagoni kawaleryjskie mogłyby już wkroczyć na przedmieścia Warszawy, ale należy przegrupować siły... – odczytuję pośpiesznie. – Co wy, towarzysze, na to?

Trocki w zadumie potakuje, a Jensenin wydaje się całkowicie ukontentowany.

- Tego się należało spodziewać – stwierdza. – Nie mogło być inaczej.
- Wojna wciąż trwa – ripostuje mu Trocki.
- Wojna jest prawie wygrana.
- Prawie. To znacznie mniej niż w pełni.

Przysłuchuję się ich coraz bardziej ciętej wymianie zdań, wreszcie przerywam ją machnięciem ręki.

– Towarzysze... Należy przegrupować siły – oznajmiam. – Wobec powodzenia wojsk Front Południowo-Zachodni i Armia Konna Budionnego mogą ruszyć na Lwów. Tymczasem Warszawą niech się zajmie Tuchaczewski.

Trocki spogląda na mnie bez przekonania. Nerwowo łapie okulary, poprawia je i odchrząkuje.

- Nie powinniśmy dzielić sił, szczególnie jeśli...
- Jeśli? – dopytuję, przerywając jego wywód.
- To tylko luźna myśl – cedzi. – Macie rację, towarzyszu Leninie.
- Tak, macie doskonały plan, towarzyszu – zgadza się z nim Jensenin.

Uśmiecham się i sięgam po pióro.

- Wobec tego proszę o nakreślenie właściwych rozkazów oraz telegramów. Natychmiast.

90.

MOSKWA, KILKA DNI PÓŹNIEJ

– Co takiego?!

– Wojska Tuchaczewskiego zostały pobite i wycofują się spod Warszawy. Nie są w stanie utrzymać frontu.

- Wycofują się! – krzyczę. – Jakim prawem?! Niech utrzymają pozycje.

– Obawiam się, że próba ich zajęcia mogłaby się skończyć całkowitą klęską.

Trocki jest zdenerwowany, ale w jego głosie wyczuwam nutę zadowolenia. Wiem, że nie był zwolennikiem frontalnego ataku i podziału sił. Wiem, że usiłował mnie przed tym przestrzec, lecz ostatecznie nie odważył się na konfrontację.

– Co z Armią Konną Budionnego? – dopytuję.

– Wycofuje się na kierunku lwowskim. Obawia się okrążenia.

– Niech atakują od południa polskie zgrupowanie!

– To niewykonalne. – Jensenin trzęsie się ze złości, a jego twarz jest mokra od potu. Kilka metrów od niego czuję jego smród. – Nie mają dość sił.

– Psia mać! – klnę i łamię w dłoni ołówek. – Każcie rozstrzelać wycofujących się dowódców, każcie zesłać ich wszystkich na Syberię!

– Konsekwencje z pewnością zostaną wyciągnięte...

– Potrzebuję pokazowych ofiar!

– Kogo?

– Choćby was. – Wbijam wzrok w Jensenina, a ten kuli się przestraszony. – Macie kilka dni na polepszenie sytuacji albo dołączycie do reszty winnych tej klęski. Zresztą. – Znacząco unoszę palec. – To nie klęska. W komunikacie nazwijcie nasz odwrót „planowym przegrupowaniem”. Rozumiecie?

– Tak jest.

– I meldujcie o wykonaniu zadania i rozlaniu rewolucji na Polskę – ciągnę. – Niech proletariusze otrzymają jednoznaczny przekaz. Przegrupowujemy się, licząc, że polscy rewolucyoniści wezmą sprawę w swoje ręce. A jeśli nie...

Zrezygnowany wzdycham. W tym samym momencie drzwi się uchylają i w progu pojawia się Boncz-Brujewicz.

– Czego? – warczę zirytowany.

– Byliście umówieni z tym żurnalistą – przypomina mi sekretarz. – Mam go wyprosić?

– Wyrzućcie go! – wrzeszczę, podrywając się z miejsca. Nie mam teraz czasu ani ochoty na rozmowy. – Każcie mu nigdy nie wracać!

Boncz-Brujewicz kiwa głową i zamyka drzwi, lecz w tym samym momencie nachodzi mnie przebłysk. Mogę to wykorzystać. Nie powinienem przeganiać tego dziennikarzyny, bo może mi się przydać. To jego ustami mogę powiadomić Zachód, że tak naprawdę zrealizowałem wszelkie cele. Albo że ta wojna nie miała żadnego znaczenia.

– Wróćcie! – krzyczę, a kiedy w drzwiach ponownie pojawia się mój sekretarz, dodaję: – Każcie mu wejść, gdy zostaną sam w gabinecie.

Ten człowiek musi poznać moją historię, a wtedy uwierzy w nią cały świat.

– Czy myślicie, że Polacy mogą zagrozić Moskwie? – pytam Trockiego.

²⁸ Pełnomocnik Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych RFSRR.

²⁹ Fragment odezwy Tuchaczewskiego do oddziałów na froncie.

91.

KRAKÓW, LIPIEC 1914 R.

– Już wróciłeś?

Nadia spogląda na mnie rozpalonymi oczami. Podnosi się na łokciach i przechyla głowę. Marszczy czoło.

– Co się stało? – dopytuje. – Mów, co się stało...

– Jak się czujesz?

– Jeśli mi tego nie powiesz, zaraz się wścieknę.

Sięgam po krzesło i przeciągam je ku łóżku. Siadam obok Nadii, po czym biorę ją za rękę.

– Wybuchła wojna – mówię. – Ultimatum dobiegło końca, a armia austriacka wkroczyła do Serbii. Ruszyła seria przymierzy i sojuszy...

– Myślisz, że ktokolwiek będzie się chciał mieszać?

– Car na pewno. To jego szansa na odwrócenie uwagi od sytuacji w kraju.

Uśmiecham się, choć nie wiem, czy to optymistyczna wiadomość. W ogóle przez mój umysł przetacza się mnóstwo wątpliwości, domysłów oraz spostrzeżeń. Na zmianę dostrzegam w wojnie szansę oraz przekreślenie nadziei. Właściwie wszyscy powinniśmy być na nią przygotowani, lecz twarze ludzi, których minąłem, zdradzały, że zaskoczyła nie tylko mnie. Była tak blisko, a zarazem całkowicie nierealna. Teraz w ciągu kilku godzin przekuwa się w rzeczywistość. Pod naszymi oknami dudni równy krok defilującego wojska.

– Co chcesz zrobić?

Nadia podciąga się na łóżku i opiera plecami o wezłowie. Wiadomość o wybuchu wojny wtłoczyła na jej twarz żywsze kolory. Spogląda na mnie całkowicie trzeźwo.

– Nie wiem. Chyba nie powinniśmy tu zostać.

– A gdzie mielibyśmy jechać? Do Paryża, tak jak chciałeś?

Bezradnie kręcę głową.

– Nie, tam nie – stwierdzam stanowczo. – Ponownie znalazłbym się jak na wygnaniu. Paryż jest tak samo zły jak Syberia, a może nawet gorszy, bo obcy.

– Do Rosji nie możemy wrócić tym bardziej.

– Muszę działać... Muszę...

Nadia chce się podnieść, ale nie pozwalam jej. Poprawiam pod nią poduszki i całuję ją w czoło. Nie jest już tak rozpalona jak przed paroma godzinami.

– Kiedy tylko wyzdrowiejesz, wyjedziemy gdzieś na ubocze – rzucam. – Zarejestrujemy się pod zmyślnymi danymi, co w chaosie wojny zapewne nie wzbudzi podejrzeń. Wtedy zaczniemy działać.

Odpowiada mi uśmiechem. W jej oczach dostrzegam ufność, a jednocześnie obawę. Nie powinienem się temu dziwić. Pochylam się, by ją przytulić i w tym samym momencie rozlega się dudnienie do drzwi. Ktoś je otwiera z takim impetem, że uderzają o ścianę.

Gwałtownie się odwracam. Do pomieszczenia wpada kilku austriackich żandarmów, którzy mierzą do mnie z karabinów.

– Włodzimierz Uljanow? – pyta podoficer.

Kiwam głową.

– Jako obywatel rosyjski zostaje pan aresztowany w związku z podejrzeniem udziału w organizacji spiskowej – recytuje Austriak. – Ma pan minutę, aby spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Szybko, szybko!

92.

NOWY TARG, SIERPIEŃ 1914 R.

– Dokąd idziemy? – pytam żołnierza prowadzącego mnie korytarzem cytadeli.

Austriak nie odpowiada. Popycha mnie zdecydowanie przed siebie i co jakiś czas cedzi niemieckie komendy.

– Stać! – nakazuje nagle.

Otwiera kluczem ciężkie drzwi i wprowadza mnie do drugiej części budynku. Jest tu jaśniej i mniej cuchnie. Czyżby prowadzili mnie na szafot? Ta myśl towarzyszy mi, odkąd żołdak pojawił się w mojej celi. Przygotowywałem się do tego każdego dnia. A jednak nie można być gotowym na śmierć. Jestem znacznie bardziej zdenerwowany, niż chciałbym być. Nie chcę umierać. Nie mogę...

– Dokąd idziemy? – ponawiam pytanie.

Mój towarzysz nadal nie odpowiada. Mijamy szereg metalowych, solidnych drzwi, a po prawej stronie ciągną się zakratowane okna. Są większe niż na poziomie, gdzie znajdują się cele.

– To sąd wojskowy?

Żołnierz po raz kolejny mnie popycha i odkaśluje. Czy w jego twarzy mógłbym wyczytać, co się ze mną stanie? Co oznacza ten delikatny uśmiešek?

Może już zostałem skazany na śmierć? W końcu wiele wyroków zapada zaocznie, bez udziału oskarżonych. A może w warunkach wojennych skazano wszystkich obywateli Rosji? W murach więzienia szerzą się rozmaite plotki oraz domysły. Ludzie gadają. Oczywiście ich wiedza jest bardzo zawężona, ale niektórzy otrzymują korespondencję z zewnątrz. Mnie na razie nikt nie odnalazł. Jestem pewien, że Nadia i wiele innych osób robi, co tylko możliwe, by mnie wyciągnąć, ale może być na to zbyt późno. Jeśli Austriacy rzeczywiście ponoszą klęski na froncie, mogą być zdeterminowani.

Boję się. Wstydę się przed samym sobą do tego przyznać, ale taka jest prawda.

Boże, bardzo się boję. Nie chcę umierać.

Kusi mnie, by po raz pierwszy od lat się pomodlić, ale walczę z tą pokusą. Nie. Nie jestem godny modlitwy, a poza tym nie mogę się zaprzedać. Nie mogę przekreślić dziedzictwa Saszy. Jeśli to koniec, muszę wysoko podnieść głowę, bo być może niebawem znów się spotkamy.

Bracie...

Staram się uśmiechnąć. Musi wyglądać to sztucznie, ale udaje mi się w momencie, gdy żołnierz wprowadza mnie do sporego, przestronnego gabinetu. Za drewnianym biurkiem siedzi austriacki oficer. Spogląda na mnie spode łba i szarpie zawinięte do góry wąsy.

– Towarzysz Lenin – wymawia z sarkazmem, po czym spogląda na będącego ze mną żołnierza. – Wyjść, kapralu.

Drzwi trzaskają i oficer poprawia się w fotelu. Nadal spogląda na mnie z mieszaniną ironii oraz zadumy.

– Ma pan przekonujących przyjaciół – odzywa się w końcu. – No i niezłą biografię. Przejrzałem sporo gazet oraz dostałem pańskie akta... Z pewnością nie jesteście z carem przyjaciółmi.

– Nie.

Rzypała się we mnie nadzieja. Przeszuję z nogi na nogę i odzyskuję rezon.

– Całe życie walczę z carskim imperializmem.

– A z cesarskim? – pyta oficer. Uśmiecha się szeroko, lecz zanim odpowiadam, dodaje: – Droga wolna. Choć lepiej, żebyśmy na pana nie trafili, bo może to się źle skończyć. Prawdę mówiąc, już powinien pan wisieć.

93.

ZURYCH, KWIECIEŃ 1916 R.

Wojna to przekleństwo dla ludzkości, człowiek nie powinien rozwiązywać konfliktów w tak prymitywny sposób. Wojna to barbarzyństwo i cios wymierzony w ideały międzynarodowej równości proletariatu. Wojna to nedorzeczność. To wszystko zostało uzgodnione w trakcie II Międzynarodówki³⁰ i nie budziło wówczas żadnych wątpliwości. Choć moglibyśmy myśleć, że mordercze konflikty są szansą dla rewolucji, byłoby to założenie błędne. Rewolucję należy inicjować wspólnie i oddolnie przy porozumieniu mas pracujących. Nigdy nie można wdrażać jej idei na drodze konfliktów międzynarodowych. Wobec poparcia działań wojennych przez Socjaldemokratyczną Partię Niemiec niestety zdaje się, że postanowienia II Międzynarodówki są nieaktualne...

Widzę wzrokiem po zebranych działaczach i ponuro kiwam głową. Konferencja antywojenna zebrała wielu przedstawicieli. Po dwóch latach wojny wzrasta świadomość mas. Właściwie to masowe szaleństwo może służyć tylko temu.

Od wybuchu wojny sporo pisałem oraz działałem. Udało nam się z Nadią uciec do Genewy, a potem zaszyć niczym szczury w Zurychu. W Austrii obawiano się mnie i traktowano jako potencjalnego szpiega. Mimo życiorysu, który powinien pozbawiać wszelkich podejrzeń. Być może właśnie to bolało najbardziej. Może właśnie dlatego poczułem jeszcze większą niechęć do wojny i do międzynarodowych knozań.

– Jednak skoro trwa wojna – zawieszam głos przed przejściem do najważniejszego punktu wystąpienia. Ten moment wzbudza wiele moich wątpliwości. Logiczna i ideologiczna wolta może zostać odebrana niczym kolejna próba podziału środowiska. Wtedy zostałbym skreślony. – Skoro trwa wojna – podejmuję – należy to z wszelkiej mocy wykorzystać. Należy jednak przekształcić to ponure starcie imperiów w wojny domowe. W rewolucje, które obalą burżuazję i autorytarne rządy monarchów.

Nabieram powietrza i z niepokojem spoglądam po prelegentach. Rozlegają się pojedyncze oklaski, lecz brakuje euforii. Serce bije mi ze zdwojoną siłą.

– Zwróćmy się wszyscy do naszych przyjaciół i towarzyszy na frontach – podnoszę głos i zaciskam pięść. – Wyjdźcie ze schronów, bratajcie się! Bez względu na narodowości i mundur. Bez względu na krzyki i groźby dowódców. Rozpętajcie rewolucję w waszych okopach!

Oklaski oraz gwizdy aprobaty stają się nieco głośniejsze. Przymykam oczy, całkowicie skupiając się na tym, co pragnę powiedzieć.

– Zwalczajcie rosyjskich trepów. Imperializm carski to zaraza! – krzyczę. – Jeśli musicie wybierać, służcie Niemcom, ale nie carowi. Obalenie opresyjnego systemu rosyjskiego to warunek konieczny rozpętania ogólnoświatowej rewolucji! To warunek konieczny zwycięstwa. Obalimy carat i postawimy wszystkich winnych przed sądami. A jeśli będzie trzeba, oddamy ich plutonom egzekucyjnym!

W tym momencie brawa rozbrzmiewają jak nigdy wcześniej. Otwieram oczy i spostrzegam, że wszyscy zebrani stoją. Udało mi się... Udało.

Czuję przepełniającą mnie dumę. Właśnie wykonujemy kolejny istotny krok ku krwawej rewolucji. A doskonale wiem, że bez świętych głów nie ma zwycięstwa. Nigdy.

94.

LIPIEC 1916 R.

Od kilku tygodni z wiecu na wiec przybywa ludzi. Uczestniczą w nich głównie emigranci oraz kobiety, szwajcarscy mężczyźni wolą trzymać się na uboczu. Być może jest im wstyd, że w chwili gdy cała Europa pogrążona jest w wojennej pożodze, oni umywają ręce. A może wręcz przeciwnie, w ten sposób manifestują swoją dumę. Nie zamierzają mieszać się w żadne zmiany. Mimo tych wszystkich lat i pobyków w tym kraju wciąż nie rozumiem Szwajcarów. Setki lat neutralności stworzyły z nich dziwny naród.

W geście sprzeciwu wobec imperializmu przybyły tu dziesiątki tysięcy emigrantów ze wszystkich państw kontynentu. W znacznej mierze to zwolennicy ruchu rewolucyjnego, którzy nie zamierzają umierać za cara ani cesarza. Nie są tchórzami, jak zarzucają im propagandyści. Nie mam wątpliwości, że gdy nadejdzie właściwy moment, chwycą za broń i rozniosą płomień marksizmu na najdalsze zakątki świata.

– Wierzę w was – mówię do nich niczym do dzieci lub wnuków. Ponoć przez ostatnie miesiące, mimo że kipię energią, istotnie się postarzałem. Coraz więcej ludzi nazywa mnie „Starcem”. – Wierzę w was jeszcze mocniej niż w siebie. Czasem mam wątpliwości, czasem czuję, że nie podołam jakiemuś zadaniu, ale gdy spoglądam w wasze twarze... Te wątpliwości rozwiewają się i wiem, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki.

Odpowiada mi ogromna wrzawa. Na setkach twarzy rzeczywiście widzę ogromną determinację oraz złość. Przez ostatnie lata niemal każdy z tych ludzi stracił kogoś bliskiego. Gniew regularnie w nich narastał, nie znajdując jednak żadnego ujścia. Muszę go jedynie właściwie nakierować, a wybuchnie, niszcząc wszystko wokół.

– Towarzysze – ciągnę – krocząc ramię w ramię, jesteśmy nie do zatrzymania. Żaden imperator nie dysponuje armią, która mogłaby stanąć przeciw nam, bo te armie przejdą na naszą stronę. Te armie to ludzie tacy sami jak my. To nasi bracia, do których musimy wysłać listy oraz kierować odezwy, by otworzyli oczy. Na przekór wojskowej cenzurze i propagandzie. Na przekór dowódcom.

Wymownie się wyprostowuję. Jednocześnie kątem oka dostrzegam, że ktoś do mnie macha. Przenoszę wzrok i zauważam jednego z młodych sekretarzy lokalnej partii, który jest również moim zaufanym. Skinieniem głowy dają znać, by na podwyższenie wszedł kolejny mówca. Chwilę później kieruję się do chłopaka, a ten podaje mi list.

– Co to? – pytam, rozrywając kopertę. – Od kogo?

– Z Rosji.

Jego zakłopotany ton sprawia, że szybciej wyjmuję list. Czyżby znał jego treść? Natychmiast przebiegam wzrokiem kolejne linijki skreślone drobnym pismem mojej

siostry.

– Mój Boże. – Po raz pierwszy od lat wymawiam jego imię.

List wypada mi z dłoni.

95.

Pustka. Wypełnia mnie bezbrzeżna, ciemna pustka.

Choć wieści o śmierci matki spodziewałem się od kilku lat, nie byłem na nie przygotowany. Spodziewać się, a je otrzymać, to coś całkowicie innego.

Nie dostanę już od niej żadnego listu. Nie wesprze mnie ani słowem, ani świadomością, że żyjąc choćby tysiące kilometrów dalej, wierzy we mnie. Że troszczy się o mnie jak nikt inny.

Nie uśmiechnie się, widząc mnie, i nie pomacha na pożegnanie ze łzami w oczach. Nie znajdę jej odbicia w twarzy dziecka, którego nigdy nie będę mógł mieć z Nadią.

Wspomnienia jak w kalejdoskopie przesuwają się przed oczami mojej wyobraźni. Bezwładnie leżę w łóżku i spoglądam w sufit. Odkąd nadszedł list z informacją o śmierci matki, nic nie napisałem ani nie stworzyłem niczego konstruktywnego. Tworzenie nie ma sensu. Rewolucja nagle stała się abstrakcyjnym konstruktem, który w konfrontacji ze śmiercią obrócił się wniwecz. Przecież na końcu drogi i tak zawsze czeka nas to samo. Bez względu na to, czy będziemy żyć w burżuazyjnym świecie elit oraz imperiów, czy będzie to świat oddany w ręce proletariatu.

Koniec jest zawsze ten sam.

Znów widzę twarz matki, gdy po raz ostatni żegna się ze mną, wsiadając na prom. Widzę jej twarz, gdy całuje mnie w czoło i spogląda za wozem odjeżdżającym na Sybir. Wiem, że kochała mnie jak nikt inny.

Nadia kocha rewolucjonistę.

Moja matka kochała człowieka.

„Wyjazd do Petersburga jest niemożliwy” – powtarzam frazę wiadomości, którą otrzymałem rano. Nie dostałem zgody na udział w pogrzebie matki ani by pojechać na jej grób. „Ze względu na działania wojenne”. Nikt nie ma prawa zabronić człowiekowi zapłakać nad trumną najbliższej osoby.

– Mój drogi...

Nadia siada przy mnie i podaje mi szklankę wody, lecz nie mam ochoty pić. Nie czuję ani głodu, ani pragnienia. Tkwiąc w pustce i wypełnia mnie pustka. Całe dorosłe życie poświęciłem rewolucji, która wciąż jest jedynie niespełnioną ideą. Fantazją chłopca, który być może nigdy jej nie zrealizuje. Wtedy okaże się, że wszystko, co robiłem, nie miało żadnego sensu. Wtedy okaże się, że matka mówiąca, że jest ze mnie dumna – myliła się. Nie można być dumnym z kogoś, kto nic nie osiągnął. Kto nawet nie zginął w imię ideałów, a po prostu umarł ze starości.

Starik.

– A jeśli umrę, a rewolucja nie wybuchnie? – pytam szeptem.

Nadia pochyla się nade mną i dotyka mojego policzka. Ma lodowato zimne dłonie. Jak śmierć. Spoglądam w jej ciemne, duże oczy i w nich również dostrzegam starość. Kresem starości jest śmierć.

Zrywam się i sięgam do szafki nocnej. Wyciągam z niej szufladę, ale ta jest pusta.

– Gdzie mój rewolwer? – pytam. – Zabraliście mi go?

Poza mną w pokoju jest tylko Nadia.

I śmierć, której obecność czuję aż zbyt mocno. Ponownie zapadam się w lepką, duszną ciemność.

– Mamo... – bełkoczę nieświadomie.

96.

ZURYCH, STYCZEŃ 1917 R.

Ostatnie miesiące wypełniał mrok. Od kilku tygodni zacząłem regularnie chadzać na spacer i to może przywraca mnie do rzeczywistości. Spoglądam na witryny sklepów, na podążających ulicą ludzi i przejeżdżające automobile. Mimo to nadal nie czuję dawnego, dziecięcego entuzjazmu, gdy prószy śnieg, i nie potrafię się śmiać, gdy ktoś śmieje się obok mnie. Wszystko obserwuję jakby zza grubej szyby.

Z rękoma w kieszeniach przemierzam eleganckie, ruchliwe ulice Zurychu. Wiodeł wzrokiem po fasadach kościołów oraz iglicach wież. Od wody ciągnie chłodem, a nad miastem rozciąga się sklepienie szarych, ciężkich chmur.

Od kilku minut kątem oka obserwuję wysokiego blondyna, który za mną podąża. Choć jest ubrany w cywilny strój, ma żołnierską postawę oraz krok. Trudno się co do tego mylić. Mimo że kilkakrotnie skręcałem oraz obszedłem jeden kwartał wokół, on wciąż podąża za mną. Śledzi mnie.

Czy powinienem uciekać? Czyżby carska ochrana chciała mnie dopaść na tej neutralnej ziemi? Po co? I dlaczego właśnie teraz, kiedy chyba jestem nieszkodliwy jak nigdy?

Miesza mi się w głowie, a jednocześnie po raz pierwszy od długiego czasu czuję strach. Z tej odległości strzał pistoletowy roztrzaskałby mi głowę na kawałki. Zginąłbym i dołączył do wszystkich bliskich, którzy już odeszli.

A jeśli tkwią w nicości? Jeśli po śmierci nie ma zupełnie niczego?

Przyspieszam kroku i zerkam za siebie. Blondyn wciąż za mną podąża. Kapelusz trzyma w dłoni, jakby umyślnie chciał zwrócić moją uwagę. Może carscy oficerowie wykonują wyroki śmierci właśnie z taką ostentacyjną próżnością?

Cholera.

Niemal biegnę i gwałtownie wpadam w zaułek między jednym z kościołów a rzędem przysadzistych kamienic. Przywieram plecami do kamiennego szarego muru. Żałuję, że nie wziąłem ze sobą rewolweru. Czy ktokolwiek z tych ludzi mógłby mi pomóc? Spoglądam po obojętnych twarzach przechodniów. Wszyscy z nich pochłonięci są swoimi sprawami. Nikt nie jest gotów oddać życie za nieznanego emigranta w poobszarpywanym płaszczu.

Przetykam ślinę i uważnie się rozglądam. W którą stronę mógłbym uciec? Brama w kamienicy naprzeciw jest zamknięta, a mur kościelny ciągnie się przez kilkadziesiąt metrów. Popelnilem błąd, zbaczając w ten zaułek. Jestem zbyt dumny, by biec.

Lenin nigdy nie ucieka.

Pochyłam się, po czym szybkim marszem ruszam przed siebie. Oddycham szybko i ciężko. Nagle ktoś chwyta mnie za ramię.

Odwracam się, gotów odpowiedzieć na wszelki cios. Moje spojrzenie spotyka się z zimnym wzrokiem blondyna.

– Towarzysz Lenin – bardziej stwierdza, niż pyta. – Mam dla pana propozycję.

Wyciąga dłoń, w której trzyma grubą kopertę. Zaskoczony sięgam po nią i obracam między palcami.

– O co chodzi?

– Będziemy czekali na odpowiedź.

Mężczyzna odwraca się i odchodzi. Po chwili znika za rogiem, a jednocześnie zarys Zurychu się rozwiewa. Znow jestem w Moskwie, w swoim gabinecie, a naprzeciw mnie siedzi żurnalista.

– Dokładnie tak to pamiętam – mówię do niego. – Z tamtego zimowego, szwajcarskiego dnia mam bardzo wyraźne wspomnienia. Właściwie od wiadomości, którą otrzymałem, rozpoczęła się prawdziwa rewolucja.

97.

MOSKWA, KONIEC LUTEGO 1921 R.

– Laferm, Trubacznyj, Bałtijsk i Patronnyj nie pracują. Trubietsk strajkuje. Dziewięćdziesiąt procent fabryk i zakładów przemysłowych Petersburga nie funkcjonuje. Na ulicę wyszli robotnicy, zdrajcy i wychowankowie imperialistycznych elit...

Dzierżyński gniewnie relacjonuje mi kolejne wydarzenia.

– Nie możemy dopuścić, by w sercu Rosji rozkwitła kontrrewolucja – syczę. – Czego chcą ci ludzie?

– Oczywiście pracy i chleba – sarkastycznie odpowiada szef Czecha.

– Nie rozumieją, że na odbudowę kraju potrzeba miesięcy lub lat? Nie rozumieją, że jad imperializmu przegryzł go do ostatka? To nie odbudowa! – krzyczę nagle. – To wzniesienie wszystkiego od zera. Dla nich. A może dla ich dzieci.

– Nie sądzę, aby ci ludzie to pojmowali.

Dzierżyński jak zwykle lekko się uśmiecha. Nigdy nie wiem, czy jest poważny i strapiony, czy zadowolony z obrotu wydarzeń. Teraz jego oczy chytrze błyskają, więc zdaje mi się, że przejrzałem jego intencje.

– Jak brzmiało ich motto? – pytam. – Przypomnijcie mi, towarzyszu.

– Nieograniczona władza bolszewików, żadna władza partii – cytuję Dzierżyński.

– Właśnie.

Pstrykam palcami i wstaję od biurka. Kiedyś pewnie żałowałbym, że sam nie opracowałem tego hasła. Zapewne skandowałbym je z pełnym przekonaniem. A teraz... Rewolucja jest procesem bardziej złożonym i długotrwałym, niż się wydaje. Należy w niego wnikać, by pojąć wszelkie zależności.

– Nakażcie swoim ludziom rozgonić ten protest – nakazuję. – Ale na razie niech obędzie się bez ofiar. Rewolucja bolszewicka nie będzie pożerała swoich dzieci.

– Na razie. – Dzierżyński uśmiecha się już całkowicie szeroko. – Oczywiście, wykonam niezwłocznie.

– Na razie – szeptem powtarzam za nim.

98.

MOSKWA, POCZĄTEK MARCA 1921 R.

– Utworzenie zależnych republik jest całkowicie akceptowalne. Formalnie nie zamierzamy inkorporować żadnych terytoriów, lecz musimy tworzyć państwa zależne. Rady lub republiki, nazywajcie je, jak chcecie. Dopiero następnie, w wyniku plebiscytów oraz próśb ludności, rozważymy ich przyłączenie do Rosji Sowieckiej. Musi to mieć odpowiedni wydźwięk dla Europy i całego Zachodu. Teraz nie możemy wdać się w przepychanki co do statusu terytorialnego...

Milknę, słysząc, że otwierają się drzwi. W sali obrad zjawia się Trocki. Choć temat zebrania go nie dotyczy i nie przewidywałem jego udziału, przywołuję go ręką. Uprzednio zgromadzonym daję natomiast znać, by odeszli. Zagadnienie statusu państw graniczących

z Rosją jest istotne, ale na razie nieszczególnie pilne. Właściwie to problem czysto techniczny, jaki musi towarzyszyć rozwojowi każdego wielkiego powierzchniowo tworów.

– Chwila przerwy – ogłaszam, po czym zwracam się do Trockiego: – Co was sprowadza, towarzyszu? Czy sprawa jest aż tak nagła, że nie mogła poczekać? No, mówcie.

Trocki jak zwykle nerwowo poprawia okulary. Siada przy długim stole i zwiesza głowę. Gdy ostatni ze zgromadzonych opuszcza pomieszczenie, spogląda na mnie ponuro.

– Kronsztad walczy – oznajmia. – Do robotników dołączyli członkowie garnizonu oraz zbiedzy z kilku pułków.

– Zdecydowali się na bunt? – szepczę z niedowierzaniem.

Wstaję i gniewnie przesuwam krzesło.

– Ilu ludzi?

– Według naszych szacunków nawet ponad dziesięć tysięcy.

– Wojska?

– Ponad połowa z tego.

– Niech to szlag.

Zaciskam dłonie na skraju blatu i zirytowany wzdycham. Nie mogę tego pojąć. To nie mieści się w mojej głowie. Jakim prawem ci ludzie wyłamują się z naszych szeregów? Dopiero stali z nami ramię w ramię, a teraz... Robotnicy, żołnierze, stoczniowcy. Przecież kronsztadzcy marynarze przodowali w czynie rewolucyjnym na wszystkich frontach. Nazywałem ich bohaterami i stawiałem za przykład. Wzór do naśladowania.

– Nawet marynarze? – dopytuję.

– Głównie oni.

– Bandyci!

Uderzam pięścią w stół tak, że Trocki zrywa się na równe nogi. Spogląda na mnie spode łba i ciężko sapie. Dawno nie byłem tak wściekły. A może nawet nigdy dotąd.

– Wyślijcie przeciw nim wszystkie siły z Petersburga oraz okolic. Zamordujcie ich wszystkich, rozumiecie? Rozkaz ma być całkowicie jasny – syczę. – Ich śmierć ma stać się przykładem dla wszystkich kontrrewolucjonistów. Muszą być martwi!

– Naprzeciw nim staną ich dawni towarzysze broni.

– Dlatego sprowadźcie Kirgizów i żołnierzy z Syberii. Sprowadźcie ludzi, którzy nie będą mieli żadnych skrupułów. Obiecacie, że zrobimy z nich bohaterów. To zawsze najlepsze przekupstwo. Mówcie o pieniądzach i o medalach...

99.

Trocki oraz Dzierżyński relacjonują sytuację w Kronsztadzie. Wyznaczeni do stłumienia buntu Tuchaczewski melduje o postępach, ale obawiam się, że część załogi ucieknie do Finlandii. Na szczęście Kirgizi oraz Baszkirzy nie wahają się przed nieustannym ostrzałem, a krwawe jatki są im w smak. Nie mają żadnego sentymentu.

– Drogi ucieczki mają być starannie zablokowane, rozumiecie? – cedzę. – Musimy wyłapać ich co do nogi. Niech ściga ich kawaleria.

– Obawiamy się, że lód jest zbyt cienki – wtrąca Trocki.

– Nie może być zbyt cienki na całej zatoce. Choćbyśmy mieli ich ścigać na krach, musimy wymordować wszystkich!

– Zgadzam się – przytakuje Dzierżyński. – Tłumiąc ten bunt, pokażemy, jak skończą jacykolwiek kontrrewolucjoniści w przyszłości.

– I nasi też – krzywi się Trocki.

Zzywam ten komentarz machnięciem dłoni. Po chwili jednak dodają:

– Nasi przejdą do historii jako bohaterowie. Kontrrewolucjoniści jako zdrajcy i szumowiny.

– Jedni i drudzy będą martwi.

Wbijam w niego wściekle spojrzenie. Podświadomie wiem, że ma rację. Że tli się w nim ten racjonalny humanizm, który powinien przyświecać każdemu z nas. Humanizm, jaki pielęgnowała we mnie matka, lecz który zabiła wszechobecna śmierć.

– I co z tego? – warczę. – Kiedyś wszyscy umrzemy.

– Wy tu rządźcie, towarzyszu Leninie.

– Czy to sarkazm?

Trocki nie odpowiada. Dzierżyński przygryza wargi rozchylone w lekkim uśmiechu. To on czuje się dziś bezwzględny zwycięzca.

– Wezwijcie towarzysza Kurskiego³¹. Chcę z nim omówić nowelizację kodeksu karnego i kar za działalność antypaństwową. Ci wszyscy ludzie zasługują na natychmiastową śmierć³². Zrobimy to jednak zgodnie z prawem.

100.

MOSKWA, LIPIEC 1921 R.

– Rewolucja wymaga ofiar.

Wzruszam ramionami i spoglądam prosto w oczy żurnalisty. Spacerujemy po dziedzińcu Kremla, bacznie obserwowani przez kilkudziesięciu strażników. Ostatnio tylko tu czuję się bezpieczny. Mam wrażenie, że zdrajcy i wrogowie rewolucji ponownie rozpoczęli na mnie polowanie. Jednak nie mogę poprzestać na tym, co zrobiłem. Nie mogę ulec presji niedobitków burżuazji ani własnemu strachowi. Zaszliśmy już za daleko, aby zrobić choćby krok w tył. Musi wiedzieć o tym nasz każdy wróg. Muszą wiedzieć o tym cała Europa i Stany Zjednoczone. Niech zrozumieją, że za nami jest jedynie przepaść, więc będziemy walczyć do upadłego. Nie oplać się im próbować nas tknąć.

Przekładam w dłoni kolejne raporty, starannie kalkulując, które z nich mogę odczytać żurnaliście. Długo się do tego przygotowywałem. Zamierzam wyrzucić na nim właściwe wrażenie, by i on mógł je wyrzucić na czytelnikach.

– W poprzednim roku zarekwirowano ponad dziesięć milionów ton zboża – oznajmiam bez cienia emocji. – Dokonaliśmy tego na cele rewolucyjne, przede wszystkim w obszarach kraju nie do końca przekonanych do ducha bolszewizmu.

Uważnie wyglądam reakcji żurnalisty. Ten kiwa głową i marszczy czoło. Patrzy gdzieś daleko przed nas. Temat jest mu doskonale znany.

– Na Zachód dotarły wieści o szerzącym się głodzie – przyznaje. – To wasi obywatele.

– Nie. To jedynie zdrajcy.

– Chłopi?

Uśmiecham się, lekko odsłaniając zęby. Tego właśnie świat nie potrafi zrozumieć. Dopóki nie pojmie, że nawet brat, jeżeli nadużyje zaufania, staje się najgorszym wrogiem. W trakcie rewolucji nie ma sentymentów ani więzów krwi. Tak samo mi daleko do bezmyślnego chłopca lub robotnika jak do oświeconego burżuja.

– Zdrajcy – powtarzam. – W poprzednich miesiącach wyrazili poparcie wobec reżimu imperialistycznego.

– Czyżby?

– Wątpicie?

Żurnalista parska i sięga do notesu, jednak zaraz ponownie chowa go do kieszeni.

– Chyba nie przeprowadziliście referendum ani plebiscytu? – pyta cierpko, a mnie wyjątkowo nie podoba się ten ton.

– To nie było potrzebne – odpowiadam oschle. – Mam właściwych ludzi, którzy potrafią rozpoznać, czy dane terytorium sprzyja ideologii bolszewickiej.

– Czy to ludzie mają sprzyjać ideologii, czy ideologia ludziom?

Dziennikarz irytuje mnie coraz mocniej. Chowam dłonie do kieszeni i skinieniem głowy przywołuję stojącego niedaleko Rembołowowa.

– Towarzyszu – oznajmiam tak, by żurnalista słyszał każde słowo. – Wyślijcie do wiadomych terenowych komitetów żądanie, by nie czyniono jakichkolwiek odstępstw w ściąganiu podatków. I aby dwukrotnie zwiększono rekwizycje.

– Tam ludzie już teraz umierają z głodu! – protestuje dziennikarz.

– Niech umierają. Martwi nie będą się buntować.

Tymczasem rozmowa powinna skupić się na początku prawdziwej rewolucji. Nie na jej końcu.

³¹ Dmitrij Kurski – ludowy komisarz sprawiedliwości.

³² W kolejnych miesiącach na śmierć skazano tysiące uczestników powstania. Części z nich, mimo działań bolszewików, udało się uciec do Finlandii. Kuszone ich rzekomymi amnestiami, które okazywały się kłamstwem. Zgodnie z powszechną narracją walczących nazywano zdrajcami rewolucji, zwolennikami imperializmu oraz caratu. W 1994 r. Borys Jelcyn rehabilitował ofiary powstania w Kronsztadzie.

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ AGENT

101.

ZURYCH, STYCZEŃ 1917 R.

Drzwi się otwierają, jeszcze nim zdołałem w nie zapukać. Spoglądam na ładną brunetkę w długim, czerwonym płaszczu i nagle nabieram wątpliwości. Czy to właściwy adres?

– Przepraszam, ja...

– Niech pan wejdzie – kobieta odzywa się łamanym rosyjskim. Zaraz przechodzi jednak na niemiecki. – Towarzyszu Leninie, trochę zajęło nam zorganizowanie tego spotkania, lecz na szczęście wiemy, że jesteśmy bezpieczni.

Rzeczywiście przez całą drogę obserwowałem, czy nikt za mną nie podążał, i raczej nie mam wątpliwości, że szedłem bez ogona. Bacznie rozglądam się po wnętrzu mieszkania. Jest urządzone skromnie, niemal spartańsko. W przedpokoju znajduje się pojedynczy drewniany wieszak, a rozległy salon zajmuje spory, okrągły stół. To właśnie ku niemu prowadzi mnie kobieta.

– Proszę za mną.

– Czy dowiem się, o co chodzi?

– Nie wiedział pan, a jednak nam zaufał.

– Czasem należy zaryzykować.

Jestem nieco rozczarowany. Spodziewałem się spotkać niemieckich marksistów, którzy będą gotowi przyłączyć się do międzynarodowego ruchu. Ewentualnie liczyłem na rozpoczęcie rozmów z jakąś frakcją rozłamowców. Tymczasem mam do czynienia z Niemką, która nie sprawia wrażenia rewolucjonistki. Ma wytworne maniere, sztywny sposób wypowiedzi oraz nie zamierza się ze mną spoufalać. Moja obecność nie budzi w niej również głębszego poruszenia.

– Pan Uljanow.

Jak na potwierdzenie wcześniejszych domysłów właśnie w ten sposób wita się ze mną blondyn, z którym spotkałem się na ulicy. Wychodzi z głębi pomieszczenia i wyciąga ku mnie dłoń. Wymieniamy mocne, krótkie uściski.

– Dziękuję za zaufanie – rzuca z delikatnym uśmiechem. Jego wojskowa, doskonale wyprostowana sylwetka wprawia mnie w zaniepokojenie. – Niech pan usiądzie.

– Lenin – poprawiam go oschle.

Mężczyzna jedynie macha ręką.

– Nie jestem osobą marnotrawiącą czas swój oraz innych – odzywa się po chwili. – Dlatego przejdziemy od razu do rzeczy, dobrze?

– Również nie lubię tracić czasu.

– Świetnie. Helen – zwraca się do kobiety – zamknij, proszę, drzwi.

Nie odwracam się, lecz słyszę ciche kliknięcie klamki. Siadam na prostym, niemal chłopskim krześle.

– Wiem, że działania wojenne przerwały dopływ pieniędzy z banków Gruzji, Armenii i Kaukazu. – Wymownie odchrząkuje. – Wiem też, że banki w Rosji są znacznie lepiej chronione, a fundusze pańskiej partii niemal się skończyły.

Nie odzywam się. Blondyn ma rację, choć nie wiem, skąd czerpie te informacje. Nie mamy pieniędzy nie tylko na akcje wywrotowe, ale nawet na organizację większego wiecu. Nasze drukarnie znów stoją, a agitatorzy działają bez jakiegokolwiek wynagrodzenia. Co więcej, część emigrantów bez żadnego wsparcia najzwyczajniej głoduje.

– Widzi pan – ciągnie Niemiec. – Wam brakuje pieniędzy na waszą rewolucję, a my je mamy. Możemy dobić interesu.

Blondyn pochyla się w moją stronę i świdruje mnie małymi, chytrymi oczkami. Uśmiecha się.

– Na czym miałby polegać ten interes? – pytam.

102.

ZURYCH, KONIEC LUTEGO 1917 R.

Konkretna propozycja ma zostać przedstawiona przez Niemca w najbliższych dniach. Właściwie domyślam się, że blondyn w jakiś sposób jest związany z kajzerem lub jego poplecznikami, lecz ani razu o tym konkretnie nie wspomniał. Mówił natomiast o wspólnej sprawie, o drodze do zwycięstwa oraz mnóstwo podobnych frazesów, w które uwierzyłyby tylko ktoś bardzo głupi lub bardzo naiwny. Mimo to jego pomoc mogła okazać się zbawienna.

Przeglądam zakupioną przed chwilą gazetę i widzę, że potwierdzają się ostatnie doniesienia. W Petersburgu wybuchła rewolucja. Właściwie to szereg wystąpień oraz protestów przeciw wojnie i wojennej bidzie. Przeciw głodowi. Każdy, nawet najprostszy robotnik, powinien być zawsze najedzony. Na tym polega równość społeczna. W czasie kryzysu wszelkie dobra muszą być rozdystrybuowane z podwójną starannością. Skup zboża oraz rozdawnictwo należy opłacać choćby za cenę wyprzedania dóbr luksusowych z pałaców i rezydencji. W przeciwnym razie...

Właśnie. W przeciwnym razie usprawiedliwione jest podjęcie wszelkich środków. Nie trzeba czekać na nic więcej. Pretekstem nie musi być salwa z karabinów oddana do protestujących. Plotki o krwawym tłumieniu demonstracji od wczoraj docierają do Szwajcarii. Nie potwierdziła ich żadna obiektywna gazeta, lecz mówią o nich najlepiej poinformowani emigranci.

Czy nadchodzi czas powrotu?

Słyszac o carskiej opresji oraz planie ewakuacji ze stolicy imperium, mogę być dobrej myśli. Gardzę imperatorem, jego rodziną i metodami sprawowania władzy. Brzydę się tym. Jednak na mojej drodze stoi również Austria, która wciąż trzyma się mocno.

A jeśli blondyn mógłby zdobyć dla mnie właściwy paszport oraz inne dokumenty? Jaka cenę by sobie zażyczył? W końcu Wilhelm II oraz Franciszek Józef wirują we wspólnym tańcu.

Pogrążony w myślach nie zdawałem sobie sprawy, że pokonałem tak wielki kawał drogi. Zatrzymuję się na jednym z moich ulubionych placów i siadam na ławce. Spoglądam w błękitne, pogodne niebo. Aż nie chce się wierzyć, że tysiące kilometrów stąd mogliby ginąć ludzie. Że giną oni ledwie za rogiem, po drugiej stronie Alp.

Czego by sobie zażyczył ten Niemiec w zamian za paszport? Ta myśl zaczyna mnie przesładować. Tym bardziej że domyślam się, jaka jest jego cena. I wiem, jaki mógłby być plan – choć staram się tej myśli nie dopuszczać do świadomości. Muszę się z nią oswoić, a wtedy...

Nagle z zamyślenia wrywa mnie tubalny głos krzykacza roznoszącego popołudniowe wydanie gazety. Informacja z pierwszych stron wydaje się nieprawdopodobna. A jednak podaje ją kilka niezależnych dzienników. Wokół zaczyna tłoczyć się mnóstwo ludzi przeczuwających, że właśnie dowiadują się o jednym z najważniejszych wydarzeń swojego życia.

Mojego również.

103.

Wiść o abdykacji cara została potwierdzona. Od kilku dni stanowi główny temat rozmów oraz plotek. Niektórzy donoszą, że Mikołaj II ponoć został zamordowany, a inni, że wyjechał do Wielkiej Brytanii, skąd ma ruszyć na czele wojska. Ruszyć dokąd? Przeciwko komu? Tego nikt nie wie.

Władzę obecnie sprawuje Duma, która dąży do utworzenia Rządu Tymczasowego. Z kogo będzie się ten rząd składał? Z Rosji nadchodzą kolejne listy, ale są poddawane coraz mocniejszej cenzurze. Wydaje mi się, że znaczna część z nich w ogóle do mnie nie dociera. W zamkniętym gronie szwajcarskich emigrantów czuję się jak na zesłaniu. Zły, coraz częściej oddaję się samotnym wędrówkom, wiedząc, że prowokuję niepotrzebne kłótnie. Nadia znów jest słaba i chora.

– Co robić? – pytam sam siebie i zaciskam drżące dłonie. – Co robić?

Jak otępiały snuję się po zaułkach Zurychu. Nie potrafię znieść myśli, że znalazłem się na marginesie wydarzeń. Świadomość tego całkowicie mnie przytłacza i sprawia, że czuję coraz częstsze duszności. To zły czas. Bardzo zły.

Zatrzymuję się przed wejściem do Czarnej Baszty, mojej ulubionej kawiarni. W środku jest sporo ludzi, a kelnerzy jak w ukropie uwijają się między stolikami. Między palcami przekładam drobne monety. Muszę oszczędzać. Fundusze partyjne stopniały niemal do minimum i nie mogę wypłacać żadnych środków na własne potrzeby. Przestaliśmy nawet finansować rodziny rannych i zabitych członków partii.

Odwracam się od witryny, po czym idę dalej. Lekko pochylony i całkowicie pochłonięty własnymi myślami. Nerwowo drżę, gdy ktoś chwyta mnie pod łokieć. Odwracam się i spostrzegam blondyna.

– Wszystko jest przygotowane – oznajmia bez przywitania.

– Wszystko? – pytam wyrwany z zadumy. – Nie do końca rozumiem.

Blondyn uśmiecha się szeroko i drapieźnie. Odslania zęby, po czym delikatnie oblizuje pełne wargi.

– Przystaliśmy na wszystkie pańskie warunki, panie Uljanow – oznajmia.

– Lenin – poprawiam go ostro.

– Towarzyszu Lenin. A czy pamięta pan o naszych warunkach?

Rozglądam się, upewniając, że nikt nie podsłuchuje naszej rozmowy, i kiwam głową. Tak, zgadzam się. Nie mam innego wyjścia. Tłumaczę to sobie dobrem rewolucji.

Pewna szalenicza idea została oswojona. Teraz czas ją zrealizować.

104.

ZURYCH, 17 MARCA 1917 R.

Na dworcu panuje wielki tłok, choć jedyny pociąg, który jest gotowy do odjazdu, nie zabierze niemal nikogo z oczekujących. Zagwarantowany przez władze niemieckie eksterytorialny skład przewiezie wraz ze mną i Nadią równie trzydzieści osób. Osobiście stworzyłem szczegółową listę. Została ona zaakceptowana, a teraz część znajdujących się na niej osób skończyła jeść z nami obiad. Wspólnie przemaszerowujemy ku szykującemu się do odjazdu pociągowi.

Być może już na stawie zostawiam Szwajcarię. Mam w dłoni skórzaną walizkę, a przez ramię przezucony stary plecak. Zabieram ze sobą jedynie kilka książek oraz notatników. To wszystko, czego dorobiłem się w życiu. Nadia ma jeszcze mniej.

– Zdrajca, zdrajca! Niemiecki kolaborant!

Wznoszone wokół okrzyki sprawiają, że odruchowo się pochylam. Ci ludzie niczego nie rozumieją. Jak mogą tak łatwo mnie oskarżać?

– Tchórz! Uciekinier!

– Milczcie... – szepczę na tyle cicho, że nikt mnie nie słyszy. – Dość.

– Tchórz!

Nagle wstępuje we mnie tak dobrze mi znana siła. Przepycham się w stronę protestujących i spoglądam im kolejno w oczy. Nie mogę wyjść na zdrajcę i tchórza. Nie mogę pozwolić im się obrażać.

– Wyjeżdżam na wojnę! – krzyczę. – Nieważne, w jaki sposób, ale jadę walczyć za was! Wszyscy jedziemy.

– Nie chcemy wojny!

– Nie chcecie? – Śmieję się wzgardliwie. – Nie chcemy imperialistycznych wojen między narodami, ale rewolucja potrzebuje krwi i ofiar. Musimy rozliczyć się z burżujami. Zrobię to w waszym imieniu w Rosji!

– Tchórz! Zdrajca! Za czyje pieniądze tam jedziecie?!

Nadia ciągnie mnie w stronę wejścia do wagonu. Coś do mnie mówi, lecz nie potrafię skupić się na jej słowach. Kipię ze złości. Ci ludzie powinni zostać rozstrzelani. Sami są zdrajcami. Plugawymi kontrrewolucjonistami, którzy natychmiast powinni spocząć w bezimiennych grobach. Wściekle patrzę po kolejnych zaczerwienionych, rozemocjonowanych twarzach. Chciałbym je zapamiętać.

– Jedziemy! – ponagla mnie Zinowjew.

Wchodzę do wagonu w momencie, gdy na peronie rozlegają się gwizdy konduktorów oraz lokomotywy. Skład delikatnie się porusza. Rzucam walizkę i tryumfalnie się uśmiecham. Ci ludzie tu zostaną. Nic nigdy nie osiągną, a droga do Rosji będzie dla nich na zawsze zamknięta. Już ja się o to postaram.

– Zamknijcie drzwi! – krzyczy stojący na peronie konduktor.

Pociąg powoli rusza, lecz w tym samym momencie ktoś wybiega z tłumu. Doskakuje do wagonu i chwyta się metalowego słupka u wejścia na schody. To drobny, elegancko ubrany mężczyzna w moim wieku. Spogląda mi błagalnie w oczy i nabiera powietrza.

– Zabierzcie mnie! Jestem na wszystkich listach śledczych! – wrzeszcząc, przekrzykuje lokomotywę. – Oni będą chcieli mnie dopaść w każdym miejscu. Rozumiecie? Jestem martwy!

– Nie znam was – cedzę, po czym uderzam go z całej siły w palce. – Jesteście zdrajcą.

Mężczyzna puszcza się i upada na ziemię. Pociąg nabiera prędkości. Tymczasem ja odwracam się do zgromadzonych w wagonie towarzyszy.

– Za kilka miesięcy będziemy wisieć albo panować – oznajmiam. – Nie ma innego wyjścia³³.

105.

24 MARCA 1917 R.

Wieść o mojej podróży rozniosła się mimo wszelkich środków bezpieczeństwa. Poza tym zezwoliłem, by o przyjeździe do kolejnych miast meldowała lokalna prasa partyjna, a miejscowe komitety organizowały wiece. Gottmadingen oraz Sassnitz zgromadziły na stacjach tłumy moich zwolenników i przeciwników. Nie wiem, czy te siły się równoważą, czy któraś w pewnym momencie zwycięży. Nie wiem, jak te obozy rozłożą się za dziesięć lub sto kilometrów. Zresztą wymiar przestrzenny jest mniej istotny niż wymiar czasowy. Co będzie jutro, jest ważniejsze od tego, co ma miejsce dzisiaj.

Z Sassnitz bez żadnych problemów przepłynęliśmy promem do Szwecji. W porcie poza lokalnymi działaczami pojawił się nawet burmistrz. Powitanie przybrało charakter oficjalny, choć władze szwedzkie ponoć od wszystkiego umywały ręce. Skandynawowie nie rozumieją bolszewizmu tak dobrze jak reszta Europy. Mimo bliskości Rosji mają wypaczoną wizję rządów imperialistycznych, a ich struktury społeczne są przemieszane. Czasem wydaje mi się, że w tamtej części świata rewolucja już obrała swój właściwy bieg. Niestety wraz z nią postępuje degeneracja.

Podróż saniami do Finlandii przypominała kulig. Z perspektywy kilku dni wydaje mi się nawet czymś nierealnym, z perspektywy lat przypomina sen pijanego szczęśliwym dniem dziecka. Jednak nie zostałem stworzony do wygod ani do krotochwilnych zabaw. Wciąż towarzyszy mi poczucie ziszczającego się marzenia. Rewolucja nigdy nie wydawała się realniejsza, a jej cele bliższe do spełnienia.

A jeśli te wszystkie relacje z Rosji to tylko mrzonki? Choć przecież po wkroczeniu do Finlandii nikt nas nie zatrzymuje ani nie sprawdza naszych dokumentów. Nikt nie poszukuje Lenina i nie chce go wtrącić do więzienia ani zesać w syberyjską głuszę.

A jeśli to Lenin przestał mieć znaczenie? Może stałem się jedynie figurą retoryczną rozpoznawaną w środowiskach emigracyjnych, a tu, na rosyjskiej ziemi, nic nie znaczę?

Z przymkniętymi oczami wsłuchuję się w stukot kół pociągu. Przed kilkoma godzinami wyjechaliśmy z Helsinek i nie planujemy kolejnych postojów aż do...

Z zamyślenia wyrывa mnie trzaśnięcie drzwi i szmer sukni.

– Mój drogi. – Nadia siada przy mnie i chwyta mnie za dłoń. – Obudź się.

– Nie śpię.

– Więc otwórz oczy.

Mrugam i odruchowo spoglądam za okno. Momentalnie serce mocniej uderza mi w piersi, a tętno przyspiesza.

– To... to... – jąkam się podekscytowany, nie mogąc sformułować zdania.

106.

SANKT PETERSBURG, 3 KWIETNIA 1917 R.

Dworzec Fiński ma zapach Rosji. To niewytłumaczalne, lecz ta ziemia ma swój wyjątkowy zapach, który mógłbym rozpoznać w każdym zakątku świata. Czuję ogromne wzruszenie. W oczach pojawiają mi się łzy i co chwilę odchrząkuję, upewniając się, że mój głos nie będzie drżał.

– Towarzysze! – zwracam się do nieprzebranego tłumu. – Wreszcie dotarłem do celu, a wraz ze mną do celu dociera rewolucja!

Te słowa wywołują wybuch radości oraz powszechny entuzjazm. Nie słyszę skandowanych w Zurychu haseł o zdradzie i zdaniu się na pieniądze kajzera. Lokalni działacze wszystko przygotowali jak należy. I nagle nadchodzi mnie myśl, że może potencjalni protestujący zostali po prostu aresztowani. Czy nie byłoby to najwłaściwsze? W końcu właściwe może być tylko to, co najprostsze. Wrogów rewolucji należy zamknąć do więzień, a wówczas ich szczekanie całkowicie ucichnie. Pozostaną tylko ci, którzy mają właściwego ducha.

– Rząd Tymczasowy to namiastka władzy carskiej – obwieszczam z pełnym przekonaniem. Na podstawie przeczytanych w pociągu gazet nie mam co do tego żadnych wątpliwości. – Rząd Tymczasowy nie ma nic wspólnego z rewolucją, więc musi zostać czym prędzej obalony. Składają się na niego burżuje, wywodzący się z tego samego kręgu, na którym wspierał się imperator. Musimy ściąć mu głowy!

Ktoś stojący obok chwytając mnie za łokieć, ale na to nie zważam. Domyślam się, że to Nadia hamuje mnie przed zbyt dosadnym tonem. Już o tym rozmawialiśmy. Koniec z gryzieniem się w język i z półśrodkami.

– Wszyscy bez wyjątku musimy stanąć do rewolucji! Ramię w ramię, pierś w pierś. Nie tylko tu, ale w całej Europie i na całym świecie. Dziś lub jutro rozciągniemy panowanie proletariatu od Sybiru po Lizbonę. A potem dalej!

Stoję upojony euforyczną reakcją tłumu. Teraz już nie mam wątpliwości. Oto nadszedł właściwy czas i nikt już nie może nas powstrzymać. Nawet sam Bóg.

107.

DZIEŃ PO PRZYJEŹDZIE DO SANKT PETERSBURGA

– Mamo, Olgo...

Spoglądam na skromny grób w zielonym zakątku cmentarza Wołkowskiego. W oddali, zza bezlistnych drzew widać przysadzistą cerkiew. Wszędzie wokół rozciąga się morze nagrobków oraz kamiennych figur. Być może pewnego dnia ja również tu spocznę.

Czy osiągnąłem dość wiele? Na razie jeszcze nie możecie być ze mnie dumne. Ty, Saszo, również jeszcze nie jesteś zadowolony. To ja muszę ci podziękować za to, że z chłopca, który łowił ryby w strumyku i był najpilniejszym uczniem z łaciny, stałem się tym, kim jestem. Leninem.

Co byś na to powiedział, bracie? W domu zawsze to ty byłeś na pierwszym miejscu. To ciebie woleli rodzice i nie zaprzeczaj teraz, mamo. To nic złego. Nie chcieliście tego robić ani nie było w tym żadnej złej intencji. Naturalnym jest, że najstarszy syn, do tego syn, który ma niezgłębioną charyzmę, staje się oczkiem w głowie.

Gdybyś nie został wtedy ujęty, Saszo, osiągnąłbyś znacznie więcej ode mnie. Może dzięki tobie rewolucja już by się skończyła? Wobec tego jak wyglądałby świat? Co byś teraz robił?

Nie potrafię wyobrazić sobie siebie za rok lub pięć lat, gdy zrealizujemy wszystkie cele i wprowadzimy bolszewickie postulaty w życie. Może w ogóle nie chcę sobie tego wyobrażać. Niektóre koncepcje są piękniejsze, gdy tkwią w sferze marzeń, niż gdy mierzą się z rzeczywistością. Rewolucja może być jedną z nich. Ale nie musi. Czyżbyś właśnie dlatego nie bał się śmierci?

Mamo, doskonale wiem, że miałaś mnóstwo wątpliwości. Ale nie bój się już. Nie ma potrzeby, gdyż teraz sama wiesz, że uważam na siebie. Poza tym śmierć nie jest niczym strasznym. Straszny jest brak tych, którzy umarli. To okropna, dojmująca pustka, przed którą nie można nigdzie uciec. Nosi się ją w sobie niczym stygmat wyryty wprost na sercu lub duszy.

Pewnego dnia do was dołączę. Ale wcześniej chcę, by rewolucja stała się faktem, gdyż umierając zbyt wcześnie, przekreśliłbym całe swoje życie. Rozumiecie? Wy dopełniliście to, co było wam dane. Ja, umierając zbyt wcześnie, zostanę nikim. Dlatego jeśli gdzieś tam jesteście, zróbcie wszystko, bym zachował siły jeszcze przez jakiś czas. Tak długo, by nasza idea odniosła zwycięstwo.

Tyle że jeśli gdzieś tam jesteście, znaczyłoby to, że się pomyliłem i że Bóg istnieje. Wtedy, wygrywając teraźniejszość, przegrałbym wieczność. Ale na tym przecież polega życie...

Mimowolnie się uśmiecham i nachylam nad grobem. Dotykam kamiennej płyty, po czym ukradkiem ocieram oczy. Odwracam się do Anny. Moja siostra stoi kilka kroków za mną, uważnie mierząc mnie wzrokiem. Pozwoliła mi u siebie zamieszkać, za co jestem jej ogromnie wdzięczny, ale jednocześnie gnębi mnie dziwne przecucie, że już niemal nic nas nie łączy.

– Anno... – szepczę, ukrywając wzruszenie. – Chodźmy stąd. Wracajmy. Czas na mnie. Znow drżą mi dłonie.

108.

SANKT PETERSBURG, 4 KWIETNIA 1917 R.

Pałac Taurydzki wzniesiono ponad sto lat temu dla faworyta carycy Katarzyny II, Potiomkina. Czy jest w tym coś znamiennego? Może wszystko to czysty przypadek. Choć nie uważam, że to szczególnie trafne miejsce na zwołanie działaczy bolszewickich, mimo to cieszą mnie tłumy delegatów przybyłe, by wysłuchać mojego przemówienia. Jego tekst opracowywałem przez całą podróż ze Szwajcarii. Pieściłem każde słowo i zastanawiałem się nad każdym zawieszeniem głosu. Nie pozostawię nic przypadkowi. A jednak...

To manifest mojego życia. Najważniejsza kompilacja wszelkich doświadczeń oraz przemyśleń. Dzieło mające się równać z dokonaniem Marksa oraz Engelsa. Być może moja najtrwalsza spuścizna.

– Wojna, w której wciąż bierzemy wyczerpujący udział, jest łupieżczą emanacją imperializmu, którą należy zwalczyć poprzez bratanie się mas proletariackich. I choć rewolucja przekazała teraz władzę w ręce burżuazji, nie możemy spocząć, póki ta nie odda jej w ręce proletariatu oraz mas chłopskich.

Zawieszam głos i wiodę wzrokiem po zgromadzonych. Te słowa nie wywołują nadzwyczajnego entuzjazmu. Większość słuchających wydaje się zaintrygowana, lecz ostrożna.

– Nie możemy udzielać jakiegokolwiek poparcia Rządowi Tymczasowemu – ciągnę powoli, ale głośniej, niż to potrzebne. – Jego obietnice socjalne i ekonomiczne to czyste kłamstwa. Należy go zdemaskować i raz na zawsze osądzić. Jedyną możliwą formą rządu rewolucyjnego są Rady Delegatów Robotniczych. Od tego nie może zostać poczynione żadne odstępstwo.

Ostatnie zdania spotykają się z ostrożną aprobatą, lecz nadal zebrani dalecy są od powszechnego entuzjazmu. Dlaczego? Nerwowo przekładam strony i zaciskam dłońe na mównicy.

– Nie może być mowy o republice parlamentarnej. Musimy dążyć ku Republice Rad Delegatów Robotniczych, Parobczańskich i Chłopskich, tak by te masy zdobywały doświadczenie i tworzyły przyszłość. Już, teraz, dziś! – Uderzam dłońią w drewniany blat tak mocno, że niesie się echo. – Należy zlikwidować policję oraz armię! Wynagrodzenia urzędników piastujących nawet najwyższe funkcje nie mogą przekroczyć wynagrodzenia robotnika! Zjednoczymy wszystkie banki w jeden ogólnopaństwowy pozostający pod kontrolą Rady Delegatów Robotniczych.

Nadal cisza. Pojedyncze potakiwania oraz kiwnięcia głów. Mimo to czuję, że robię to, co słuszne. Wierzę w każde z tych haseł. Choć część postulatów opiera się na uzgodnieniach poczynionych z Niemcami, są akceptowalnym odstępstwem od programu. Dzięki temu rewolucja zyskała ogromne wsparcie finansowe. Czy ktokolwiek może o tym wiedzieć?

– Czeka nas ciężka praca – nawołuję. – Ale podejmiemy się jej z pełną gotowością i energią. Zrealizujemy kolejne zadania, zwołamy zjazd ogólnopartyjny i dostosujemy program do wymagań obecnych czasów. Stworzymy Międzynarodówkę rewolucyjną, by nieść nasze ideały w najdalsze krańce świata!

Choć większość działaczy pozostaje zdystansowana, tym razem całkowicie mi to nie przeszkadza. Zrealizuję ten program tak, jak realizowałem wszelkie dotychczasowe zamierzenia. Choćby za cenę kolejnych wewnętrznych podziałów oraz ofiar.

To nie są czcze słowa. Niedawno coś się we mnie zmieniło i mimo że czuję to bardzo głęboko, nie potrafię ocenić, czym jest. Może to poczucie historycznej roli.

Może ³⁴.

109.

Moje tezy zostały odrzucone przez Komitet Centralny. Wiele osób uważało, że to Rząd Tymczasowy stał za moim powrotem do Rosji, gdyż na emigracji byłem dla niego rzekomo bardziej niebezpieczny. Wiem, że nazywają mnie szaleńcem oraz skrajnym rewolucjonistą, który nie może zjednać sobie tłumów. A jednak przecież to mnie na Dworcu Fińskim witały nieprzebrane rzesze ludzi. To imię Lenina skandują demonstranci w trakcie protestów i strajków. Co mi po tych opornych, twardogłowych działaczach, którzy boją się stanowczych kroków?

Tym razem nie tracę zapału. Prowadzę niekończące się spotkania oraz rozmowy. Spacerując ulicami Petersburga, pokazuję, jak wiele osób przyciągam i skupiam wokół siebie. Nie chodzi o polityków i tych wszystkich bezideowców, którzy zaprzędali dusze układowi. Chodzi tylko o lud.

Dlatego doskonale widzę, że wśród mas rośnie niezadowolone. Nie da się ukryć, że Rząd Tymczasowy, wbrew temu, co wskazuje jego nazwa, chce panować jak najdłużej.

Jeden reżim został zastąpiony innym – historia ma na to wiele przykładów. Nic się nie zmienia. Najlepszym dowodem jest ta sama nędzna dola przeciętnego rosyjskiego robotnika. I brak jakiegokolwiek wpływu tych mas na władzę.

Wobec coraz częstszych wystąpień przeciw rządowi niemal z dnia na dzień zmienia się stanowisko delegatów. Przyjęcie moich tez przez VII Wszechrosyjski Zjazd Partyjny nie stanowi żadnego zaskoczenia. Czuję, że to się w końcu musi wydarzyć. To przecucie... Nie skłamię, jeśli powiem, że towarzyszyło mi od miesięcy i wiedziałem, że nie mogę się mylić. Już dość miałem za sobą pomyłek.

Najgorzej, że niemal od tak samo długiego czasu trawi mnie okropna, wyczerpująca bezsenność oraz doskwierają mi nawracające bóle głowy. W trakcie napadów wydaje mi się, że wewnętrzna siła chce wypchnąć moje gałki oczne z oczodołów i jednocześnie miażdży czymś mózg. Serce bije przy tym jak oszalałe, co sprawia, że nie potrafię pracować. Czy zbliża się śmierć? Czy mogłaby nadejść właśnie teraz, w tak niewygodnym momencie?

– To efekt przepracowania – oznajmia doktor Korojew. – Musicie odpocząć, towarzyszu. Spogląda mi prosto w oczy i bezradnie rozkłada dłonie.

– Nie czuję zmęczenia – protestuję.

– Nie mówimy o zmęczeniu fizycznym. To coś całkiem innego.

– Muszę pracować. Proszę o jakieś środki...

Doktor kręci głową. Ma łysą czaszkę, w której odbija się światło lampy.

– Już i tak bierzecie sporo farmaceutyków. Musicie nabrać sił, bo przemęczenie może zamienić się w coś znacznie gorszego.

Ciężko wzdycham i przymykam oczy. Ból głowy wciąż mnie ćmi jak przyczajony, wściekły demon.

– Za dwa lub trzy miesiące. Wtedy...

– Nie – przerywa mi lekarz. – Przychodźcie do mnie po poradę, więc ją wam daję. Musicie odpocząć teraz, natychmiast. Wyjedźcie gdzieś na dwa, trzy tygodnie i wszystko powinno minąć. W trakcie wypoczynku zażyjecie kilka środków, które nie zadziałają, jeśli będziecie pracować.

„Dlaczego teraz?” – pytam się w duszy. Jednak wiem, że muszę słuchać tego śmiesznego, łysego człowieczka. Być może wyczerpałem już limit szczęścia, a przecież chcę żyć. Mam po co.

– Niech będzie – oznajmiam, zapinając guziki koszuli.

110.

NEIVOLA (FINLANDIA), 4 LIPCA 1917 R.

Parę tygodni odpoczynku dobrze mi zrobiło. Nabrałem sił i znów stałem się wystarczająco opanowany, by rozsądnie działać. Napisałem kilka odzewów oraz artykułów, jednak nie prowadziłem aktywnej działalności. Spacerowały koły nerwy, a przyjemne wieczory sprawiły, że odpoczywały mi oczy. Ból głowy stawał się coraz rzadszy, aż wreszcie niemal całkowicie ustąpił. Udało mi się opanować drżenie dłoni.

Willa Boncz-Brujewicza nie jest duża, ale dość przyjemna, by nie siedzieć sobie na głowie. Poza tym Brujewicz, zapraszając mnie, wiedział, że przede wszystkim muszę odpocząć. Nie zamierzał podążyć śladem Gorkiego i, niczym przed laty na Capri, zrobić ze mnie gościa jedynie na pokaz.

Ostatni tydzień upłynął tak błogo, jak chyba nigdy wcześniej. Codziennie dochodzą do mnie wieści o strajkach oraz protestach, ale wiem, że jeszcze nie nadszedł czas na ostateczny zryw. Na wszystko musi przyjść właściwy moment. Przyjmuję to ze spokojem oraz pokorą.

Zdaję sobie sprawę, że Rząd Tymczasowy trzyma się jeszcze zbyt mocno, a przede wszystkim ma poparcie części wojska. To niebawem się zmieni, tymczasem szkoda zbędnych ofiar. Rewolucja wymaga ich bezwzględnie, lecz należy oszczędzić tyle dusz, ile to tylko możliwe. Tym bardziej gdy chodzi o dusze najbardziej gotowe do poświęceń. Ich zawsze jest zbyt mało.

Przeciągam się w łóżku i sięgam po notatnik. Wczoraj do późna zapisywałem rozmaite przemyślenia, lecz dziś części z nich nie pamiętam. Wszystko wymaga usystematyzowania. Ponoć miałem odpocząć również od działalności twórczej, ale to wydaje mi się niemożliwe. Bez niej czułbym się jak martwy. W końcu jestem jedynie skorupą, którą wypełniają rozmaite myśli.

Zerkam na srebrny kieszonkowy zegarek. Dochodzi ósma rano i zapowiada się piękny dzień. Przez okno wpadają promienie porannego, łagodnego słońca. Śpiew ptaków jest tak głośny, że czasem mimowolnie odciąga moją uwagę.

Przekładam kartki notatnika, po czym sięgam po ołówek. Nie chce mi się jeszcze jeść, a poza tym dobrze mi zrobi kolejny dzień spokoju. Nie wiem, do kiedy zostanę w tej głuszy. W każdym razie...

Z zamyślenia wyrывa mnie odgłos ciężkich kroków, po którym następuje mocne pukanie do drzwi mojego pokoju.

– Wejść! – krzyczę, podciągając kołdrę. – Proszę.

W progu pojawia się Boncz-Brujewicz. Po wyrazie jego bladej twarzy od razu domyślam się, że wydarzyło się coś istotnego.

– W Petersburgu wybuchła rewolucja – obwieszcza drżącym głosem. – To pewne.

111.

SANKT PETERSBURG, 4 LIPCA 1917 R.

To nie mogło się teraz wydarzyć. Dlaczego? Przez kogo?

Tak, doskonale wiem, że rewolucje nie potrzebują przywódców ani przesłanek. Wystarczy pojedynczy zryw tłumu, dzikość mas. Może go sprowokować wystrzał żołnierskiego karabinu lub krzywe spojrzenie politycznego dygnitarza. Może go sprowokować czysty przypadek.

Jednak wiem, że teraz nie jest właściwy moment. Jeszcze nie.

– Jakie są straty? – pytam Trockiego.

– Kilkudziesięciu zabitych, kilka setek rannych.

– Jakikolwiek oddział wojska stanął po stronie tłumu?

– Co najwyżej się wstrzymują od działania, ale nikt nie opowiedział się jednoznacznie.

– A urzędnicy? Członkowie rządu?

– Nikt.

Bezgłośnie klnę i zaciskam pięści. Wbiegam po schodach willi Krzesińskiej, przed którą zebrał się tłum. Zgromadzeni skandują mój pseudonim, domagając się jak najszybszego wystąpienia. Co powinienem zrobić? Żałuję, że nie ma teraz przy mnie Nadii. Ona potrafiłaby mi właściwie doradzić.

Kilku działaczy, którzy brali udział w manifestacji, przygląda mi się z zainteresowaniem. To oni podsycali nastroje tłumu i powiązali jego wystąpienia z bolszewikami.

– Powinno się was wszystkich powiesić – cedzę, spoglądając im kolejno w oczy. – Co do jednego!

Nie rozumieją mnie. Oczekiwali pochwał lub entuzjazmu, tymczasem nie potrafię ukryć wściekłości. Bez właściwej organizacji rewolucja nie może się powieść. Przygotowywałem wszystko od ponad dwóch dekad, a przypadek może zniweczyć wszelkie wysiłki.

Wychodzę na balkon i momentalnie wrzawa narasta. Mimo to zaskakuje mnie liczba zgromadzonych. Wbrew temu, co mi mówiono, nie przybyły tu bezkresne tłumy, a ledwie kilka tysięcy osób. To zbyt mało, by zdobyć choćby dzielnicę, nie mówiąc o przejęciu władzy w całym mieście lub kraju.

Moja przemowa nie trwa przesadnie długo. Właściwie dzieje się to, co już zdarzyło mi się w przeszłości. Mówię, jakbym od dawna był przygotowany do tego wystąpienia. Staram się uspokoić zebranych i przemówić do ich rozsądku. Muszę jednocześnie pokazać im niestrudzony zapał rewolucyjny, a zarazem uświadomić, że na przelanie krwi jest jeszcze zbyt wcześnie.

– Niedługo, ale chyba nie dziś – kończę swoją przemowę i schodzę z balkonu. Jestem wyczerpany i czuję, że pot przykleił koszulę do moich pleców.

Spoglądam na Trockiego, który jest wyraźnie przybity.

– A jeśli oni mnie wrobili? – mówię, choć nie jestem przekonany, kim mieliby być owi „oni”. – Jeśli ktoś zorganizował to wszystko, bo wiedział, że jest zbyt wcześnie, a ja nie będę miał wyjścia, tylko będę zmuszony poprzeć wystąpienie dzikiego tłumu?

Myśl o tym, że jestem zabawką w czyichś rękach, kompletnie mnie przybija.

112.

„Niemcy niemal przejęli Petersburg”, „Lenin na usługach kajzera!”, „Bolszewicy zdrajcy”.

Czytam kolejne nagłówki porannych gazet i zagryzam usta. Nie spodziewałem się aż tak zajadłego ataku, a jednak nie jestem zdziwiony. Znajduję się w mieszkaniu na południu Petersburga, gdzie schronili mnie przyjaciele. Zdecydowane działania Rządu Tymczasowego sprawiły, że demonstracje momentalnie się zakończyły. Zamiast nich rozpoczęły się masowe aresztowania.

– Towarzyszu Leninie... – Krewicz ma minę, jakbyśmy znaleźli się na pogrzebie. – Otrzymałem właśnie wiadomość.

– Od?

– To nieważne. Wszyscy już o tym mówią.

– O czym, do licha? – dopytuję zirytowany. – Co macie na myśli?

Krewicz zwiesza głowę i zastyga w bezruchu. Jest zmieszany, a na jego wysokim czole dostrzegam kropelki potu.

– Oskarżono was o zdradę stanu – mówi niemal szeptem. – Jesteście formalnie poszukiwani i uznani za zdrajcę ojczyzny.

– Ktoś jeszcze?

– Wymieniać można by naprawdę długo.

Parskam nerwowym śmiechem. No tak.

– Trocki ponoć sam oddał się w ręce żandarmów – dodaje Karewicz. – Zagwarantowali mu bezpieczeństwo.

– A czy mogą je zagwarantować również mnie?

Widzę wzrokiem po osobach zgromadzonych w pomieszczeniu. Znajdują się tu Nadia oraz Zinowjew, a także sześcioro innych działaczy. Ich spojrzenia są całkowicie wymowne.

– Zależy, co rozumiecie przez bezpieczeństwo – stwierdza Allilujew. – Kara śmierci jest zniesiona, więc...

Zawieszają głos, a Nadia chwyta moją dłoń. Spogląda mi głęboko w oczy, ale nic nie mówi. Chce, żebym samodzielnie podjął decyzję. Nie mogę oddać się w ręce rządu. Nawet jeśli nie ma formalnie kary śmierci, czuję, że zostałem zabity. Nie żywię aspiracji, by uznano mnie za męczennika. Pragnę przeprowadzić rewolucji, a nie utkwąć na portretach jako jej najważniejsza ofiara. Choć być może mój proces mógłby stać się przykładem do zrywu. Waham się...

– Musicie uciekać – szepcze Karewicz. Jego słowa nie wzbudzają jednak powszechnej aprobaty. Większość zgromadzonych jest gotowa do najdalej idących poświęceń. – Stalin zamierza oddać się w ręce reżimu, Kamieniew został zatrzymany...

Jednak ja zostałem stworzony do czegoś innego.

Kiwam głową i kieruję się do wyjścia.

– Przygotujcie mi ubranie do przebrania. Nikt nie może mnie rozpoznać.

„Tchórz” – ktoś szepcze za moimi plecami, ale udaję, że tego nie słyszałem. Kieruję się prosto do łazienki, gdzie bez wahania przycinam wąsy oraz bródkę. Przez kilka minut zdezorientowany spoglądam w swoje odbicie w okrągłym lustrze. Po raz kolejny w życiu.

Co mnie czeka?

– To pytanie zadawałem sobie, gdy przyniesiono mi prostą, chłopską suknię. – Na samo wspomnienie wybucham śmiechem. Spoglądam na żurnalistę i rozbawiony wzruszam ramionami. – Wyobraźcie to sobie. Lenin uciekający przed siepaczymi rządu w damskich fatalaszkach. Czy to nie jest zabawne?

Dziennikarz nie podziela mojej radości.

³³ Słowa odnotowane przez kilkoro świadków i często przytaczane w źródłach historycznych.

³⁴ Rozdział stanowi parafrazę przemówienia Lenina, w trakcie którego ogłosił on tak zwane tezy kwietniowe, stanowiące najważniejszy ówczesny manifest jego programu.

113.

MOSKWA, LATO 1921 R.

– Muszę was przeprosić – zbywam żurnalistę. – Czeka mnie jeszcze sporo obowiązków, więc musimy kończyć.

– Przecież zostało już niewiele do opowiedzenia.

– Tak myślicie?

Dziennikarz coraz mniej komfortowo czuje się w moim towarzystwie. Widzę to. Dostrzegam lęk, który coraz trudniej mu ukryć. Choć ze spotkania na spotkanie powinien być bardziej swobodny, moja opowieść sprawia, że staje się czujny. Robi się coraz bardziej niepewny

Bez pożegnania kieruję się w głąb korytarza, ku sali posiedzeń. Patriarcha Tichon³⁵ zapewne już na mnie czeka. Nasze spotkanie było umówione prawie godzinę temu. Wiem jednak, że bez względu na to, ile się spóźnię, on nie wyjdzie. Zależy mu na tym.

Wchodzę do sporego, prostokątnego pomieszczenia, które wypełniają złocenia oraz stare meble. Tichon rzeczywiście już czeka. Towarzyszy mu mój sekretarz oraz jakiś młody kleryk. Natychmiast ich wypraszam, chcąc porozmawiać w cztery oczy.

– Wezwaliście parafie, by sprzedawały wyposażenie świątyń – odzywam się na powitanie. – Co robicie z pieniędzmi?

Tichon spogląda na mnie zimnymi, niebieskimi oczami. W jego wzroku nie ma nic mistycznego. Jedynie długa broda oraz zapadnięte policzki dodają mu dostojności.

– Kwoty są przekazywane na zakup jedzenia dla głodujących. Już kilka milionów chłopów znalazło się na skraju nędzy i...

Macham ręką.

– Tworzycie drugi rynek. Nie zgadzam się na to.

– Robimy coś słusznego. A przy tym pomagamy wam.

– Nam? – Uśmiecham się sarkastycznie. – Nie interpretujcie mojego działania jak Pisma Świętego. Kierują mną inne intencje.

Tichon pochyła się i wydyma wargi. Przez chwilę coś kalkuluje.

– Ludzie głodują... – szepcze. – Czy was to nie obchodzi?

– Głodują tam, gdzie chcę, aby głodowali. – Mierzę wzrokiem duchownego i splatom dłonie na piersi. Zgodziłem się na to spotkanie tylko po to, by móc go wybać. Jest słabszy i głupszy, niż sądziłem. To dobrze. – Mam pomysł – oznajmiam. – Towarzyszu Brulicz!

W progu natychmiast pojawia się mój sekretarz. Machnięciem dłoni zapraszam go do środka i odzywam się, mierząc wzrokiem patriarchę:

– Skoro cerkiew jest tak hojna, opracujcie dekret o konfiskacie wszelkich naczyń liturgicznych. Zdaje się, że wyrabia się je z drogocennych materiałów. Następnie sprzedajcie je i pozyskane kwoty przekazcie na pomoc głodującym. – Uśmiecham się szeroko. – Sami możemy sobie pomóc. Nie potrzebujemy do tego cerkwi.

Nie zamierzam czekać na protesty duchownego i nakazuję mu wyjść.

Strach stanowi znacznie mocniejsze przesłanie dla Zachodu niż racjonalność. Strach jest największą siłą, jaką może dysponować władza rewolucyjna. Zrozumienie tego zajęło mi wiele miesięcy, lecz teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Być może zresztą nigdy ich nie miałem, umyślnie przedłużając rozmowy prowadzone z żurnalistą. Obecnie nie zamierzam go łudzić, a komunikat, jaki ma przekazać społeczeństwu Europy dzięki swoim książkom i artykułom, jest jasny – z rewolucją nie można wygrać. Należy się jej podporządkować albo zginąć. Rodzaj śmierci nie ma znaczenia. Głód lub mord, rozstrzelanie lub szubienice, wszystko przynosi ten sam rezultat. Czynniki kontrrewolucyjne zostaje zlikwidowany.

Nasze kolejne spotkanie przebiega w pozornie miłej atmosferze, ale żurnalista jest ponownie bardzo spięty. Pojedyncze notatki sporządza rozedrganym, nierównym pismem. Nie rzuca ciętych uwag, a komentarze zostawia dla siebie. Rzadko draży niewygodne tematy. Poza tym odmawia jedzenia i picia. Boi się, że zostanie otruty? To całkiem dobrze.

– Mam rację? – Spoglądam mu w oczy, a on po raz pierwszy odruchowo spuszcza wzrok.
– Boicie się jeść i pić?

Wzrusza ramionami.

– Przez kolejne informacje o liczbie zmarłych z głodu tracę apetyt – mówi pokrętnie. – Co do braku racji żywnościowych...

– Naprawdę chcecie o tym rozmawiać? Myślałem, że interesuje was, jak się potoczyła moja ucieczka w kobiecym stroju.

– Tak, jasne, ale... Doniesienia mówią o milionach zmarłych.

– Owszem. Dotarło do mnie kilka raportów.

– Więc?

Próbuje wytrzymać moje spojrzenie, lecz znów spuszcza wzrok i wbija go w notatki. Odchrząkuje. Najwyraźniej od naszego ostatniego spotkania doszły go wieści nie tylko o głodzie, ale również poczynionych w Rosji czystkach. O setkach moich dawnych popleczników, którzy trafili do więzień lub zostali straceni. Kontroluję roznoszenie tych plotek i nie zamierzam ich prostować.

– Powiem wam coś – rzucam niedbałym tonem. – Wczoraj politbiuro pod moim kierownictwem³⁶ podjęło jednoznaczną decyzję. Racje żywnościowe dla głodujących dzieci nie zostaną zwiększone.

– Ale... – Dziennikarz podrywa się z krzesła, lecz jego emocje ucinam jedynie parsknięciem.

– Poza tym zdecydowaliśmy o natychmiastowym przekazywaniu środków pochodzących z konfiskat cerkwi.

– Przecież te środki miały trafić na fundusz dla głodujących.

– Dzieci nie wierzą w żadne idee – stwierdzam cynicznie. Dziennikarz nerwowo zagryza wargę i sięga po pióro, ale nic nie notuje. – Z komitetem pomocy głodującym musieliśmy skończyć w momencie, gdy Amerykanie przekazali pierwszy statek z pomocą. To niedopuszczalne. Mogliby wyjść na lepszych, niż są.

– Chodzi o pomoc dzieciom!

Kręcę głową. Uśmiecham się szeroko, patrząc żurnaliście prosto w oczy.

– Zamiast dla nich zebrane fundusze zostaną przekazane na wsparcie rewolucji w Ameryce Południowej oraz w Europie Zachodniej – stwierdzam. – To znacznie ważniejsze. Zresztą mniejsza z tym. Chcecie posłuchać mojej historii czy już was nie interesuje?³⁷

³⁵ Patriarcha moskiewski i całej Rusi.

³⁶ Ponadto w jego skład wchodził: Kamieniew, Kalinin, Mołotow i Trocki.

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ KU WŁADZY

115.

OKOLICE SIESTRORIECKA (NA PÓŁNOC OD SANKT PETERSBURGA), LIPIEC 1917 R.

– Przyniosę wodę – mówię, przerzucając przez ramiona tyczkę z zawieszonymi na jej bokach wiadrami oraz manierkami. – Niedługo wracam.

– Pomogę ci.

– Dam sobie radę. Odpoczywaj.

Nadia ponownie osłabła i trawi ją gorączka. Na szczęście od kilku dni nie pada i panuje znośna temperatura. Zaszliśmy się w szałasie połączonym z uszkodzoną jurta. Kilku przyjaciół pomogło nam wznieść to schronienie w całkowitej głuszy. Musimy przeczekać parę tygodni lub miesięcy. Obławy ponownie przybrały na sile i kolejni działacze trafiają do więzień. Po niektórych z nich przepada wszelki śluch.

Codziennie dwukrotnie chodzę do wąskiego, czystego strumienia. Przypomina mi to ucieczkę z Rosji sprzed wielu lat. Niekiedy pojawia się myśl, że przez ten długi czas zmieniło się tak niewiele, ale z drugiej strony... Z drugiej strony mam głębokie przeczucie zbliżającego się przełomu. Nigdy wcześniej nie byłem tego tak pewny.

Napełniam kolejne naczynia wodą i spokojnie wsłuchuję się w szmer strumienia. W lesie śpiewają ptaki, a wiatr szumi między liśćmi. Gdzieś w oddali nawołują się dzikie zwierzęta. To piękne miejsce. Przynajmniej staram się do tego przekonać samego siebie. To nic nie kosztuje.

Najważniejsze, by Nadia była zdrowa. Na razie nie chce słyszeć o rozłące i udaniu się w wygodniejsze miejsce. Wiem, że jej raczej nic nie grozi. Przyjaciele zapewniają, że nie trafiła na listy prowadzone przez agentów rządowych. A mimo to wciąż powtarza, że jej przeznaczeniem jest tkwić przy wodzu rewolucji. Tyle że czym ten wódz teraz dowodzi?

Pochylny, sapiąc z wysiłku, wlokę się z powrotem ku namiotowi. Nie zamierzam się poddać. Choć palą mnie mięśnie, a buty się rozpadają, nigdy nie byłem tak bardzo zdeterminowany. To los?

A jeśli to szaleństwo?

„To los” – przekonuję sam siebie. Powoli przykucam i ostrożnie opuszczam pełne wiadra. Wyprostowuję się, rozciągając mięśnie.

Nie ma trudów, których nie pokonałbym dla sprawy. Największą udręką jest brak wieści z Petersburga. Ale i te w końcu nadejdą. Oby jak najlepsze.

116.

– Jesteście tu bezpieczni, towarzyszu.

– Ufam wam. – Klepię nieznanego mi z imienia mężczyznę po ramieniu. – Moje życie zależy od was...

– Stiepan Gil.

– Stiepan Gil – powtarzam. – Z pewnością zapamiętam.

Wprowadza mnie do niewielkiego budynku, który niegdyś zapewne był domostwem zarządcy folwarku. Ściany są nadpalone, a w środku nie ma żadnych mebli. W pustej sieni wita mnie kilku towarzyszy.

– Już zostaliście wypuszczeni? – zwracam się do Kamieniewa. – Cieszę się.

W rzeczywistości czuję zawiść. Ten człowiek aresztowanie i proces ma już za sobą. Po kilku tygodniach został warunkowo zwolniony, a jego pozycja w szeregach bolszewików wzrosła. Stał się jednym z żywych męczenników za sprawę. Przede wszystkim dla tych, którzy nie rozumieją, dlaczego się ukrywam. Wiem, że część działaczy uważa, że powinienem się poddać i pozwolić osądzić. W ten sposób nie mógłbym niczego osiągnąć, ale to dla nich nieistotne. Niektórzy uwielbiają patrzeć na ludzi składających z siebie ofiary.

– Pamiętajcie, że marksizm to nie religia – szepczę, a Kamieniew mruży oczy.

– Nie rozumiem, do czego nawiązujecie, towarzyszu Leninie.

– Po prostu.

Uśmiecham się i podążam za Stiepanem Gilem. Powiedziano mi, że ten człowiek będzie gotów oddać za mnie życie. Nie mam powodów, by wątpić słowom zaufanych ludzi. Poza tym od początku przypadł mi do gustu. Kolejni działacze rozchodzą się przed jego zwalistą, wojskową sylwetką. Gil kroczy pewnie, szybko i giętko. Jednocześnie co jakiś czas ukradkiem zerka, czy za nim nadążam. Czy wyglądam na aż tak bardzo niedołęznego?

Tajne posiedzenie Komitetu Centralnego odbywa się w ograniczonym składzie, lecz jego najważniejszą funkcją jest pokazać, że partia nadal działa. Że mimo represji oraz usiłowań rządu wciąż potrafimy się zebrać. Powzięte dzisiaj decyzje zostaną wydrukowane i ogłoszone w tysiącach wydawanych podziemnie broszur. Podchwycą je również gazety, które nie zostały zakneblowane ustawowym kagańcem. Rząd Tymczasowy sam sobie wytrącił argumenty, ogłaszając wolność prasy. To zasadniczy błąd, o którym będę musiał pamiętać. Nigdy go nie popełnię. Wolna prasa to jeden z najgroźniejszych wrogów rewolucji.

– Musimy rozpocząć zbrojne powstanie – oznajmiam, otwierając posiedzenie. – Przygotowywaliśmy się do tego przez ostatnie dekady, a jego czas nieuchronnie się zbliża. Kilka miesięcy temu było jeszcze zbyt wcześnie, lecz nadchodzi nasza pora. Idziemy po zwycięstwo, choć najpierw musimy zagryźć zęby jeszcze mocniej, niż robiliśmy to kiedykolwiek. Musimy być wytrwali i odważni.

Godzinę po wygłoszeniu tych słów wyruszam pociągami do Helsinek. Czeka tam na mnie schronienie wygodniejsze od ukrytego w głuszy namiotu. Jednak niebawem znów będę się mógł ujawnić.

W drodze dociera do mnie wiadomość, że działacze odrzucili moją propozycję przygotowań zbrojnego powstania. Muszę pozbawić ich możliwości wyboru. Muszę.

117.

10 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Rząd Tymczasowy jest jak zaraza. Ktokolwiek zgodził się mieć z nią kontakt, musi umrzeć. Eserowcy i mienszewicy, którzy z nim kolaborowali, tracą popularność wśród robotników. Przegrywają kolejne wybory do rad oraz komitetów. Wzbudzają powszechną niechęć. Wieść o wyborze Trockiego na przewodniczącego Rady

Piotrogradzkiej jest dla mnie przełomowa. Oznacza, że mogę zaryzykować. Represje słabną, a rząd musi przygotować się na ewentualność swojego upadku. Widząc swój rychły koniec, nikt nie chce sobie przysparzać nowych wrogów. A ja byłbym najgroźniejszym i najbardziej pamiętliwym z nich.

Czas na katygoryczne decyzje. Dziś to ja będę mógł postawić pod ścianą Komitet Centralny. Nie będą mieli wyboru. Z takim nastawieniem udaję się na posiedzenie. Jedyńa osobą, która wie o moim zamiarze, jest Nadieżda. Nie poinformowałem o nim ani Trockiego, ani reszty bliskich mi bolszewików. Chcę widzieć zaskoczenie na twarzach zgromadzonych. Liczę na wysoką frekwencję i zdaje się, że się nie zawiodę. Korytarze wypełniają działacze, którzy wreszcie przemogli strach.

„Tak jak ja...” – dodaję w myślach.

Ściskam dłonie i wymieniam uśmiechy. Poklepuję się familiarnie po plecach, co zawsze wprawia mnie w zakłopotanie. Spoglądam prosto w oczy i cieszą mnie te wszystkie spuszczone lub odwracane spojrzenia. O krok za mną podąża Stiepan Gil. Pod marynarką ma ukryty rewolwer i jest gotów zasłonić mnie własną pierśią. Przyrzekł mi to.

– Towarzyszu Leninie, zabierzcie głos! – przywołuje mnie z mównicy Kamieniew. – Chodźcie do nas.

Odkasłużę zapach taniego tytoniu, który aż bije od grupki mężczyzn. Przepycham się dalej, ku podwyższeniu. Kamieniew ściska moją dłoń i zaprasza na podest. Jest roześmiany, wciąż cieszy go moja porażka na ostatnim głosowaniu podczas tajnego posiedzenia. Jednak dziś obradujemy całkowicie jawnie i trzeba podnieść przyłbice.

– Nasz czas nadchodzi! – oznajmiam, gdy wokół zapada względna cisza. – Dotychczas wstrzymywałem wszelkie działania i byłem ostrożny. Wiecie, że nie chciałem ryzykować niczym życiem, lecz dziś stoję tu pośród was. Powinniśmy być wszyscy gotowi. Rząd Tymczasowy należy bezwzględnie obalić!

Na sali panuje cisza, lecz nagle przerywają ją gromkie oklaski. Staram się wychwycić reakcję delegatów mających prawo głosu. Kamieniew i Zinowjew stoją przy jednym z filarów i wymieniają jakieś uwagi. Zdają się nie być szczególnie przekonani. Jednak kilku kolejnych działaczy reaguje znacznie bardziej entuzjastycznie. W końcu muszą wybierać.

– Nie możemy zwlekać – podejmuję, gdy oklaski cichną. – Zbyt długie czekanie jest tak samo szkodliwe jak pośpiech. Jeśli przegapimy właściwy moment, może on już nigdy nie powrócić.

Unoszę prawą dłoń i zaciskam pięść. Wiodę wzrokiem po sali, ale nie widzę teraz nikogo. Moje spojrzenie płonie. Emocje sprawiają, że trafiam do innej rzeczywistości – rzeczywistości czynów oraz ofiar.

– Dość czekania! – grmię. – Jeśli nie podążycie za mną, ruszę przed siebie sam. Nie potrzebuję nikogo. Nie potrzebuję pozwolenia ani zgody. Wzywa mnie rewolucja, czuję jej zew w piersi! Dlatego głosujcie. Decydujcie sami!

Mrugam i powoli się uspokajam. Znów trzeźwym wzrokiem wiodę po twarzach zgromadzonych.

– Wszystko jest w waszych rękach – mówię znacznie ciszej. – Podjęte teraz decyzje obciążą wasze sumienia na zawsze.

Moje zwycięstwo podczas ostatniego głosowania otworzyło drogę prawdziwej rewolucji. Pelgający ogień miał wreszcie buchnąć prawdziwym płomieniem. Wszystko powinno się rozstrzygnąć w najbliższych dniach.

Jedynie Kamieniew i Zinowjew byli przeciwni. Pozostałych dziesięciu delegatów głosowało za rozpoczęciem zbrojnego powstania. Zdaje się, że wszyscy rozumieją wagę upływu czasu. W tym momencie Rząd Tymczasowy jest słaby, lecz w każdej chwili może otrzymać dodatkowe wsparcie z Zachodu. Francja oraz Wielka Brytania wspierają go w konflikcie z bolszewikami. Przed interwencją powstrzymuje ich jedynie trwający konflikt zbrojny. A kiedy wojna dobiegnie końca, wszystko się zmieni. Tymczasem coraz częściej przebąkuje się o porozumieniach pokojowych.

– Komitet Wojskowo-Rewolucyjny jest po naszej stronie – oznajmia Trocki. – Nie będzie czynił żadnych przeciwności, a nawet formalnie się do nas przyłączy.

To bardzo ważne. Ta milicja ludowa ustanowiona przez Radę Piotrogradzką działa pod auspicjami Rządu Tymczasowego. Przynależy do niej dość ludzi, by dać czynny odpór robotniczym wystąpieniom. Jednak jeżeli przyłączą się do proletariatu, wówczas w mieście nie będzie już istniała żadna siła zdolna do powstrzymania rozruchów.

– Ilu ludzi? – pytam.

– Co najmniej dwa do pięciu tysięcy. Mówię o aktywnym wsparciu.

– Czy poczyniono szacunki, ile osób może zginąć w pierwszej fazie wystąpienia?

Trocki kręci głową. Rozmowa o ofiarach jak zawsze go denerwuje, więc zaraz sięga ku okularom.

– To nic – uspokajam go stanowczo. – Właściwie liczba ofiar nie ma żadnego znaczenia. Istotny jest tylko końcowy rezultat, ale zależy mi na tym, by obyło się bez rozlewu krwi. To będzie istotne dla tych niezdecydowanych...

– Widok trupów nie przynosi popularności – kwituje Trocki.

To całkowiata prawda. Dlatego tak bardzo zależy mi na gładkim przejęciu władzy. A to, co będzie potem... To ma mniejsze znaczenie.

119.

SANKT PETERSBURG, UL. SIERDOBOLSKA 1/41, POPOŁUDNIE 24 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

Jako tymczasowego zwierzchnika rewolucji wyznaczyłem Trockiego. Ma pełnić rolę oficera frontowego, a zarazem ewentualnego kozła ofiarnego. Nigdy bym tego nie przyznał, lecz taka właśnie jest jego rola. Tymczasem ja, zakamuflowany w jednym z partyjnych mieszkań, wyglądam kolejnych wieści.

Oddziały rewolucyjne bez żadnego wystrzału przejęły budynek Poczty Głównej oraz większość centrali telefonicznych. Mosty na Newie są pod naszą całkowitą kontrolą, a członkowie Czerwonej Gwardii donoszą o poddaniu się większości posterunków milicji. Dowódcy tych opornych nie zamierzali walczyć, lecz poprosili o czas do namysłu.

Miasto żyje swoim rytmem. Pracują sklepy, kursuje komunikacja, działają fabryki. Większość obywateli w ogóle nie spostrzegła zmiany władzy, a przecież ta stała się faktem. Rzeczywistość kształtuje się po cichu.

Mimo wszystko Kiereński i jego świta wciąż są groźni. Zakazałem jakiegokolwiek szturmowania Pałacu Zimowego oraz jego okolic. To, w czyich rękach będzie ten budynek,

na razie nie ma żadnego znaczenia. To Wersal Ludwika XVI. Tymczasem my potrzebujemy jedynie Bastylii.

– Przejęliśmy listy wzywające wojsko na pomoc – oznajmia mi jeden z łączników, młody chłopiec, dumny z pełnionej funkcji. Pręży się niczym adiutant przed oficerem. – Proszę.

Wręcza mi kilka depesz, które nie zostały nawet zaszyfrowane. Przeglądam je i z niedowierzaniem kręcę głową.

– Amatorzy... – szepczę. – Ale to dobrze, to bardzo dobrze... Dziękuję wam, towarzyszu.

Przyjacielsko klepię chłopca po ramieniu, po czym odwracam się do okna. Czujnie obserwuję ruch na ulicy. Suną nią tramwaje oraz dorożki. Ludzie nigdzie się nie śpieszą. Przy bramie kamienicy naprzeciw stoi kilku młodzieńców z opaskami Czerwonej Gwardii. Są gotowi w każdej chwili ruszyć mi na pomoc. Jednak zdaje się, że ta nie będzie już potrzebna.

Czas chwycić ster w swoje ręce.

– Pójdziecie ze mną – zwracam się do chłopca. Następnie daję znać Stiepanowi. – Idziemy do Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Pora przejąć obowiązki wodza.

Mój czas wreszcie nastał.

Rząd Tymczasowy został obalony. Władza państwowa przeszła w ręce organu Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich³⁸ – Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, który stoi na czele pietrogradzkiego proletariatu i garnizonu.

Sprawa, o którą walczył lud: niezwłoczne zaproponowanie demokratycznego pokoju, zniesienie obszarniczej własności ziemi, kontrola robotnicza nad produkcją, utworzenie Rządu Radzieckiego – ta sprawa jest zapewniona.

Niech żyje rewolucja robotników, żołnierzy i chłopów!

Komitet Wojskowo-Rewolucyjny przy Piotrogrodzkiej Radzie Delegatów Robotniczych i Żołnierskich

25 października 1917 r., godz. 10 rano³⁹

120.

25 PAŹDZIERNIKA 1917 R.

– Pałac Zimowy jest otoczony, a „Aurora” rozpoczęła ostrzał.

Ten meldunek sprawia mi wyjątkową przyjemność. Stanowi pewne podsumowanie wszelkich dotychczasowych działań i jednoznaczne podkreślenie zbliżającego się zwycięstwa. A może nawet już osiągniętego.

– Towarzysze, czas przejść do konkretów – oznajmiam zebranym w niewielkiej salce Smolnego. – Należy wykonać kolejne dekrety, wszystkie są przygotowane zgodnie z powziętym planem.

Kiwam głową w stronę dokumentów ułożonych równo na stole. Trocki do niego podchodzi i przekłada kolejne strony.

– Zniesienie wolności prasy oraz wypowiedzi, ograniczenie zebrań oraz prawa do strajków. – Odchrząkuje i przenosi na mnie spojrzenie. – Przywrócenie plutonów

egzekucyjnych?

Wzruszam ramionami.

- Nie można robić rewolucji bez rozstrzelań zdrajców oraz tchórzy – stwierdzam.
- Ale kara śmierci dopiero co została zniesiona. To wywoła oburzenie.
- W takim razie oburzeni zostaną rozstrzelani.

Trocki gniewnie wzdycha i kręci głową. Wiem, że przyświecają mu szczytne idee, lecz bywa zbyt łagodny. Pięknie się wypowiada, jest elokwentny i ma charyzmę, lecz nie dość w nim gwałtownego ducha. Boncz-Brujewicz ostentacyjnie kładzie na stole pugilaresy z piórami.

- Dokumenty powinny zostać niezwłocznie podpisane – oznajmiam.
- Przede wszystkim ten delegalizujący Rząd Tymczasowy i powołujący Radę Komisarzy Ludowych – podsuwa jeden z delegatów. – To nie pozwoli nikomu na wykonanie kroku wstecz.

Doskonale rozumiem, co ten człowiek ma na myśli. Dziewięćdziesiąt procent przywódców rewolucji ma przygotowane schronienia oraz walizki. Dopuszczają możliwość ewakuowania się w każdej chwili. Podpisując kolejne dekryty, pozbawią się prawa azylu w wielu zachodnich państwach. A jeśli rewolucja upadnie, nie będą mieli gdzie się ukryć.

– Musimy rozpocząć szturm na Pałac Zimowy – zwracam się do Trockiego. – Powołanie Rady ogłosimy w chwili, gdy aresztujemy ministrów.

- Nasze oddziały są już gotowe.
- W takim razie wydajcie rozkaz. I jeszcze jedno – zniżam głos niemal do szeptu. – Ponoć pałacu strzeże żeński batalion, czy to prawda?

Trocki z zaciśniętymi ustami kiwa głową.

- Wobec tego pozwólcie siłom rewolucyjnym zrobić z nimi, co tylko zechcą – oznajmiam.
- Nie potrzebujecie do tego rozkazu na piśmie, prawda? Nawet kobiety muszą się bać sprzyjania kontrrewolucji⁴⁰.

W momencie, gdy wypowiadam te słowa, do pomieszczenia wchodzi dwóch bolszewickich delegatów. Zatrzymują się w progu i wymownie na mnie spoglądają.

– O co chodzi? – zwracam się zaintrygowany.

Widzę ich poważne, uroczyste miny.

121.

– W imieniu delegatów przygotowywanego II Zjazdu Rad chcieliśmy poinformować was, towarzyszu, że przedstawiona zostanie wam propozycja objęcia funkcji przewodniczącego Rady Komisarzy.

Chwilę trawię te słowa, wreszcie zakładam dłonie za plecy. Jak zwykle w podobnych momentach zaczynają mi drzeć. Wszystko zostało przygotowane tak, jak tego chciałem. Nawet ci ludzie zjawiają się dokładnie wtedy, kiedy powinni. Zebrani w pomieszczeniu słyszeli ich słowa. Nie ma znaczenia, że na Zjazd zaproszeni zostali delegaci z regionów o najwyższym stopniu poparcia dla bolszewizmu. Ze szczególną dbałością wykluczałem przedstawicieli wsi, która nadal opiera się rewolucji. Ale wieś prędzej czy później wymrze z głodu. Pod tym względem jestem bardzo cierpliwy.

– Nie sądzę, bym był właściwym człowiekiem do piastowania tej funkcji – stwierdzam skromnie. – Znacznie lepiej wykaże się towarzysz Trocki.

– Ależ...

Trocki spogląda na mnie zaskoczony. Ociera okulary i przeczesuje palcami włosy. Nie spodziewał się takiego obrotu wydarzeń. Jest jednak dość inteligentny, by zorientować się, że wszystko jest jedynie próbą jego lojalności.

– Towarzyszu Leninie... – Wyższy, starszy z delegatów międlu w dłoni czapkę, jakby stał przed królem. – Odpowiednie dokumenty zostały przygotowane.

– Powiem raz jeszcze, że moim zdaniem to towarzysz Trocki jest lepszym kandydatem.

Wbijam w Trockiego uważne spojrzenie i wyczekuję jego reakcji. W ten sam sposób postępują niemal wszyscy zebrani w pomieszczeniu. Nastaje chwila ciszy. Gdzieś w oddali rozlega się pojedynczy wystrzał, lecz nikt nie zwraca na niego uwagi. Nagle Trocki przestępuje z nogi na nogę i nerwowo się uśmiecha.

– To niemożliwe – odzywa się stanowczo. – Doceniam wasze poparcie, towarzyszu, ale w żadnej mierze nie mogę z wami rywalizować. W pełni zgadzam się, że jesteście twarzą tej zmiany oraz, że nikt inny nie może zostać przewodniczącym. Takie są prawa rewolucji.

– Prawa rewolucji? – pytam lekceważąco. – A cóż to jest?

Wkładam dłonie do kieszeni i robię kilka kroków w stronę delegatów. Zjazd ma odbyć się dopiero jutro, lecz wszystko powinno być z góry przygotowane. Tym razem nie może dojść do żadnych sporów, lecz musimy wykazać się całkowicie jednolitym stanowiskiem. Być może od tej jedności będzie zależało nasze przetrwanie.

„Przetrwanie rewolucji” – poprawiam się w myślach.

– Dobrze, niech tak będzie – oznajmiam. – Wezmę na siebie tę odpowiedzialność.

Kilka osób głośno odetchnęło. Ktoś cicho zabił brawo. Atmosfera gwałtownie się rozluźnia i nagle kolejni ze zgromadzonych składają mi gratulacje. Mimo to wiem, że główne wyzwanie dopiero przed nami. Obalenie Rządu Tymczasowego stanowiło tylko pierwszy krok ku całkowitej władzy. Drugim być może będzie wojna domowa z mienszewikami. Ich przywódcy nigdy nie uznają naszej rewolucji. Wiem, że ich reakcji należy spodziewać się lada godzina.

³⁷ Szacuje się, że liczba głodujących ocierała się o 40 milionów, nawet co piąty głodujący mógł umrzeć.

³⁸ W 1914 roku, w związku z wybuchem wojny Petersburg został przemianowany na Piotrogród. Jednak dla spójności tekstu oraz ze względu na fakt pozostawania dawnej nazwy w codziennym obiegu, zdecydowałem się na dalsze pozostawienie nazwy Petersburg.

³⁹ Odezwa Lenina wydrukowana na ulotkach oraz w gazetach porannych 25 października 1917 r.

⁴⁰ W trakcie szturm na Pałac Zimowy zgwałconych i zamordowanych zostało kilkanaście strażniczek z batalionu kobiecego.

122.

MOSKWA, 15 MARCA 1922 R.

Bóle głowy znów stają się nie do zniesienia, do tego od miesięcy dręczy mnie bezsenność. Naturalnymi tego konsekwencjami są nadzwyczajne rozdrażnienie oraz trudność ukrywania emocji. Nie zwracam nawet uwagi na drżenie dłoni.

– Głód w ogóle mnie nie interesuje! – krzyczę. – Cerkiew musi zostać pozbawiona przywilejów oraz majątku. Tylko w ten sposób będziemy mogli zakończyć rewolucję.

Dzierżyński gorliwie mi przytakuje. Jego twarz nie zdradza żadnych emocji, lecz w jego oczach błyszczy podniecenie.

– Pod soborem w Szui zebrało się już kilkadziesiąt osób. Co godzinę tłum się powiększa. Czy jesteście pewni, jak mamy działać?

– Należy bezwzględnie dotrzymać ostatecznego terminu wywłaszczenia sreber i naczyń liturgicznych – syczę. – Nie może być mowy o żadnym odstępstwie. Choćby protest mieszkańców miał zostać stłumiony siłą.

– On już jest tłumiony siłą.

Spoglądam na Dzierżyńskiego i marszczę czoło.

– Poza lokalną milicją z koszar wyruszyli żołnierze Armii Czerwonej – oznajmia.

– I nie mogą sobie poradzić z wiejską hulastrą?

– Chciałem otrzymać od was bezpośrednie pozwolenie.

– Na?

Kąciki ust Dzierżyńskiego drgają w delikatnym uśmiechu. Momentalnie jednak się oponowuje i na jego twarz powraca zwyczajowa maska.

– Użyjcie broni maszynowej – cedzę. – Rozstrzelajcie wszystkich protestujących. A tych, którzy uciekną, aresztujcie. Sądy rewolucyjne mają nie okazywać żadnej litości, zrozumiano? Chcę, aby plac przed tym cholernym soborem wypełniły szubienice.

– A duchowni?

– Ich powieście w pierwszej kolejności. Jeżeli nie będą szli z nami ramię w ramię, muszą zginąć. Ludzie muszą wybierać, czy zawierają dusze Bogu, czy rewolucji. – Robię wymowną pauzę, po czym dodaję: – Sądziłem, że głodni biedacy nie będą mieli dość siły, aby się modlić i protestować. Musimy zadbać, by porcje żywnościowe zostały jeszcze bardziej ograniczone.

Dzierżyński ponownie potakuje i wyraźnie zadowolony wychodzi. Tymczasem ja kulę się rażony kolejnym atakiem gwałtownego bólu głowy.

– Lekarza! – krzyczę w stronę pokoju sekretarza. – Wezwijcie do mnie lekarza!⁴¹

123.

– Co mi, do cholery, dolega?

– To zapewne w znacznej mierze przemęczenie, ale...

– Ale?

– Dopuszczam jeszcze jedną ewentualność, którą należy poważnie rozważyć.
– Mówicie, jakbym miał przygotować się na śmierć – parskam. – Jeśli się czegoś obawiacie, wiedzcie, że jestem na nią gotowy. Załatwiłem już większość spraw, w które wierzyłem, choć, prawdę mówiąc, chciałbym jeszcze pożyć.

Uśmiecham się niepewnie i smutno. Przepełnia mnie niepokój. Zdaje mi się, że łoskot mego serca niesie się echem po pokoju. Wstydzę się własnej słabości oraz lęku i chcę je zamaskować kpiarskim tonem.

– No to jak, pożyję jeszcze? O jakiej ewentualności mówiliście?

Lekarz przykładą palec do swojej szyi i delikatnie puka w nią opuszką.

– Kula. Wciąż tam jest.

– Lekarze nie chcieli jej wyjąć. Uznali, że to zbyt ryzykowne, a jej obecność nie stanowi bezpośredniego zagrożenia.

– Bezpośredniego nie. – Doktor wydyma usta i ciężko wdycha. Przypomina mi Żyda, który przed trzydziestu laty bezskutecznie leczył moją siostrę. Pamiętam jego twarz oraz ponure spojrzenie. Ten konował patrzy na mnie w taki sam sposób. – Kula zapewne ma ołowiany płaszcz, prawda?

– Jak większość kul. – Wzruszam ramionami i mrużę oczy. Ból głowy nadal nie ustąpił.

– Co z tego?

– Ołów to trucizna. Uwalnia się bardzo powoli, ale zatruwa organizm i potrafi doprowadzić do wielu schorzeń.

– Wiem o tym. Tylko...

Tylko nigdy o tym nie myślałem. Dlaczego? Czy podświadomość podsuwała mi myśl, że akurat mnie trucizna powinna ominąć? Że jestem bardziej odporny niż ktokolwiek inny? Doskonale wiem również, jakie schorzenia może wywołać zatrucie ołowiem.

– Towarzyszu... – Spoglądam w oczy lekarza, ale zaraz sam spuszczam wzrok. Nie potrafię skoncentrować spojrzenia. – Czy to nie są początki szaleństwa? Zatrucie ołowiem powoduje obłęd, prawda?

Lekarz bez słowa kiwa głową. Sięga do skórzanej torby i przez chwilę czegoś w niej szuka. Wreszcie wyciąga niewielką fiolkę z mętnym płynem.

– To może pomóc – oznajmia. – Ale operację należy przeprowadzić jak najszybciej. Zwłoka może mieć tragiczne konsekwencje.

Strach zaciska mi palce na gardle. Odkasłuję, chcąc zamaskować nerwowość. Operacja to ogromne ryzyko, a ja naprawdę nie chcę umierać.

⁴¹ Lenin wydał odrębną notatkę wzywającą do wydania jak największej liczby wyroków śmierci przeciw „buntownikom z Szuzi”.

CZTERY LATA WCZEŚNIEJ U WŁADZY

124.

– Przez jakiś czas się nie zobaczymy – oznajmiam. – Wybieram się na operację.

Żurnalista spogląda na mnie z zaintrygowaniem, ale o nic nie dopytuje.

– Wobec tego postaram się dziś dokończyć wam moją opowieść...

Na szczęście ból głowy zelżał i moje myśli zdają się dość klarowne. Mam nadzieję, że ten stan utrzyma się choć kilka godzin.

Rząd Kiereńskiego przygotował wybory do Zgromadzenia Konstytucyjnego na listopad. Myśl, że mogłyby się odbyć właśnie teraz, tuż po rewolucji, od początku wydawała mi się absurdalna. Podczas spotkania delegatów partyjnych namawiałem wszystkich do zarzucenia tego pomysłu. Potraktowano mnie jako despotę, któremu władza uderzyła do głowy.

„O nie, to nie władza” – powtarzam. – „To tylko świadomość tego, dokąd doszliśmy”.

Pozory demokracji oraz wolności jedynie dodają odwagi siłom kontrrewolucyjnym. Mienszewicy podkreślają ich złudność. Sami zrobiliby to samo, lecz teraz pieklą się, że zostali odstawieni na boczny tor. Być może już nigdy nie zdołają wrócić do głównego nurtu wydarzeń.

Mimo to w oczekiwaniu na wyniki wyborów chodzę w tę i z powrotem. Ich koncepcja była naprawdę chybiona.

– Powinniśmy pokazać, że nad wszystkim panujemy – cedzę. – Że wszystko zależy tylko od nas.

– Nie możemy podciąć gałęzi, na której siedzimy – mądrzy się Trocki.

– Waszym zdaniem ta gałąź to ludzie?

– A jak myślicie?

Parskam i nerwowo przesuwam notatnik. Mój sekretarz rozłożył na stole całą stertę korespondencji oraz przygotowanych przez rozmaite organy dokumentów. Dziś nie mam ochoty ich podpisywać. Czuję dziwny marazm i przygnębienie. Czy moglibyśmy zostać zatrzymani właśnie w takim momencie? I to w zasadzie sami przez siebie?

– A jeśli wokół nas są zdrajcy? – pytam półszepem.

– Co takiego? – Trocki spogląda na mnie z ukosa i lekko się uśmiecha. – Kogo macie na myśli?

– Ludzi, którzy mogli uprzedzić Rząd Tymczasowy o nadchodzącej rewolucji, dlatego właśnie wtedy zaplanowano wybory.

– Nie sądzę, by ktokolwiek mógł to przewidzieć.

Nic nie odpowiadam. Mnie wydaje się to całkiem możliwe. Ale jeśli to tylko paranoja? W momencie gdy przekładałam kolejne dokumenty, do pomieszczenia wchodzi Boncz-Brujewicz. Od razu widzę, że nie ma dobrych wieści. Zatrzymuje się w progu i ponuro zwiesza głowę.

– Zdaje się, że wybory wygrali eserowcy – oznajmia. – My jesteśmy na drugim miejscu.

Wściekle uderzam dłonią w stół. Zrzucam z niego część papierów i wyzywająco spoglądam na Trockiego. Czy to on mógł być zdrajcą?

Czy to on?

125.

LISTOPAD 1917 R.

– To już wszystko?

– Tak – zapewnia Boncz-Brujewicz.

Dochodzi północ, lecz wszyscy jesteście rozbudzeni. W siedzibie partii znaleźli się najważniejsi działacze oraz część delegatów. Na ogromnym stole leżą raporty oraz sprawozdania z poszczególnych komisji wyborczych. Bolszewicy zdecydowanie wygrali wybory w dużych miastach oraz w garnizonach wojskowych większości okręgów. Tereny uprzemysłowione również wykazują się sporą determinacją oraz świadomością.

– To nie jest demokracja – cedzę. – Nie w taki sposób... Lud nas nie zrozumiał. Gdyby masy chłopskie miały rozeznanie w naszym programie oraz sytuacji, z pewnością wzięłyby większy udział w wyborach. A eserowcy?!

Walę pięścią w stół i wściekle kręcę głową. Wciąż nie mogę się pogodzić z porażką, tym bardziej że nie mam wątpliwości, co było jej przyczyną. Zostaliśmy wrobieni.

– To nie jest do zaakceptowania.

– Macie jakiś pomysł? – pyta Dzierżyński. Stoi z rękoma założonymi na piersi i ramieniem wspartym o jedną ze ścian. Swoim zwyczajem spogląda na mnie nieco spode łba. – Co proponujecie?

Nie wiem. Na razie mam pustkę w głowie i czuję bezgraniczną wściekłość.

– A wy? – odpowiadam pytaniem na pytanie.

– Musimy być zdecydowani. Szczególnie teraz.

– Zdecydowanie to jedność – oznajmia Wanujew. – Może powinniśmy złagodzić stanowisko i nawiązać negocjacje z eserowcami oraz mienszewikami.

– Nigdy – warczę. – To niedopuszczalne.

– Widzicie inne wyjście? – Trocki mruży oczy i robi minę zbitego psa. Po chwili łagodzi wydzwięk swojej wypowiedzi. – Musimy działać w jakimś kierunku. Stojąc w miejscu, zostaniemy pokonani.

– Bla, bla, bla... – szepczę.

Wstaję od stołu i powoli przesuwam krzesło. Staram się panować nad emocjami. Bóle głowy znów powróciły i są coraz ostrzejsze. Do tego mam wrażenie, że płaczą mi się myśli. Jestem nadzwyczaj słaby, a serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Wiem, że to ode mnie zależy przyszłość partii, rewolucji oraz ludzi zgromadzonych w tym pomieszczeniu. Choć Trocki ma charyzmę, a Dzierżyński posłuch, zaden z nich nie będzie ze mną polemizował.

– Część Komitetu Centralnego grozi podaniem się do dymisji w razie podtrzymania dotychczasowego stanowiska – wtrąca Boncz-Brujewicz. – To również mogłoby pogłębić rozłamy...

– Przede wszystkim uszczupli nasze siły – dodaje Trocki.

Tego jest już za wiele. To jawne podważanie mojego zdania.

– Towarzyszu – szepczę gniewnie, łamiąc ołówki. – Wolę mieć stu wiernych przyjaciół niż tysiąc tchórzliwych popleczników. Rozumiecie?! Każdy z was okaże się tchórzem, jeśli będzie mnie namawiał do cofnięcia się choćby o krok. Postanowiliśmy nie odpuszczać, pamiętacie? Przyrzekliśmy to sobie i rewolucji. Miliony, które nam zaufały, wierzą w naszą determinację i odwagę! Banda tchórzów...

Wstrzymuję powietrze i staram się opanować. Chowam dłonie do kieszeni. Powoli powraca jasność myśli oraz świadomość sytuacji. Widzę zmęczone, stroskane twarze najbliższych towarzyszy. Nie, to nie są tchórze. Wiem o tym. Mimo to nagle wybucham gniewem.

– Nie takiej władzy chciałem! – krzyczę. – Rewolucją nie można się dzielić, bo to gorsze niż jej sprzedawanie. To kupczenie i unoszenie rąk w geście poddania! A ja nigdy, nigdy się nie poddam!

126.

GRUDZIEŃ 1917 R.

Zagrożenie strajkami oraz rozłamem partii zmusiły mnie do ustępstw. Musiałem dopuścić do rządu eserowców, co napawa mnie obrzydzeniem do samego siebie. Nie tak powinna wyglądać rewolucja. Od kilku dni nie potrafię wyrzucić z siebie tej myśli.

Jestem zdrajcą.

Poszedłem na ustępstwa.

Niszczę pamięć brata.

– Bzdury – szepczę sam do siebie. – Po prostu należy rozwiązać zgromadzenie i przeprowadzić ponowne wybory.

A wcześniej uświadomić społeczeństwo i rozpropagować program partii. To jedyna metoda. Nie można podążyć żadną inną drogą.

Chodzę wokół biurka i z nerwów wystukuję dłonią rytm o biodro. Układam w myślach fragmenty dekretów oraz ukazów. Jestem zdecydowany ponieść wszelkie konsekwencje działania, ale muszę skończyć z ustępstwami. Wyrzuty sumienia mnie zabijają. Jednym gestem można przekreślić trzydzieści lat życia. Muszę uważać.

Rozlega się pukanie i do gabinetu wchodzi Dzierżyński. Obrzuca mnie swoim chytrym spojrzeniem, po czym przestępuje z nogi na nogę.

– Towarzyszu... – odzywa się zamiast przywitania.

– O co chodzi?

– Na ulicach Petersburga gromadzą się zwolennicy Zgromadzenia Konstytucyjnego. Zdaje się, że poniosła się plotka o tym, że niby chcemy je znieść...

Słowo „plotka” Dzierżyński wymawia dziwnym, kpiącym tonem. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Ten człowiek mnie czasem przeraża. Mam wrażenie, jakby czytał mi w myślach i uprzedzał niektóre działania. Albo był samym Szatanem, który pobudza do podejmowania decyzji. Szatanem czy Bogiem? Odsuwam tę myśl i kiwam głową.

– Nie możemy do tego dopuścić – stwierdzam kategorycznie. – Zgadza się?

– Zdecydowanie.

– Czy mamy dość zaufanych ludzi?

– Tak.

– Czy dacie za nich głowę?

– Po trzykroć tak, towarzyszu.

– A więc dobrze.

Wyprostowuję się i spoglądam za okno.

– Zróbcie to, co uważacie za słuszne – radzę. – Użyjcie wszelkich środków, by wyeliminować jak najwięcej wrogów rewolucji. Wyeliminujcie ich wszystkich!

Dzierżyński bez słowa wychodzi.

127.

– Musimy pozbyć się Zgromadzenia – mówi Dzierżyński. – Inaczej zahamowany zostanie cały rewolucyjny postęp.

– Macie na to jakiś pomysł?

– Być może.

Dzierżyński mówi bez cienia uśmiechu, wpatrzony gdzieś w okno za mną. Rozmawiamy szeptem, gdy jesteśmy w gabinecie tylko we dwóch.

– Należy je zdyskredytować. Jeśli udowodnimy, że jest tworem kontrrewolucyjnym, utraci jakiegokolwiek powszechne poparcie. A wtedy będziemy mogli zrobić, co chcemy.

– Rozwiążemy je.

– To wy zdecydujecie, towarzyszu.

Kiwam głową i odruchowo zerkam w stronę drzwi. Przez chwilę milczę, wsłuchując się w ciszę. Z korytarza nie dobiega żaden szmer.

– Zaproponujemy, by nasi ludzie w Zgromadzeniu złożyli wniosek o ograniczenie części uprawnień. – Myślałem nad tym przez kilka dni i słowa Dzierżyńskiego wreszcie krystalizują cały plan. – Jeśli zostanie wyrażona zgoda, wówczas problem sam się rozwiąże. A w przeciwnym razie...

– Ogłosimy, że Zgromadzenie jest organem dyktatorskim, sprzecznym z duchem rewolucji – kończy za mnie Dzierżyński.

– Dokładnie.

Po raz kolejny wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. To najbardziej niebezpieczny człowiek w moim otoczeniu i wiem, że kiedyś powinienem się go pozbyć. Jednak na początkowym etapie rewolucji tacy ludzie są niezbędni. To Danton i Robespierre w jednym. Zasłuży na swoją gilotynę. A może nawet sam się na nią kiedyś zgłosi, dla dobra rewolucji.

– Śmiejecie się, towarzyszu? – pyta nagle.

– Nie, tylko o czymś pomyślałem. Dobrze to wymyśliśmy, czas wdrożyć słowa w życie.

128.

LISTOPAD 1917 R.

Joffe i Trocki siedzą naprzeciw mnie. Rozmowa jest ściśle tajna i nikt jej nie protokołuje. Szczególnie istotne jest to, aby nie pozostał po niej żaden ślad. Przygotowywałem się do niej, odkąd w eksterytorialnym składzie opuściłem Szwajcarię.

– Początkowo proponujemy kilkunastodniowe zawieszenie broni – oznajmiam, wypatrując reakcji.

Trocki marszczy czoło i uważnie mi się przygląda, po chwili odwraca wzrok. Tymczasem Joffe jedynie kiwa głową, jakby spodziewał się właśnie tego tematu.

– Podpiszemy układ o wstrzymaniu wojny z Niemcami oraz Austro-Węgrami. Musimy to zrobić delikatnie, aby nie wyglądało jak porażka.

– Będzie z tym problem, szczególnie biorąc pod uwagę, którądy przebiega linia frontu – wtrąca Trocki.

– Obawiam się, że za dwa miesiące mogłaby przebiegać już pod Petersburgiem. Potrzebujemy czasu na reorganizację armii oraz struktur dowodzenia.

– Za cenę porażki?

– Za cenę czasu – warczę. – To jedyne, czego potrzebujemy. Jeśli go zyskamy, za dwa lub trzy lata rewolucja rozleje się po całym kontynencie.

– Przynajmniej pod tym względem nie będziecie mieli szczególnej opozycji – zauważa Joffe. – Na Zjeździe Rad nie powinno być problemów z przyjęciem odpowiedniego aktu.

– Tyle że ich motywacja będzie całkowicie odmienna. To banda tchórzów.

Wzdycham i udaję bardziej wzburzonego, niż jestem w rzeczywistości. Od dawna przygotowywałem się do tej chwili i byłem przekonany, że będzie znacznie trudniej. Szykowałem się na ciężkie starcie, lecz nagle dociera do mnie, że faktycznie – przeforsowanie układu pokojowego może być łatwiejsze od stłumienia wewnętrznej opozycji.

– Pojedźcie do kwatery niemieckiego dowództwa w Brześciu Litewskim – zwracam się do Joffego. – Wszystko jest już przygotowane.

– Przez kogo?

To pytanie pozostawiam bez odpowiedzi. Lepiej, żebyśmy nawet nie zbaczali na ten temat. A może nawet lepiej, aby obaj uczestnicy tej rozmowy wyjechali na jakiś czas z Petersburga.

– Zresztą wy również tam pojedźcie – mówię do Trockiego. – Będziemy dzięki temu znacznie bardziej wiarygodni.

– Myślicie, że Niemcy w ogóle będą chcieli negocjować?

– Oni już negocjowali – odpowiadam mimowolnie.

Znacząco się uśmiecham i zbywam temat machnięciem ręki. Sięgam do szuflady biurka, dając do zrozumienia, że muszę zająć się pracą. Jeśli wszystko się uda, partia zyska niebawem nowe fundusze. A teraz potrzebujemy przede wszystkim spokoju z zewnątrz oraz pieniędzy. Resztę weźmiemy sobie sami⁴².

129.

LISTOPAD 1917 R.

Rewolucji od zawsze musiały towarzyszyć terror oraz rozlew krwi. Nie ma rewolucji bez przemocy, choćbyśmy się nią wszyscy brzydździ. Niestety historia nam pokazuje, że nie istnieją pokojowe sposoby trwałego obalenia reżimów oraz przejęcia władzy. Ofiary po obu stronach wyściełają bruk, na którym niczym na użyźnionej ziemi wzrasta nasienie odrodzenia.

Poza tym państwo, jako twór z założenia opresyjny, musi stosować przemoc. Istotą jest perspektywa owej przemocy oraz to, na kogo oddziałuje po ziszczeniu się rewolucji. Dotychczas kilku bogaczy ciemniły ogromne masy proletariacko-chłopskie, lecz my położyliśmy temu kres. Po nocy nastaje dzień. Teraz przemoc będzie nadal stosowana, nie wyrzekniemy się jej.

Jednak przemoc rewolucyjna skieruje ostrze miecza przeciw bogaczom i burżujom. Przywróci godność rabowanym oraz wyzyskiwanym. Przemoc będzie czyniona w interesie ludu, a nie przeciw niemu.

Dlatego za żadną cenę nie możemy zawiesić kary śmierci. Jak już wielokrotnie mówiłem, bez egzekucji nie ma rewolucji. Taka jest święta prawda oraz zasada, którą potwierdza historia. Nie może być pobbłażania. Strach i terror są lepszymi argumentami niż słowa. Groźba zawiśnięcia na stryczku przekonuje mocniej niż racje ekonomiczne. Rewolucja pozbawiona kary śmierci jest niczym szermierz z wytrąconą szpadą. Pozostaje całkownie odsłonięty i niezdatny do wyprowadzenia kolejnego ciosu.

Choć wydaje się, że zwycięstwo jest naprawdę blisko, a może już nawet znalazło się w naszych rękach, musimy być czujni. Wróg czeka. Kontrrewolucja wciąż się tli w sercach burżuazji i imperialistów.

Dlatego powstanie Wszecchrosyjska Komisja Nadzwyczajna przy Radzie Komisarzy Ludowych do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem. Na jej zwierzchnika wysuwam kandydaturę towarzysza Dzierżyńskiego.

Pamiętajcie, towarzysze, od dzisiaj dobry komunista jest również czekistą!⁴³

Kiedy wypowiadał te słowa, muszę oprzeć się o stojący przede mną pulpit. Nagle zaczyna kręcić mi się w głowie i opadam z sił. Mam wrażenie, jakby nogi odmówiły mi posłuszeństwa, a myśli rozpraszały się, ledwie odnotowując powszechny aplauz.

130.

FINLANDIA, GRUDZIEŃ 1917 R.

Wspomnienie wygłoszonego przemówienia nagle zaczyna się rozwiewać. Uświadamiam sobie, że nie było snem ani mirażem, lecz fragmentem niezbyt odległej przeszłości. Z dziwnego, na poły kateleptycznego stanu wrywa mnie gwizd lokomotywy.

– Spałeś?

Nadia uważnie się mi przypatruje. Mam wrażenie, jakbym widział jej twarz po raz pierwszy od długiego czasu. Jest obrzmiała i poznaczona głębokimi zmarszczkami. Zmieniła się, odkąd zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Tak jak i moja.

– Towarzyszyłaś mi niemal przez całe życie – mówię łagodnie. – Wytrzymałaś to wszystko.

– Nadal wytrzymuję. – Stara się uśmiecnąć, lecz ton mojego głosu wyraźnie ją niepokoi.

– Dziękuję.

– Mówisz, jakbyś miał zaraz umrzeć.

Wzruszam ramionami. Po serii ataków lekarz nakazał mi kilkudniowy pobyt w sanatorium w Halie. Planowałem oderwać się tam od wszelkich obowiązków oraz napięcia panującego w Petersburgu. Po ogłoszeniu dekretu ograniczającego wolność prasy znowu zaczęły się wewnętrzne tarcia. W reakcji na to zdecydowałem, by Rada Komisarzy Ludowych zniósła przedrewolucyjny system prawny. Dopiero co utworzone trybunały rewolucyjne mają za zadanie natychmiastowo i sprawnie sędzić wszelkich wrogów bolszewizmu.

– Skończyliście z nim – stwierdzam zamyślony. – Raz na zawsze.

– Z? – Nadia kładzie dłoń na moim kolanie i mruży oczy. – Co się dzieje?

– Skończyliśmy z dawnym systemem. I z cholerną chrześcijańską sprawiedliwością.

– O czym ty mówisz?

Uśmiecham się, przyglądając pokrytym śniegiem fińskim równinom za oknem. Zawsze lubiłem ten kojący wzrok rozległy krajobraz. Nie potrafił go oddać żaden rosyjski malarz. Może dlatego, że rosyjscy pejzażyści niedostatecznie rozumieli koncepcję wolności.

– Teraz liczy się jedynie socjalistyczne poczucie sprawiedliwości. Rozumiesz?

Odwracam się do Nadii i spoglądam jej w oczy.

– Sądy ludowe pilnie zajmą się zdrajcami. Prawo obowiązujące przed rewolucją musi być lekceważone, a jedynym celem powinno być ostateczne zniesienie burżuazji oraz imperialistów... Skończymy z nimi. Zetrzemy ich w pył, zlikwidujemy co do jednego, a potem przyjdzie czas na resztę. Nie możemy mieć żadnych oporów bez względu na historię. A może nawet przede wszystkim z jej powodu...

Nadia dotyka mojej skroni, a ja nagle się wzdrygam. Milknę, przerywając słowotok. Czuję się, jakbym się ocknął z nieprzyjemnego snu.

– Przepraszam – szepczę. – Naprawdę muszę odpocząć⁴⁴.

131.

STYCZEŃ 1918 R.

Fritz Platten klepie mnie poufale po ramieniu. Siedzimy na tylnej kanapie mojej limuzyny, pogrążeni w rozmowie. Platten współpracował z owym blondynem, który pomógł mi opuścić Szwajcarię. To właściwie jemu zawdzięczam eksterytorialność pociągu. Rozmowa jest płynna i sympatyczna. Cenię tego inteligentnego, czytanego człowieka. Nie zgadzam się z częścią jego poglądów, lecz stanowią one dobry punkt wyjścia do debat. Spieramy się, ale to spory konstruktywne, o które dziś bardzo trudno.

Po kilkudniowym odpoczynku w Finlandii znów nabrałem sił i jestem gotów do wytężonej pracy. Platten ma stanowić kolejne ogniwo łańcucha negocjacyjnego z państwami centralnymi. Ma liczne kontakty, a także legitymację cesarskiego wywiadu. Kilukrotnie zastanawiałem się, czy w większej mierze jest komunistą, czy spiskowcem, ale nie potrafię go jednoznacznie przejrzeć. To zresztą bez znaczenia.

– Musimy wypracować kompromis – ciągnę swój wywód. – Tak by nikt nie uznał rozejmu za porażkę.

Powtarzam słowa Trockiego lub Dzierżyńskiego, już sam nie pamiętam. Platten przeciąga dłońią po gładko ogolonych policzkach i delikatnie się uśmiecha.

– To kwestia ustępstw oraz pieniędzy – odzywa się po chwili. – Rozumiecie, o czym mówię?

– Sądzę, że tak.

– Otrzymaliście już kilka milionów marek oraz depozyt złota. Czas na waszą zapłatę. Macie władzę w swoich rękach, więc możecie robić, co chcecie.

– To nie takie proste. Rewolucja nie oznacza tyranii. A właściwie nawet ją wyklucza.

– Mimo to macie swoje argumenty, prawda?

– Aby je przedstawić, muszę również pokazać dobrą wolę Niemców – ripostuję. – Nie mogę przecież wspomnieć o pożyczkach.

Platten wzrusza ramionami. Zaintrygowany obserwuje ulice Petersburga, przez co czuję pewien wstyd. Chciałbym, aby to miasto wyglądało teraz piękniej niż metropolie Zachodu. Tymczasem widać ubóstwo i biedę. Niestety rewolucja na pewnym etapie zawsze się z nimi wiąże. Aby wykonać daleki skok, należy zrobić czasem krok w tył. To trafna metafora.

– Myślę, że powinniśmy...

Platten nie kończy. Nagle rozlega się huk, mój towarzysz obraca się, zasłaniając mnie swoim ciałem, a kierowca gwałtownie skręca. Słyszę trzy lub cztery wystrzały, po czym na ulicy rozlega się tumult.

– Szlag!

Zatrzymujemy się i spoglądam na bladą twarz Plattena. Unosi zakrwawioną dłoń, ale zdaje się, że poza nią nie został nigdzie ranny. Oddycha szybko, lecz regularnie. Staram się błyskawicznie pojąć, co się stało, i widzę strzaskane okno oraz kilka dziur w boku auta. Kierowca chwyta rewolwer, lecz jednocześnie gwałtownie rusza. Oceniał sytuację i najwyraźniej uznał, że tak będzie najbezpieczniej.

– Zasłoniłście mnie swoim ciałem... – szepczę drżącym głosem. – To... To...

Platten, patrząc na mnie wybałuszonymi oczami, ociera krew z dłoni. Jest w szoku.

– Strzelano do was! – krzyczy. – Strzelano!

– Nie. – Kręcę ponuro głową. Powoli się opanowuję i zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. – Nikt nie wiedział, że w tym samochodzie jest Lenin. Strzelano ot tak... Oto jakie czasy nastały w Petersburgu.

132.

7 STYCZNIA 1918 R.

– Nasza propozycja względem Niemiec powinna być całkowicie klarowna – zwracam się do Dzierżyńskiego. – Zawieramy pokój, ale bez zrzeczenia się jakiegokolwiek części terytorium. Tego Rosjanie nam by nie wybaczyli.

– Myślicie, że Niemcy się na to zgodzą? Gdy front przebiega właśnie tu, gdzie teraz, a nasza armia jest w kompletnie rozsypce?

– Nakazałem Trockiemu podkreślać naszą wiarę w prawo narodów do samostanowienia i określenia granic terytorialnych. Polacy i Litwini domagają się niepodległości.

– I mogliśmy im ją dać rękami Niemców?

Wzdycham. Właśnie tego bym pragnął, ale szczerze wątpię w taki rozwój wydarzeń. Mimo że Trocki był optymistą, nie przekonały mnie jego argumenty. A raczej to, że my nie mamy żadnych. Ani siłowych, ani politycznych. Na ich wypracowanie potrzebujemy czasu.

– Spóźnia się. – Wzdycham po raz kolejny.

Trocki miał przybyć do Petersburga już godzinę temu. Otrzymałem notkę, że rozmowy w Brześciu Litewskim zostały definitywnie zakończone, lecz ich rezultaty pragnie przedstawić mi ustnie. Jak zwykle jest przesadnie ostrożny i woli nie zdawać się na szyfrogramy. Zresztą materia prowadzonych rozmów jest zbyt delikatna, by ryzykować. Gdyby szczegóły pertraktacji wyciekły, nasi przeciwnicy zyskaliby nie tylko argumenty, ale również dowody.

– Wystarczy odłożyć podpisanie układu pokojowego – stwierdzam, zerkając na zegarek.

– Najpierw o miesiąc, potem o pół roku i rok. Ogólnoeuropejska rewolucja musi wybuchnąć w najbliższym czasie. Będzie reakcją na wielką wojnę oraz wyzysk...

– Sami wiecie, jak długo zajęło nam znalezienie się tu, gdzie jesteśmy. – Dzierżyński jest wyraźnie sceptyczny. – Zachodnia Europa tkwi teraz w roku dziewięćset piątym. Ich społeczeństwa, mimo wojny, nie są gotowe do rewolucji. Poza tym...

Dzierżyński przerywa. Rozlega się pukanie, strażnik otwiera drzwi i do gabinetu ciężkim krokiem wchodzi Trocki. Ma potargane włosy i dziki wzrok. Od razu wyczuwam

kłopoty.

– Niemcy dali nam ultimatum – odzywa się bez przywitania. – Mamy wybór uznać ich roszczenia terytorialne albo zaatakują nas wszystkimi siłami.

133.

8 STYCZNIA 1918 R.

– Straty terytorialne są akceptowalne, jeżeli stanowią jedyną możliwą przesłankę utrzymania rewolucji. Musimy to zrozumieć i przełknąć, choć zapewne niektórzy z was poczytają to za hańbę. Schowajcie dumę do kieszeni, myśląc o przyszłości. Zwycięstwo wymaga wyrzeczeń, a przecież prawo do samostanowienia uznaliśmy za przyrodzone wszelkim narodom.

Zwracam się do Wszechrosyjskiego Zjazdu Rad, lecz na twarzach zgromadzonych widzę niezadowolenie. Sam również nie jestem przekonany i zdaję sobie sprawę, że to słyhać. Jednak po bezsennej nocy nie widzę innego wyjścia. Pokój z Niemcami musi być zawarty. Nie tylko ze względów strategicznych, lecz również po to, by rewolucja została wsparta funduszami. O tym jednak nie mogę teraz powiedzieć. Interesy Niemiec i Rosji zostały połączone na całe dekady, choć ludzie nie będą sobie z tego zdawać sprawy. To największy sekret.

Po moim wystąpieniu następuje seria przemówień delegatów. Żaden z nich nie akceptuje ustępstw wobec kajzera. Gdyby tylko znali prawdziwe podłoże zwycięstwa rewolucji...

Zrezygnowany kieruję się do wyjścia. Dumne, wyzywające spojrzenia zebranych zamieniają się w spojrzenia pełne współczucia. Kogo widzą? Zrezygnowanego wodza? Upadłego przywódcę?

Nie. Jeśli tak myślą, to się mylą. Ja nigdy nie zrezygnuję z walki, choć znów nastają ciężkie czasy. Jednocześnie przecież nigdy dotąd nie byliśmy tak daleko. Nie osiągnęliśmy tak wiele.

I tak wiele możemy utracić...

Skinieniem dłoni przywołuję Dzierżyńskiego. Natychmiast do mnie podchodzi i w otoczeniu ochrony opuszczamy budynek.

– Musimy zmodernizować armię – szepczę. – Jeśli mamy walczyć z Niemcami, nasi żołnierze muszą woleć zginąć niż się cofnąć. To bezzwzględnie istotne.

– Zgadzam się, towarzyszu. Czy...

Tak. Kiwam głową. Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, choć były to jedynie mgliste fantazje.

– Natychmiast powołajcie komisarzy politycznych – nakazuję. – Jeśli jakakolwiek jednostka zechce się cofnąć, dam im prawo dokonywania bezzwłocznego osądu oraz rozstrzelania dezertersów. Niemcy będą musieli iść po trupach. Niech się po nich czołgają i na nie padają, ale wreszcie wybiją sobie o te trupy zęby. Ani kroku wstecz!

134.

18 LUTEGO 1918 R.

Mimo odrzucenia niemieckiego ultimatum przez Komitet Centralny walki nie zostały jeszcze wznowione. Niektórzy wyciągają z tego optymistyczne wnioski, moim zdaniem to tylko cisza przed burzą. Powinniśmy tymczasowo ulec. To pozwoliłoby na uzyskanie czasu, a także odbudowało moją pozycję w układach. Obecnie moje kontakty ograniczają się do lakonicznych, szyfrowanych depeš. Ustało jakiekolwiek niemieckie wsparcie dla rewolucji. Wobec wyczerpujących się funduszy coraz trudniej prowadzić działalność propagandową oraz zarządzać budżetem.

Po całonocnym opracowywaniu zmian programowych partii pieką mnie oczy i bolą mięśnie. Rozciągam się, lecz to nic nie pomaga. Jestem coraz starszy. Ostatnio znów rozumiem, dlaczego bliscy nazywają mnie „Staruszkiem”. Niegdyś bezsenne noce w ogóle mnie nie męczyły, stanowiąc niemal rutynę. Dziś jestem wyczerpany.

Poprawiam ołówki i składam brulion. Jak zwykle po wykonanej pracy starannie uprzętam biurko. Z biegiem lat staje się to wręcz obsesją. Drżą mi dłonie, a w klatce piersiowej czuję nieprzyjemny, ostry ucisk.

Zerkam na stary kolejowy zegarek, który kupiłem w Szwajcarii. Wskazuje szóstą czterdzieści. Na dworze panuje półmrok, lecz słyhać już odgłosy rodzącego się dnia. Z korytarza dobiega mnie dźwięk szybkich, nierównych kroków. Od razu je poznaję.

Gdy tylko po pukaniu drzwi się otwierają, nie odwracając się, witam mojego gościa.

– Towarzyszu Trocki, co was sprowadza?

Trocki odchrząkuje i zatrzymuje się w progu.

– Niemcy wznowili ofensywę – obwieszcza drżącym głosem. – Armia kajzera wkroczyła do Dyneburga i kieruje się ku Petersburgowi.

– Kiedy?

– Co macie na myśli, towarzyszu?

Odwracam się do Trockiego i przez chwilę się mu przyglądam. Jestem zmęczony, a nic z tego, co powiedział, w ogóle mnie nie zaskakuje. Byłem na to przygotowany. Informacje przyjmuję z całkowitą obojętnością, jakby fakt, że obciążają sumienia kogo innego, mógł mnie uspokoić.

– Kiedy dotrą do stolicy? – pytam chłodno. – Jak wiele mamy czasu na ewakuację?

– Chcecie się ewakuować?

Kręcę głową.

– Myślę, że ja jeden zostanę. Ale cały tłum towarzyszy będzie chciał szybko opuścić miasto...

Trocki ponuro wzdycha.

– Zostało im co najwyżej pięćset kilometrów – oznajmia. – Teraz zapewne już mniej. Posuwają się w błyskawicznym tempie.

135.

MOSKWA, MARZEC 1918 R.

Spoglądam na ogromny kompleks Kremla i przechodzi mnie dreszcz. Zespół budowli, który przytłacza, a zarazem napawa nieokreśloną dumą.

– Chcieliśmy zniszczyć tę historię? – zwracam się do Trockiego. – Czy coś mi się miesza?

– To ohydna spuścizna imperialistów.

– Nie. Nie rozumiecie.

Odwracam się do Nadii, która przygląda się kolejnym budynkom z podziwem oraz zadumą. Marszczy czoło i od czasu do czasu kiwa głową, jakby zgadzała się z jakimiś myślami. Chwytam ją pod rękę, lecz woli iść sama. Pewne chwile należy przeżywać w samotności, mimo że obok siebie mamy osoby, które się kocha.

– Teraz to my jesteśmy historią – szepczę do Trockiego. – Ale to jest znacznie mniej istotne od tego, że musimy spoglądać w przyszłość.

– Dlatego oficjalną siedzibą władz pozostaje Petersburg?

Trocki mówi to z pewnym przekąsem, lecz lekceważę ten ton. Opuszczając Petersburg, wydałem notatkę obwieszczającą, że to jedynie działanie tymczasowe. Moskwa nie zostanie nową-starą stolicą. To kwestia strategiczna oraz propagandowa. Choć wobec zagrożenia miasta niemieckim szturmem, głupotą byłoby ryzykować upadkiem rządu. Honor oraz ideały są na tyle giętkie, że można je dopasowywać do okoliczności. Czasem nieustępliwość oraz upór to po prostu szaleństwo. Nie jesteśmy ludźmi szalonymi. Etap opętańczego rewolucyjnego zrywu został zakończony i przyszłość należy budować na stabilnym fundamencie rozsądku. Właśnie ten etap rewolucji zdaniem Marksa jest najtrudniejszy.

– Nie uciekliśmy, lecz się przenieśliśmy – ciągnę. – Musimy zapewnić trwanie rządu w najgorszych czasach. Bez względu na wszystko.

Trocki się nie odzywa. Podąża za Nadią, otoczony przez kilku naszych ochroniarzy. Byli gwardziści, którzy przybrali nowe mundury, nie wiedzą, czy powinni nam salutować. Przez kilkadziesiąt metrów podążamy w milczeniu, niemal w żałobnym kondukcie. Co żegnamy? A może kogo?

– Zamieszkamy w Pałacu Senackim – oznajmiam tak, by słyszeli mnie wszyscy wokół. – Niech zostaną tam również przygotowane pomieszczenia dla Rady Komisarzy Ludowych. Musimy zabrać się do pracy.

Mówię to tylko po to, by oderwać myśli od palącego mnie od środka wstydu.

136.

Zerwanie sojuszu z ententą, całkowite zakończenie działań wojennych oraz uznanie niemieckich roszczeń terytorialnych do Królestwa Polskiego, Łotwy, Litwy, Estonii i Finlandii. Rozwiązanie armii oraz nawiązanie rozmów pokojowych z Ukrainą. Do tego reparacje wojenne w nieustalonej jeszcze kwocie...

To kompletna klęska. Utracimy niemal ćwierć populacji oraz ponad jedną trzecią najlepszych ziem rolnych. Kolej, żelazo, przemysł. Tracimy ogromne zasoby oraz potencjał. Moi niemieccy towarzysze nie podejmują żadnych rozmów. Skończyły się jakiegokolwiek negocjacje oraz wymiana szyfrowanych depeesz. Nie ma już mowy o finansowaniu rewolucji. Skoro okazaliśmy się wyrodnym, wrogim tworem, kajzer postanowił nas znieść. W ciągu dwóch tygodni ofensywy wojska niemieckie zbliżyły się na nieco ponad sto kilometrów do Petersburga. W ciągu tygodnia mogłyby opanować miasto i zakończyć rządy bolszewizmu.

To nie jest moja wina. Gdyby negocjacje pokojowe prowadzono zgodnie z moimi postulatami, zawieszenie broni już dawno zamieniłoby się we wzajemną neutralność. Musielibyśmy oddać kilkukrotnie mniej niż teraz. Być może nadal byłibyśmy finansowani, a moja pozycja zostałaby utrzymana.

Boję się, że utraciłem wiarygodność. Być może w ogóle jej teraz nie potrzebuję, lecz mam mocne poczucie, że po raz kolejny się nie myliłem. Należało jedynie mnie wysłuchać.

– Nie podpiszę tego... – cedzę, choć w gabinecie jestem sam. – Nie mogę tego podpisać... Moje nazwisko nie może przejść do historii na tak haniebnym dokumencie.

Wiem, że mógłbym wszystko usprawiedliwić ideałami wiary w samostanowienie narodów, w pacyfizm oraz neutralność, w socjalistyczny humanizm i wieczystą sprawiedliwość, ale co z tego zostanie za pięćdziesiąt lub sto lat? Mój podpis pod haniebnym traktatem. Reszta to frazesy.

– Nie, nie podpiszę go...

Joffe i Trocki również odmówili sygnowania takich warunków. To czysty obłęd. Najistotniejszy dokument ostatnich kilkuset lat podpiszą drugorzędni działacze. Sokolnikow i Cziczerin. O ile ten drugi w ogóle się zgodzi.

Poczucie klęski jest przytłaczające. A jednak zrobię wszystko, by formalnie nie brać w niej udziału. Nie mogę przejść tak do historii.

137.

LIPIEC 1918 R.

Republika Rosyjska przestaje istnieć. Na mocy nowej konstytucji powstaje Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka. Koniec z socjaldemokracją. Partia formalnie zyskuje miano Rosyjskiej Komunistycznej. To niezbędne. Musimy ostatecznie zerwać z jakimikolwiek nawiązaniem do niemieckiej socjaldemokracji. Niemcy nas zdradzili. Mimo wszelkich zapewnień doprowadzono do upokarzającego traktatu pokojowego, który wywołał sprzeciw społeczny. Musimy sobie z nim poradzić, jednocześnie całkowicie przynajmniej się do odpowiedzialności.

Sześciu ministrów podało się do dymisji, choć formalnie nadal pełnią swoje urzędy. To zbyt wierni działacze, aby się ich pozbyć. Naturalnym postępowaniem rewolucji staje się jej zakorzenienie. Struktury muszą się scalić i umocnić władzę. Wszelkie zmiany mogą się wydawać jedynie teoretyczne, ale w tym wypadku teoria ma przekucie na praktykę.

– Dość z jakimikolwiek paktowaniami – kwituję posiedzenie Rady Komisarzy. – Dość z ustępstwami wobec Niemiec oraz polityką uległości. Sytuacja na froncie pozwala nam ponownie obrać bardziej stanowczy kurs. Od dziś nie będziemy spłacać żadnych zagranicznych pożyczek ani dawnych długów. Rozpoczynamy całkowicie nowy etap przebudowy kraju.

Moje słowa zostają przyjęte z satysfakcją. Jednocześnie pozyskane fundusze muszą zostać przekazane na cele rewolucyjne. Przejęte majątki burżuazji oraz dawnych popleczników władzy utworzą oddzielny budżet.

– Zakończymy dyktaturę kajzera – ciągnę. – Jesteśmy to winni naszym niemieckim towarzyszom. Wesprzemy działalność partii oraz wszelkie ruchy rewolucyjne. Cesarz upadnie tak samo jak car. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Nie dodaję, że uczynimy to tymi samymi środkami, które wsparły działania bolszewików. Niemcy sami wyhodowali ruch, który zetrze ich reżim w proch.

– Następnie będziemy mogli podążyć dalej, przez Francję i Brytanię aż po Ocean Atlantycki. Aż do ostatecznego zwycięstwa idei.

Rozlegają się oklaski i głosy aprobaty. Wymieniam porozumiewawcze spojrzenia z Dzierżyńskim. Jego służby będą musiały wzmóc wysiłki, aby odzyskać całkowity spokój w państwie. Jeśli będzie trzeba, zrobimy to mordem i gwałtem. Kryzysy potrzebują ofiar. Postęp wymaga poświęceń.

138.

Spoglądam na rząd długich baraków oraz zabudowań. Drewniane chaty ciągną się aż po horyzont, przetykane wieżyczkami strażniczymi. Jedynymi większymi budynkami są warsztaty oraz wartownia.

– Pomięści się tu pięć tysięcy osób – oznajmia towarzysz nadzorujący budowę. – Jeśli zechcecie, nawet trzy razy tyle. W każdym z baraków są cztery dwupiętrowe łóżka. W każdym z nich może spać sześć osób.

– Sześć osób w jednym łóżku?

– Osiem też da radę.

Z aprobatą kiwam głową. Zaskakuje mnie zaangażowanie tego niskiego, siwego człowieka z szerokim, czerwonym nosem. Mężczyzna staje tuż obok mnie i rozwija wielki plan.

– Spójrzcie – zwraca się do mnie serdecznym, energicznym głosem. – Jeśli będzie potrzeba, teren obozu można powiększyć trzy-, a nawet czterokrotnie. Problemem mogą być rampy komunikacyjne, ale w przyszłym miesiącu zaczniemy budowę bocznic.

– Bocznicą kolejową? – Tego mi nie powiedziano. – Z całkowicie odrębnymi torami?

– Dla wygody. To pomysł towarzysza Dzierżyńskiego.

– Skąd mają kursować składy?

– Będzie je można przekierować z dowolnego miejsca. Do obozu prowadzi odrębne trzydzieści kilometrów torów.

Z uznaniem kiwam głową. Bez słowa ruszam błotnistą ścieżką w stronę kawałka odsłoniętego terenu. Jest ogrodzony i zasadzono przy nim szpaler drzew. Ciepły, suchy wiatr nosi tu pył z terenu budowy. Po chwili czuję, że oblepia mi włosy i zgrzyta między zębami.

Odwracam się i machnięciem dłoni przywołuję nadzorcę. Mężczyzna drobnymi kroczkami natychmiast znajduje się tuż przy mnie. Ochroniarze obrzucają go nieufnymi spojrzeniami.

– Po co ta przestrzeń? – dopytuję. – Dlaczego nic tu nie jest wznoszone?

– W tym miejscu wydzieliśmy cmentarz.

– Cmentarz – powtarzam po nim. – No tak...

Zaintrygowany jeszcze raz przypatruję się pustej przestrzeni. Myślę o szeregach mogił kontrrewolucjonistów i mimowolnie się uśmiecham. To prawdziwa miara zwycięstwa. Liczba grobów oraz złożonych w nich ciał zdrajców.

Odwracam się do obdartusa i poklepuję go po ramieniu. Z radością spoglądam mu prosto w oczy.

– Świetnie sobie radzicie – szepczę. – Wykonujecie kawał niezwykle ważnej roboty, za którą Rosja Radziecka będzie wam wdzięczna.

Zawracam w stronę limuzyny i wciąż się uśmiecham.

– Groby wrogów... – powtarzam pod nosem.

139.

Myśl o cmentarzach, które wypełnią groby przeciwników rewolucji, zaprzęta moją głowę od kilku dni. Mimowolnie do niej powracam. Kieruję się ku niej i delektuję się nią.

Wrogowie zostali wreszcie wyraźnie nakreśleni. Niektórzy z nich ujawniają się sami po wprowadzeniu kolejnych reform. Ogłaszamy je jedna po drugiej, nie zważając na żadne protesty. Te pokazują nam zdrajców.

Wszelkie grunty rolne zostały przekazane rosyjskim masom chłopskim. Znacjonalizowano przemysł oraz handel. Zmodernizowaliśmy sposób funkcjonowania uniwersytetów oraz udostępniliśmy je na preferencyjnych warunkach proletariatom.

– Obalcie wszystkie pomniki oraz rzeźby, które mogą kojarzyć się z caratem – nakazuję ministrowi. – Musimy tworzyć własną historię oraz świadomość społeczną.

– Aby ją tworzyć, nie możemy tylko niszczyć. Musimy wznosić.

– Owszem.

Przechodzę do biurka i otwieram jedną z szuflad. Wyjmuję z niej kartkę ze szkicem nakreślonym przez uznanego architekta. Mniejsza z tym, że ów architekt budował pałace dla rodziny carskiej.

– Spójrzcie.

Podaję kartkę i minister uważnie się jej przygląda.

– Chcę, by ten pomnik został odsłonięty w rocznicę rewolucji na placu Czerwonym – stwierdzam. – Jak wam się podoba?

– Marks oraz Engels...

– Coś nie tak?

– Nie wolicie, by uwieczniono was samych?

Przygryzam wargę i zerkam na ministra spode łba. Przez chwilę zastanawiam się, czy w jego głosie nie wybrzmiewał sarkazm. Wydaje się jednak, że ten człowiek jest całkowicie poważny. Spogląda na mnie potulnie i służalczo.

– Nie – rzucam ostro. – Moje działania osądzą kolejne pokolenia. Moim obowiązkiem jest oddawać hołd tym, co byli przede mną.

– Marks i Engels... – powtarza minister.

„Mój brat Sasza” – myślę, po czym w duchu dodaję: – „I rodzice”.

140.

– Jak to nie możecie pozyskać właściwych racji żywności?

Towarzysz Wintiuk bezradnie rozkłada ręce. To krępy, niezgrabny mężczyzna o niskim czole i szeroko rozstawionych oczach. Porusza się z delikatnością słonia w składzie porcelany, a do tego kuśtyka na lewą nogę. Oficjalnie twierdzi, że to na skutek rany odniesionej w trakcie napadu na kasę carską, jednak w rzeczywistości cierpi na podagrę.

– Chłopi nie chcą ich oddawać. Twierdzą, że nie mają wystarczających zasobów.

– Nie mają? – dopytuję z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że mają. Zbiory nie są przesadnie udane, ale nie ma mowy o klęsce nieurodzaju.

– Wobec tego dlaczego nie zostali zmuszeni? Nie boją się nas?

– Otrzymaliśmy wsparcie wojska oraz prawo rekwizycji po przeszukaniu.

– I?

– Zboże jest ukrywane coraz starannie. Znajdujemy je nawet daleko poza wsiami.

– Psia mać – klnę. – To wszystko wina diabelnych kułaków oraz właścicieli latyfundiów! Ciągle nie załatwiłem ich sprawy.

Wintiuk wzdycha i zagryza usta. Spogląda na mnie małymi, nieco wytrzeszczonymi oczami. Zaciera ręce, po czym nieśmiało się odzywa.

– Jako punkt wyjścia należy przeprowadzić kilka pokazowych akcji – oznajmia. – W paru regionach już przyniosło to efekty, ale brak nam ogólnokrajowego aktu. Nie chcemy zostać oskarżeni o działanie sprzeczne z prawem albo duchem rewolucji.

– Działacie właściwie – mruczę. – Czego wam potrzeba?

– Aktu Rady Komisarzy Ludowych.

Kiwam głową i z rękoma założonymi za plecami przechadzam się po gabinecie. Wiem, że nie wszyscy są gotowi na ostateczne uderzenie w kułaków. W ostatnim czasie wzrosły obawy o utratę zaufania mas chłopskich, ale przecież żaden chłop nie popiera wielkorolnych magnatów. Ci ostatni spadkobiercy przeszłego systemu są cierniem w oku. Wielu towarzyszy uważa, że powinniśmy obchodzić się z nimi szczególnie delikatnie. Nie zgadzam się z tym, a teraz mam ku temu kolejny argument.

– W niektórych miastach szerzy się głód – ciągnie Wintiuk. – Dystrybucja zbiorów jest zaburzona przez nieustannie się bogacących latyfundystów.

Pochyliam się nad stołem, po czym pośpiesznie kreślę kilka słów. Odczytuję je i zadowolony stukam palcami w blat.

„Bezwzględna wojna przeciwko kułakom! Śmierć im!”⁴⁵ To brzmi dobrze i wymownie. Nad szczegółami pochylę się jeszcze tej nocy. Podobne problemy dodają mi energii i wiary w siebie. Wiem, jak je rozwiązywać. Od zawsze istniał tylko jeden sposób.

– Skoro nie możemy ich od razu zabić, będziemy brali ich jako zakładników. – Głośno wyrażam tę myśl. – W każdej wsi i w każdym cyrkule. Jeśli nie zarekwirujemy przewidywanej ilości towaru, rozstrzelamy ich jako spekulantów. Wtedy ludzie uznają, że mieliśmy nie tylko prawo, ale i obowiązek.

Śmierć im.

141.

CZERWIEC 1918 R.

– Musimy coś zrobić z Romanowami. Rozumiecie?

Dzierżyński nerwowym krokiem obchodzi salę obrad. Dawno nie widziałem go tak bardzo wytrąconego z równowagi. Powłóczy jedną nogą, co chwilę przygląda bródkę i mlaszcze. Informacja o rozruchach w guberni penzeńskiej całkowicie go rozstroiła. Uważam, że jest na tym punkcie nieco przewrażliwiony, ale właściwie taka jego rola.

– Jesteście przekonani, że to kwestia Romanowów?

– Inicjatorzy buntu wnosili imperialne hasła. Poza tym nie możemy dłużej zwlekać.

Cholerny Korpus Czechosłowacki⁴⁶ zbliża się do Jekaterynburga.

– Słyszałem, że sytuacja jest całkowicie pod kontrolą.

– Obecnie.

Rozbiegane spojrzenie Dzierżyńskiego zdradza mi, że nie jest do końca przekonany o tym, co mówi. Jak rzadko kierują nim emocje. Dlaczego? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, a te małe, ruchliwe oczka niczego mi nie zdradzają.

– Towarzyszu sekretarzu!

Niemal natychmiast po moim wezwaniu do pomieszczenia wkracza Boncz-Brujewicz. W dłoni trzyma brulion oraz pióro.

– Napiszcie rozkaz, który zaszyfrujecie jako pochodzący od Rady Komisarzy – nakazuję.
– Nie może w nim paść moje nazwisko.

– Rozumiem.

– Po pierwsze, bunty w guberni penzeńskiej należy niezwłocznie stłumić. W przeciwnym razie odpowiedzialność za nie zostanie przypisana miejscowym strukturom partyjnym.

– Już.

– Po drugie – dyktuję, obserwując reakcję Dzierżyńskiego – należy publicznie stracić stu kułackich buntowników. Wyroki oraz listy skazanych roznieść w każdej wsi i miejscowości regionu, tak by nie było osoby, która o nich nie usłyszy.

Boncz-Brujewicz posłusznie wszystko notuje, ale nie wygląda na zachwyconego. Robi przerwy, coś kreśli, wreszcie bez słowa daje znać, że jest gotów zapisywać dalej.

– To wszystko – oznajmiam, ponownie zerkając na Dzierżyńskiego. Ten z rękoma splecionymi na piersi przekrzywia głowę. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji.

Odprowadza Boncz-Brujewicza wzrokiem, a kiedy drzwi się zamykają, robi krok w moją stronę.

– To będzie zbyt mało – odzywa się poufałym tonem. – Nikt jak wy nie wie, że trzeba działać stanowczo.

– Na razie dość – oznajmiam.

W końcu to ja mam władzę.

142.

6 LIPCA 1918 R.

Nigdy nie przybrałem podobnej maski. Nigdy tak bardzo nie musiałem udawać. W asyście dwóch towarzyszy oraz ochroniarza wkraczam do budynku ambasady niemieckiej. Długi, wykładany marmurami korytarz niesie echo naszych kroków. Przypatrują się nam członkowie personelu oraz przypadkowi goście. Flagi cesarstwa są przyobleczone kirami, a większość ludzi spogląda na nas ponuro i wyzywająco.

– Nadchodzi towarzysz Lenin! – anonsuje mnie czyjś donośny głos.

Komu? Nie mam pojęcia, skoro główny zainteresowany Wilhelm von Mirbach-Harff⁴⁷ leży w trumnie nakrytej sztandarem. Dokonane przed kilkoma godzinami morderstwo przez jednego z bolszewickich działaczy nie budzi żadnych wątpliwości. Zostało popełnione w proteście przeciwko traktatowi brzeskiemu oraz w nadziei na wznowienie działań wojennych między rewolucyjną Rosją a Niemcami.

Mimo swojej ostrożności uważam, że obecnie byłaby ku temu dobra sposobność. Niemcy są osłabione, państwa ententy przeszły do ofensywy, a nasza armia nabrała sił. Zapewne uznano by nas za zdrajców, ale przecież polityka opiera się na zdradzie oraz wygodzie. Jedyne zagrożenie stanowi sentyment za Romanowami, którzy wciąż mają wielu zwolenników.

– Panie Heigen – zwracam się do wysokiego mężczyzny z krótkim wąsem. To niemiecki konsul i główny spadkobierca schedy Mirbach-Harffa. – Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia oraz kondolencje w imieniu całego narodu rosyjskiego.

Heigen obrzuca mnie nienawistnym, wrogim spojrzeniem. Mimo to wymieniamy uścisk dłoni i przez chwilę stoimy w ciszy przy ustawionej na marach trumnie. Stanowcza reakcja Niemców na ten zamach zmusiła mnie do podjęcia natychmiastowych działań. Bez względu na rozwój wydarzeń obecnie potrzebujemy czasu. Struktury rewolucyjne nie są tak sprawne i skoordynowane jak te kajzerowskie. Być może to kwestia niewołającego ludzi ordnungu.

– Winni zostaną ukarani – oznajmiam wreszcie. – Nie miejcie co do tego żadnych wątpliwości.

– Wierzę w to. Sprawca zostanie ujęty?⁴⁸

– Tak, ale...

– Musicie go nam oddać. Osądzimy go zgodnie z prawem niemieckim.

– Z prawem wojennym? – Parskam sarkastycznie, jednak momentalnie ponownie przybieram minę pokutującego cierpiętnika. Dotykam dłonią skraju trumny i pochylam się, jakbym się modlił. – Jeżeli będzie tylko taka możliwość, dołożę ku temu wszelkich starań.

„Dobrze, że ten drań nie żyje” – dodaję w duchu. – „Stanowił uosobienie traktatu pokojowego. Bez względu na to, kto przyjdzie po nim, nikt nie okaże się równie mocną personifikacją naszego upokorzenia”.

– Naprawdę mi przykro – powtarzam. – Pozostaję do waszych usług.

Nie czekając na reakcję Heigena, odwracam się i z całą świtą kieruję do wyjścia. Pochylam głowę, by nie dostrzeżono mojego szerokiego, kpiącego uśmiechu. Nie potrafię go powstrzymać.

143.

MOSKWA, 13 LIPCA 1918 R.

Potargany mężczyzna z krótką bródką oraz niewielkim wąsikiem stoi przede mną bez jakiegokolwiek skrępowania. Patrzy mi prosto w oczy i mówi pewnym, pełnym przekonania tonem. To Filip Gołoszczokin, przewodniczący partyjnego Komitetu Wykonawczego w Samarze, przybyły do Moskwy ze specjalnym zadaniem.

– Nie widzimy innej możliwości – powtarza po raz trzeci. – To problematyczne, lecz niezbędne.

– Towarzysz Dzierżyński mówi to samo – odzywam się podejrzliwie. – Czy już z nim rozmawialiście?

– Udaliśmy się prosto do was, towarzyszu.

Gołoszczokin wydaje się szczery. To prostoduszny człowiek. Raczej nie ukryłby kłamstwa, a poza tym nie ma powodu ukrywać prawdy. A może? A jeśli Dzierżyński rozgrywa jakąś własną partię? Nie – stanowczo odrzucam tę myśl. – On jeden jest całkowicie wierny

– Rozstrzelajcie cara, ale tak, by nie pozostał po tym żaden ślad ani świadkowie. Rozumiecie?

Gołoszczokin kiwa głową. Jego lewa powieka drga w nerwowym tiku.

– Car to zbyt mało – mówi z naciskiem. – Jeśli zostanie cesarzowa, sytuacja niewiele się zmieni. Poza tym są następcy tronu...

Głośno wypuszczam powietrze. Właściwie przygotowywałem się do tej rozmowy od wielu tygodni. Nie chciałem jednak, by ta deklaracja padła z moich ust jako pierwsza. Być może była to kwestia jakichś skrupułów, a może delektowania się naturalnym rozwojem wydarzeń.

Saszo, czy widzisz, jaką mam teraz władzę? Czy jesteś dumny, że mogę cię pomścić? Ich los leży w moich rękach i będę tak samo bezlitosny, jak oni byli wobec ciebie.

– Należy stracić całą rodzinę carską – zwracam się do Gołoszczokina. – Wszystkich, którzy są w waszych rękach.

– Zrobimy to z wielką ochotą.

– Ale pamiętajcie – potrząsam palcem, jakbym groził uczniakowi – nie mogą pozostać żadne ślady. Żadne!

– To oczywiste.

– Pomścicie ich... – szepczę.

Gołoszczokin nachyla się, jakby nie rozumiał.

– Proszę?

– Nic, nieważne. Zróbcie, co powiedziałem⁴⁹.

Mrugam i spoglądam na krocącego obok mnie żurnalistę. Przez ostatnie kilka minut milczałem. Przypomniałem sobie tamte wydarzenia, lecz ich szczegóły zostawiłem tylko dla siebie.

– Wiadomość o śmierci rodziny carskiej głęboko mnie przeraziła i zasmuciła – odzywam się wreszcie. – Rewolucja wymaga ofiar, ale jestem przekonany, że tych śmierci mogliśmy uniknąć.

Teatralnie rozkładam dłonie, uśmieciam się pod nosem i idę dalej. Wolałbym, aby tę scenę przekazano tak, jak ją opowiedziałem niegdyś, na początku naszych spotkań. Ale wiem, że to nie człowiek tworzy prawdę, lecz prawda tworzy człowieka. Niestety. Być może tylko historia ma prawo oceniać.

⁴² Zgodnie z oczekiwaniami Lenina II Zjazd Rad zatwierdził jego dekret o zawieszeniu broni z państwami centralnymi.

⁴³ Rozdział stanowi parafrazę przemówienia Lenina przed komitetem wykonawczym Wszechrosyjskiego Zjazdu Rad, podczas którego zainicjowano powstanie Czeka.

⁴⁴ Trybunały powołano do orzekania w sprawach przestępstw kontrrewolucyjnych. Miały kierować się wprost wyrażonym w dekreście Rady Komisarzy Ludowych „socjalistycznym poczuciem sprawiedliwości”. Jakże ono jest, oczywiście wszyscy wiemy z historii.

⁴⁵ Manifest Lenina pod tym tytułem ukazał się w maju 1918 r. Jednocześnie powołano kombiedy – komitety biedoty mające zbrojnie wspierać rewizycje.

⁴⁶ Zbuntowany korpus wojskowy popierający białych.

⁴⁷ Ambasador niemiecki.

⁴⁸ Zamachu dokonał działacz socjalistyczny Jakow Blumkin.

⁴⁹ W nocy z 16 na 17 lipca 1918 r. w Jekaterynburgu rozstrzelano cara Mikołaja II, cesarżową Aleksandrę oraz ich dzieci: Aleksa, Anastazję, Marię, Olgę oraz Tatianę.

Wielki książę Michał został wywieziony do lasu pod Perm, zastrzelony, a jego ciało oblano naftą i spalono. Wielcy książęta Dymitr, Jerzy i Mikołaj oraz książę Paweł zostali zabici nad masowym grobem przy Twierdzy Pietropawłowskiej.

Sześcioro kolejnych członków rodziny carskiej zagnano do opuszczonej kopalni w Ałapajewsku, gdzie ich pobito, zostawiono, a następnie wrzucono w ich stronę granaty. Prawdopodobnie zostali pogrzebani żywcem.

144.

25 MAJA 1922 R.

Kula została usunięta i lekarze mogli pochwalić się sukcesem. Zapewne każdy z nich przejdzie do legendy jako ten, który uratował Lenina. Tyle że ja pozostaję nadzwyczaj słaby. Jak cyniczny jest los odbierający energię do działania w chwili, gdy dopiero uzyskało się właściwe dla niego warunki. Otacza mnie pustka. Nadia stara się o mnie dbać, lecz i jej zaczyna brakować sił. Starzejemy się. Choć mam dopiero pięćdziesiąt dwa lata, czuję się znacznie starzej.

Starik.

Chyba coś w tym jest. Mój ojciec zmarł w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, więc być może tkwi we mnie jakiś pierwiastek wczesnej śmierci. Nie boję się jej, ale żałuję, że może przyjść tak wcześnie. Mam jeszcze wiele do zrobienia.

Ręka mi drży i nie mogę utrzymać nawet lekkiego ołówka. Opuszczam go na podłogę.

– Miałem odzyskać zdrowie – rzucam z wyrzutem do osłuchującego mnie lekarza. – Mieliście mnie naprawić.

– Operacja została zakończona sukcesem. Teraz musicie się wykurować, towarzyszu.

– Wykurować z operacji? To była choroba sama w sobie?

– Musicie nabrać sił. Po prostu.

Mówi do mnie tonem, jakim rodzice zwracają się do małego dziecka. Czuję narastającą złość. Nikt nigdy nie traktował mnie w ten sposób. Jestem symbolem i mam tego pełną świadomość. Lecz nie zamierzam być porcelanową figurką, którą trzyma się przez bawelnianą szmatkę i robi wszystko, by nie wypadła z rąk.

– Jak długo to potrwa? – dopytuję.

– To zależy. Nie możemy niczego obiecać. Wszystko jest kwestią tego, jak wasz organizm poradzi sobie z regeneracją. Zatrucie ołowiem...

Wchodzę lekarzowi w słowo.

– Zatrucie ołowiem może być tylko tematem zastępczym. Nikt nie był pewien, czy to prawdziwa przyczyna mojego samopoczucia – cedzę. – A skoro nie widzę poprawy po operacji, mam wątpliwości co do diagnozy.

– Cierpliwości, towarzyszu.

Z trudem podnoszę się na łóżku i przywołuję ruchem dłoni sekretarza. Ten natychmiast zjawia się przy mnie.

– Przeprowadźcie Dzierżyńskiego oraz Trockiego – nakazuję. – Przynieście mi jeszcze lżejszy ołówek i kartki papieru. Poza tym... Poza tym...

Myśli nagle mi uciekają. Nie pamiętam, co chciałem powiedzieć ani co powiedziałem przed chwilą. Twarz stojącego przy mnie mężczyzny rozmywa się i nie jestem pewien, kim jest. Ktoś krzyczy, a ktoś inny chwyta mnie pod ramiona. Usiłuję coś powiedzieć, lecz z moich ust dobywa się tylko bełkot.

– Kochany! – Jak zza ściany słyszę krzyk Nadii.

Osuwam się w mrok.

– Witajcie, towarzyszu.

Żurnalista wyciąga ku mnie rękę, lecz nie wiem, gdzie ją kładzie. Mogę obserwować jedynie jego twarz. Mam ochotę krzyknąć, ale nie jestem w stanie. Z moich ust dobywa się jedynie charkot.

– Słyszycie mnie? – zwraca się do mnie dziennikarz. – Powiedziano mi, że powaliła was cała seria udarów. Jesteście tam?

Na twarzy pismaka dostrzegam uśmiech. Czy robi to dokładnie w ten sam sposób, w jaki ja czasem się uśmiechałem? Czy ze mnie kpi?

Moje myśli odbijają się echem w pustej skorupie mojego ciała. Od kilku dni, a może od kilku miesięcy nie mogę się poruszyć. Udaje mi się mrugać, lecz chyba nikt tego nie dostrzega.

To czysty obłęd.

Boże, wiem, że piekło naprawdę istnieje. Wiem, że istnieją los, przeznaczenie i odpłata za grzechy. Dlaczego nie ma cię przy mnie, mamó? Gdzie jesteście, Olgo i Saszo?

– Towarzyszu, tak mi przykro... – mówi dziennikarz.

Po chwili nachyla się tak mocno, że jego wargi niemal dotykają mojej twarzy.

– Napiszę, co tylko zapragnę – szepcze. – Ale przede wszystkim napiszę prawdę.

Wydyma wargi w jeszcze szerszym uśmiechu, po czym gwałtownie się wyprostowuje. Bez pożegnania odwraca się i odchodzi. Słyszę stukot jego kroków, ale już go nie widzę. Wściekłość sprawia, że zaczyna brakować mi tchu. Duszę się, lecz nikt tego nie dostrzega. Ten człowiek powinien zginąć. On musi...

Lenin zmarł wieczorem 21 stycznia 1924 r. Wcześniej przeszedł kilka udarów i był poddawany nieudanej, długotrwałej rekonwalescencji. O jego śmierci poinformowano 22 stycznia, a kolejnego dnia odbył się pogrzeb. W trakcie uroczystości oraz tuż po nich grób wodza rewolucji odwiedziło ponad milion osób. Wbrew jego woli ciała nie poddano kremacji. Zamiast tego po około miesiącu przechowywania w niskiej temperaturze zdecydowano o jego zabalsamowaniu. Jednocześnie rozpoczęto prace nad budową mauzoleum. Ostatecznie wzniesiono je z porfiru na placu Czerwonym, tuż przy północno-wschodnim murze Kremla, kilkaset metrów od dawnej siedziby carów. Obecnie zwłoki Lenina są regularnie wyjmowane z trumny i poddawane kąpielom mającym je zakonserwować. Mimo to specjaliści twierdzą, że doczesne chwile szczątków wodza „wiecznej rewolucji” są policzone. Oby.

—=FADE TO BLACK=—

Boncz-Brujewicz Władimir – zm. 14 lipca 1955 r.
Bucharin Nikołał – rozstrzelany 15 marca 1938 r.
Dzierżyński Feliks – zm. 20 lipca 1926 r.
Joffe Adolf – popełnił samobójstwo 17 listopada 1927 r.
Kamieniew Lew – rozstrzelany 25 sierpnia 1936 r.
Krupska Nadieżda – zm. 27 lutego 1939 r.
Piatakow Jurij – rozstrzelany 1 lutego 1937 r.
Stalin Józef – zm. 5 marca 1953 r.
Trocki Lew – zamordowany na rozkaz Stalina 20 sierpnia 1940 r.
Zinowjew Grigorij – stracony 25 sierpnia 1936 r.

Rewolucja pożera własne dzieci.

Twarze się zmieniają, dyktator pozostaje ten sam.

Ta myśl towarzyszyła powstawaniu tej książki. Porównania nasuwają się same i trudno się od nich odpedzić. Czasem zmuszałem się do filtrowania lub wręcz odcedzania naszej rzeczywistości od tego, co wydarzyło się niemal równe sto lat temu.

Cynizm, niuśtępliwa pycha, przeświadczenie o roli dziejowej oraz bezwzględność – te cechy możemy dostrzec w rysie niejednego dyktatora. Skojarzenie z tym nam współczesnym niestety pojawia się mimowolnie, niczym kalka przeniesiona na pewnym schemacie. Czy sednem jest po prostu rys osobowości sprzyjający „tworzeniu” tyranów? Być może, ale nie mnie to oceniać i nie o tym też jest ta książka. Pisząc ją, starałem się pozostać możliwie obiektywny i zdystansowany. Wszak w treści nie mogły się znaleźć moje przemyślenia, a musiały do niej trafić przemyślenia Lenina. O tyle intrygujące, co przerażające było przeświadczenie, że nasze wyobrażenia mogą się pokrywać.

W trakcie przygotowań do tworzenia obejrzałem bodaj wszystkie materiały wideo oraz przeczytałem część z przebogatej spuścizny „literackiej” przywódcy bolszewików. Z perspektywy czasu zdaje się ona czystym bełkotem, jednak wtedy starałem się po prostu w nią uwierzyć i zlać myślami z tokiem rozumowania obywatela Uljanowa. Mam przeświadczenie, że przynajmniej w części mi się to udało.

W niniejszej książce wiele myśli Lenina stanowi kalkę fragmentów jego dzieł. Byłem przeciw rozbijaniu narracji przypisami, dość rzec, że te zapewne zdają się wyczuwalne. Wielokrotnie byłem zmuszony do „spłycenia” potoku myślowego Lenina, gdyż – jak może poznać każdy wnikliwy czytelnik – znaczna część jego tekstów stanowi potok nieklarownych skojarzeń, koncepcji, idei oraz strzępów przemyśleń. Abstrahując od pracy redakcyjnej, mam wrażenie, że w głowie wodza rewolucji panował natłok myśli i nieustanny chaos. Upewniają mnie w tym transkrypcje jego przemówień, zapiski z odbytych z nim rozmów oraz uwagi współczesnych mu biografów.

Co ciekawe, wraz z agresją moskiewską (aby nie używać nazwy tego terrorystycznego państwa) na Ukrainę odżył kult bohatera niniejszej książki. Obywatel P. obserwował paradę wojskową z okazji 9 maja z trybuny imienia Lenina, wybito medale z jego podobizną, a nawet wyemitowano serię znaczków pocztowych. Do tego na tymczasowo okupowanych terytoriach ponownie stawia się jego pomniki, a w Mariupolu plac Wolności przemianowano na plac Lenina...

Twarze się zmieniają, dyktator pozostaje ten sam. Zawsze. Wraz z pomnikami musimy obalać ich pogrobowców. Wierzę, że nasze pokolenie tego dokona.

Ukłony
Max Czornyj

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[1. KREML, 1 LIPCA 1918 R.](#)

[2.](#)

[3. MOSKWA, 30 SIERPNIA 1918 R.](#)

[4.](#)

[LENIN](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7. MOSKWA, 7 WRZEŚNIA 1918 R.](#)

[8.](#)

[9. 11 WRZEŚNIA 1918 R.](#)

[10. GORKI, 13 WRZEŚNIA 1918 R.](#)

[31 LAT WCZEŚNIEJ](#)

[11. SYMBIRSK, KWIECIEŃ 1887 R.](#)

[12. 25 KWIETNIA 1887 R.](#)

[13. TWIERDZA PIETROPAWŁOWSKA, SANKT PETERSBURG, 30 KWIETNIA 1887 R.](#)

[14. TWIERDZA SZLISSELBURG, 8 MAJA 1887 R.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17. 4 grudnia 1887 r.](#)

[18. 1888 r.](#)

[19.](#)

[20. KAZAŃ, 1889 R.](#)

[21. AŁAKAJEWKA, 1889 R.](#)

[22. SANKT PETERSBURG, 1890 R.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25. GRUDZIEŃ 1893 R.](#)

[26. STYCZEŃ 1894 R.](#)

[25 LAT PÓŹNIEJ](#)

[27. GORKI, 1918 R.](#)

[28. MOSKWA, 19 STYCZNIA 1919 R.](#)

[29.](#)

[30.](#)

[31.](#)

[24 LATA WCZEŚNIEJ](#)

[32. SANKT PETERSBURG, STYCZEŃ 1894 R.](#)

[33.](#)

[34. SANKT PETERSBURG, 13 LUTEGO 1894 R.](#)

[35.](#)

[36.](#)

[37. FRANCJA, LIPIEC 1894 R.](#)

[38.](#)

[39. SANKT PETERSBURG, WRZESIEŃ 1894 R.](#)

[40.](#)

[41. SANKT PETERSBURG, 1895 R.](#)

[42. 1896 R.](#)

[43. SANKT PETERSBURG, LUTY 1897 R.](#)

22 LATA PÓŹNIEJ

44. MOSKWA, CZERWIEC 1919 R.

45.

46.

22 LATA WCZEŚNIEJ SYBIR

47. KU SYBERII, MARZEC 1897 R.

48. SZUSZENSKOJE, MAJ 1898 R.

49. 10 LIPCA 1898 R.

50.

POWRÓT I TUŁACZKA

51. JESIEŃ/ZIMA 1900 R.

52. MONACHIUM, 1901 R.

53.

54. LONDYN, MAJ 1902 R.

55. LONDYN, CZERWIEC 1902 R.

56.

57.

58. LONDYN, MAJ 1904 R.

59. SZWAJCARIA, PAŹDZIERNIK 1904 R.

60. GENEWA, STYCZEŃ 1905 R.

61.

62.

63.

64.

65. GENEWA, LISTOPAD 1905 R.

66. SANKT PETERSBURG, GRUDZIEŃ 1905 R.

ANARCHIA

67. SANKT PETERSBURG, STYCZEŃ 1906 R.

68.

69.

70. TAMPERE (FINLANDIA), MARZEC 1906 R.

71. SZTOKHOLM, KWIECIEŃ 1906 R.

72. SANKT PETERSBURG, WRZESIEŃ 1907 R.

73. GDZIEŚ W DRODZE

74. NADAŁ W DRODZE

75.

76. FINLANDIA, GRUDZIEŃ 1907 R.

77.

78. 25 GRUDNIA 1907 R.

79. PARYŻ, 1908 R.

80. CAPRI, KWIECIEŃ 1908 R.

81. PARYŻ, MAJ 1908 R.

82. SZTOKHOLM, LIPIEC 1910 R.

83. LONGJUMEAU POD PARYŻEM, STYCZEŃ 1911 R.

84. LONGJUMEAU, MAJ 1911 R.

85. PRAGA, STYCZEŃ 1912 R.

86. KRAKÓW, 1914 R.

PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

87. MOSKWA, GRUDZIEŃ 1919 R.

88.

89. MOSKWA, SIERPIEŃ 1920 R.

90. MOSKWA, KILKA DNI PÓŹNIEJ

1914 ROK WIELKA WOJNA

91. KRAKÓW, LIPIEC 1914 R.

[92. NOWY TARG, SIERPIEŃ 1914 R.](#)

[93. ZURYCH, KWIECIEŃ 1916 R.](#)

[94. LIPIEC 1916 R.](#)

[95.](#)

[96. ZURYCH, STYCZEŃ 1917 R.](#)

[CZTERY LATA PÓZNIEJ](#)

[97. MOSKWA, KONIEC LUTEGO 1921 R.](#)

[98. MOSKWA, POCZĄTEK MARCA 1921 R.](#)

[99.](#)

[100. MOSKWA, LIPIEC 1921 R.](#)

[CZTERY LATA WCZEŚNIEJ AGENT](#)

[101. ZURYCH, STYCZEŃ 1917 R.](#)

[102. ZURYCH, KONIEC LUTEGO 1917 R.](#)

[103.](#)

[104. ZURYCH, 17 MARCA 1917 R.](#)

[105. 24 MARCA 1917 R.](#)

[106. SANKT PETERSBURG, 3 KWIECIEŃ 1917 R.](#)

[107. DZIEŃ PO PRZYJEŹDZIE DO SANKT PETERSBURGA](#)

[108. SANKT PETERSBURG, 4 KWIECIEŃ 1917 R.](#)

[109.](#)

[110. NEIVOLA \(FINLANDIA\), 4 LIPCA 1917 R.](#)

[111. SANKT PETERSBURG, 4 LIPCA 1917 R.](#)

[112.](#)

[CZTERY LATA PÓZNIEJ](#)

[113. MOSKWA, LATO 1921 R.](#)

[114. MOSKWA, LISTOPAD 1921 R.](#)

[CZTERY LATA WCZEŚNIEJ KU WŁADZY](#)

[115. OKOLICE SIESTRORIECKA \(NA PÓŁNOC OD SANKT PETERSBURGA\), LIPIEC 1917 R.](#)

[116.](#)

[117. 10 PAŹDZIERNIKA 1917 R.](#)

[118. INSTYTUT SMOLNY, RANEK 24 PAŹDZIERNIKA 1917 R.](#)

[119. SANKT PETERSBURG, UL. SIERDOBOLSKA 1/41, POPOŁUDNIE 24 PAŹDZIERNIKA 1917 R.](#)

[120. 25 PAŹDZIERNIKA 1917 R.](#)

[121.](#)

[PIĘĆ LAT PÓZNIEJ](#)

[122. MOSKWA, 15 MARCA 1922 R.](#)

[123.](#)

[CZTERY LATA WCZEŚNIEJ U WŁADZY](#)

[124.](#)

[125. LISTOPAD 1917 R.](#)

[126. GRUDZIEŃ 1917 R.](#)

[127.](#)

[128. LISTOPAD 1917 R.](#)

[129. LISTOPAD 1917 R.](#)

[130. FINLANDIA, GRUDZIEŃ 1917 R.](#)

[131. STYCZEŃ 1918 R.](#)

[132. 7 STYCZNIA 1918 R.](#)

[133. 8 STYCZNIA 1918 R.](#)

[134. 18 LUTEGO 1918 R.](#)

[135. MOSKWA, MARZEC 1918 R.](#)

[136.](#)

[137. LIPIEC 1918 R.](#)

[138.](#)

[139.](#)

140.

141. CZERWIEC 1918 R.

142. 6 LIPCA 1918 R.

143. MOSKWA, 13 LIPCA 1918 R.

CZTERY LATA PÓŹNIEJ

144. 25 MAJA 1922 R.

145. MARZEC 1923 R.

POSŁOWIE